

LEOPOLD CARO

# MYŚLI JAPOŃCZYKA O POLSCE

S7



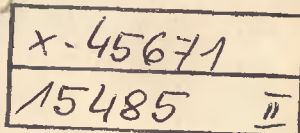
LWÓW	—	WARSZAWA	—	KRAKÓW
WYDAWNICTWO	ZAKŁADU	NARODOWEGO	IM. OSSOLIŃSKICH	
1	9	2	7	

Biblioteka  
Śląskiego

PL301  
PL303

15485

II



## TEGOŻ AUTORA:

- Pomoc dla rolników w Austrii* — Lwów, 1895 str. 97 (wyczerpane)  
*Studja społeczne* — Kraków, 1908 str. 404 (skład główny w księg Zakł. Nar. im. Ossolińskich)  
*Nowe drogi* — Poznań, księg. Św. Wojciecha 1908 str. 171  
*Statystyka emigracji polskiej do Stanów Zjednocz. Ameryki półn.* — (Kraków, 1907 (skład gł. w księg. Zakł. Nar. im. Ossolińskich)  
*Emigracja polska* — Lwów, 1913. (skład gł. w księg. Zakł. Nar. im. Ossolińskich)  
*Wstęp do socjologii I* — Lwów, 1912 (skład gł. w księg. Zakł. Nar. im. Ossolińskich) str. 141  
*Emigracja i polityka emigracyjna* — Poznań, 1914 str. 392  
*Etyka w życiu publicznem* — Kraków, 1914 (skład gł. w księg. Zakł. Nar. im. Ossolińskich)  
*Problemy skarbowe państwa polskiego* — Kraków, 1919 (skład gł. w księg. Zakł. Nar. im. Ossolińskich) str. 144  
*Ku nowej Polsce* — Lwów, 1923 str. 152 księg. nauczycielska  
*Zasady nauki ekonomji społecznej* — Lwów, Jakubowski & Ska. 1926 str. 544

## PO FRANCUSKU:

- L'émigration polonaise* — Bruxelles, 1910  
*Le matérialisme économique comme un des fondements du marxisme* — Paris 1926 (wyczerpane). W przekładzie na język holenderski p. l. *Het historisch-Materialisme als een der Grondslagen van het Marxisme* w „Wetenschappelijke Bladen Haarlem 1926

## PO NIEMIECKU:

- Der Wucher* — Leipzig, Duncker & Humblot 1893 str. 311 (wyczerpane)  
*Auswanderung und Auswanderungspolitik, Schriften des Vereins für Socialpolitik* — Bd 131 Leipzig Duncker & Humblot 1909 str. 284 (wyczerpane)  
*Das internationale Problem der Auswanderungsfrage* — Berlin, Puttkammer & Mühlbrecht 1908



51-

## PRZEDMOWA

Wakacje roku 1925 udało mi się spędzić w towarzystwie dawnego kolegi, Japończyka. Opowiadania jego i uwagi spisałem, gdyż zdawały mi się na to zasługiwać. Ogłosiłem ich część w ciągu roku 1925. Następnie odebrałem od barona Yoshi pięć dłuższych listów i spotkałem się z nim w Warszawie. Listy te i spisana przezeń rozmowa pojawiają się tu poraz pierwszy.

Przejęcia życiowe Japończyka, wyglądające na romans, zainteresowały czytelników dziennika, w którym pierwotnie się pojawiły, w tym stopniu, że z różnych stron — a między innymi ze strony jednego z najprzedniejszych w Polsce mistrzów słowa — dochodziły mnie życzenia wydania ogłoszonych już fejtetonów w osobnej książce. Nie poszedłem jednak za tem życzeniem, póki nie weszliśmy z kolegą moim na temat spraw polskich. Od nich też płynie tytuł, jakkolwiek baron Yoshi wypowiadał zapatrywania swe także o całym szeregu innych kwestyj. Podając je w wiernym przekładzie, nie przyjmuję atoli tem samem, jak to się zresztą samo przez się rozumie, odpowiedzialności za wszystkie poglądy i rady ich autora, chyba że wyraźnie zaznaczam, iż się z niemi solidaryzuję. Stoję zdaleka od wszelkiej polityki i pragnę także i nadal zachować ten dystans, a zajmuję się jej problemami tylko zasadniczo. Zdawało mi się jednak, iż bez względu na to, czy mój przyjaciel ma we wszystkim słuszość, warto w każdym razie go wysłuchać. Miło mi będzie dowiedzieć się, iż czytelnicy moi dzieląją to zapatrywanie.

Do tomiku dołączam cztery rozprawki, będące w związku ideowym z tematami, omawianemi przez mego Japończyka.

AUTOR.

MYŚLI JAPONCZYKA O POLSCE

## I.

Spotkanie na wystawie w Paryżu 1925. — Wieża szklanna. — Udział narodów azjatyckich i afrykańskich w wojnie europejskiej. — Kolonie i ich przyszłość. — Kuratela Europy nad Azją i Afryką. — Sojusz anglo-japoński. — Epoki rozkwitu i upadku.

*Paryż, sierpień 1925.*

Na wystawie przemysłu dekoracyjnego w Paryżu spotkałem się z dawnym kolegą z seminarjum ekonomicznego ś. p. prof. Miaskowskiego, swego czasu najznakomitszego znawcy spraw agrarnych w Niemczech.

Było to w Lipsku 1892 r. Pracowałem nad książką o lichwie i miałem wówczas za sobą ukończone dwa fakultety we Lwowie i 4 lata pracy w seminarjach ekonomicznych ś. p. prof. Bilińskiego i ś. p. Tad. Pilata. Wszakże prof. Miaskowski, Niemiec, mimo polskiego nazwiska, nie chciał mnie przyjąć pierwotnie na członka seminarjum, mówiąc mi otwarcie, że chyba niewiele mogłem się nauczyć w polskich seminarjach, i dopiero wobec mego oświadczenia, że w takim razie wyjadę do prof. Schmollera i Wagnera do Berlina, ustąpił.

Postanowiłem go przekonać, że nie jest wcale tak źle na naszych uniwersytetach i że można się czegoś w nich nauczyć. Zaraz na pierwszym posiedzeniu zdarzyła się ku temu sposobność. Odczyt wygłaszał p. Paweł Weisengrün, żyd rumuński, dziś znany pisarz niemiecki, o metodologii w ekonomji społecznej. Miała to być jego praca doktorska. W dyskusji zabrałem głos pierwszy. Zastrzegając się, że mówię nieprzygotowany — w polskich bowiem seminarjach istnieje zwyczaj zapowiadania naprzód tematu prelekcji, którego tu widocznie niema — wykaza-



łem p. Weisengrünowi, że pominął najwybitniejsze dzieła niemieckie metodologiczne, jak Schmollera „Über einige Grundbegriffe der Ethik und der Volkswirtschaft“, a kilkakrotnie cytowanego przez siebie Hegla, którego studjowałem pod doskonałym kierunkiem ś. p. prof. Aleks. Raciborskiego — widocznie całkiem nie czytał. Przemawiałem w tym samym duchu przez 20 minut. W rezultacie prof. Miaskowski polecił Weisengrünowi przerobić pracę w myśl moich uwag i oświadczył, że nie ma do nich nic do dodania. W następny piątek kol. Mamrothowi, obecnie profesorowi w Jenie, wykazałem błędne opracowanie dat statystyki saskiej, a w trzeci piątek znęcałem się nad kol. Waentigem, obecnie profesorem w Halle. Strach padł na całe seminarjum, prof. Miaskowski zaprosił mnie do siebie i dał mnie jednemu klucz do pokoju, w którym mieściła się biblioteka seminarjum. Koleżanka ze Stanów Zjednoczonych, Belgijczyk i Japończyk stali się dla mnie niezwykle serdeczni, bo i oni mieli wygłosić niebawem referaty. Uspokoilem ich opowiadaniem, co mnie spotkało na pierwszej wizycie u prof. Miaskowskiego, i że chodziło mi jedynie o wykazanie mu, że dwa wówczas uniwersytety nasze nie ustępują w niczem niemieckim. Odtąd z Japończykiem spędzałem długie wieczory, wśród których zainteresował się on bardzo sprawami polskimi.

Otóż teraz, po 33 latach, spotkałem się z dawnym kolegą, zajmującym dziś wybitne stanowisko w swojej ojczyźnie. Oczywiście nie byłbym go poznał. Ale Japończycy są niezwykle spostrzegawczy. Noszę w klapie żakietu bardzo efektowną odznakę naszego Związku Oficerów Rezerwy z orłem białym. Przypatrywał się mi na wystawie uważnie mały żółtawy człowieczek, kosooki brunet, ubrany nadzwyczaj starannie, w binoklach. Z początku brałem to za dowód zainteresowania odznaką. Ale po chwili przystąpił do mnie i zapytał, czy jestem Polakiem, i ku memu zdziwieniu francuszczyzną o brzmieniu angielskim, ale zupełnie poprawną, czy nie ma zaszczytu mówić z p. Caro. Dopiero, gdy wymienił Lipsk i powszechną przede mną obawę kolegów, przypomniałem go sobie. Spędziliśmy parę godzin na serdecznej pogawędce. O ileż lepiej był poinformowany o wszystkim, co się działo i dzieje w Polsce, aniżeli my — już nietylko o Japonji, ale nawet o krajach bliższych nam o wiele — i wstyd doprawdy

powiedzieć, aniżeli niektórzy bodaj z nas o własnej ojczyźnie.

Byliśmy razem w pawilonie polskiej wystawy. Był zanadto delikatny, aby wprost krytykować cokolwiek. Spytał mnie tylko, czy mieszkamy w szklanych domach. Czy ten wszystko wiedzący Japończyk czytał nawet już pierwszą część „Przedwiośnia“? Gdy na pytanie odpowiedziałem przecząco, zapytał wprost, co w takim razie oznaczać ma wieża szklanna na pawilonie. — Zwyczajny pomysł artysty, odpowiedziałem. — A ja sądziłem, odrzekł, że wystawa ma zobrazować i przedstawić typowe i właściwe dla danego kraju sposoby budowania, malowania, rzeźbienia. Naturalnie sztuka może i powinna wypowiadać się indywidualnie. Ale od tego jest Salon, są różne wystawy. Tu natomiast szukamy typowych właściwości danego kraju. Cobycie powiedzieli, gdyby malarz japoński wystawił tutaj np. Madonnę w stylu Rafaela lub Giotta. Ale wy Europejczycy, musicie to wiedzieć lepiej — dodał z tajemniczym uśmiechem.

Zaczęliśmy rozmowę o niepokojach chińskich. Z pogodną miną powiedział do mnie te słowa: „Powiedz pan wszystkim w swej ojczyźnie, że niechaj dziękują Bogu, iż w tym czasie, gdy inne narody podbijały Azję i Afrykę, łupiąc i wyzyskując mieszkańców i ściągając na siebie nienawiść powszechną, byliście z początku zbyt słabi a potem w niewoli. Gdyby nie ona, może bylibyście poszli za nęcącym przykładem Anglii, Francji, Belgii, Niemiec, Włoch, Holandji, Portugalji i Hiszpanji. A wszystkie te okrucieństwa i gwałty, wszystkie mordy i oszustwa, przez Europę od setek lat popełniane, u nas są zapisane na kamieniu. Rację mieli Niemcy, a za nimi i inni, wytykając z waszego europejskiego stanowiska błąd, popełniony przez to, iż wciągnięto do wielkiej wojny narody azjatyckie i afrykańskie. Błąd wasz zaczął się od tego, żeście nas dopuścili do udziału w zdobyczach waszej techniki. Dziś już i Hindu i Chińczyk, a nawet murzyn afrykański umie obchodzić się z bronią nowoczesną. Nienawiść do Europy przysłaniała dotąd przekonanie o naszej bezsilności; z chwilą gdy przekonanie to pryśnie, przyjdzie niestety do odpłaty. Niestety, powiadam, bo ja, jak i wy, jako człowiek cywilizowany nietylko nie pragnę wojny, zwłaszcza tej, która przyjdzie i sto milionów wojsk azjatyckich ciśnie na głowy najędr-

ców, ale widzę w niej cofnięcie cywilizacji. W zaślepieniu swem Europa nie dostrzegła końca drogi, po której szła. Przysyłała nam dobrych misjonarzy, którzy byliby nas uczynili szybko chrześcijanami; ale na tych samych okrętach przyjeżdżali i kupcy, chciwi i zachłanni, którzy nas oszukiwali, tak, oszukiwali przez setki lat. Koniec ich nie może być inny w Pekinie czy w Tokio, jak w Kantonie. Chyba... że Europa pójdzie za ostrożną polityką Ameryki i cofnie się zawczasu. Cóż znaczy nawet osobista dzielność w służbie złej sprawy? Ale ani Anglja, ani Francja się nie cofną, zbyt na to są dumne i przeświadczone o wyższości swej rasy. Powtarzam, gdybyście dziś mieli tak zwane kolonie, stracilibyście je teraz, czy za lat 10 lub 20, a tak macie w dodatku dobre imię w świecie naszym i, gdy przyjdzie do ostatecznego obrachunku między Azją a Europą, was jednych i jeszcze parę narodów europejskich będziemy oszczędzali“.

— Chiny i Indje wschodnie — tłumaczyłem mojemu koledze — mają kulturę starszą i głębszą niż Europa, więc rozumiem, że uprzykrzyła się wam kuratela europejska, ale Afryka?

— Co się tyczy murzynów — odpowiedział Japończyk — to i oni, zwłaszcza w Stanach, poczynili zadziwiające postępy. I oni nauczyli się w wojnie światowej wiele i umieją dziś cenić odpowiednio rzekomą waszą solidarność. Ale rzecz zupełnie inna z Arabami Afryki północnej. Tam mojem zdaniem Francja ostatecznie straci nie tylko Marokko, ale i część Algieru. Cofnięcie się podobne, na jakie zdobyła się już W. Brytania w Egipcie, zachowałoby dla Francji na jakiś czas bodaj wpływ ekonomiczny i cywilizacyjny. Nawet zwycięstwo Francji obecnie rozstrzygnie sprawy na zawsze. Wy zaś, Polacy, powinniście użyć wszelkich argumentów dla przekonania Francji, że źle zrobiła, pomagając Hiszpanji i podniecając ją jeszcze do walki w Afryce. Nietylko jako naród, kochający wolność i z obowiązku przeciwny podobnemu ujarzmianiu innych, ale i z własnego interesu. Gdy Francja będzie zawikłana w powstanie syryjskie i w wielki płomień walk z dzielnymi Arabami, was napadną Niemcy i bolszewicy, a wątpię, czy Francja będzie wam wówczas mogła udzielić wydatnej pomocy.

— Więc to chyba robota niemiecka?



— Niemcy przyśpieszają uświadomienie narodów podbitych i tem samem wybuch wojny odwetowej, która jest zupełnie pewna, a Francja daje się brać na lep własnej próżności, prowadząc beznadziejną, a w każdym razie pochłaniającą ogromne ofiary wojnę w Afryce. Póki Sowiety mogły mieć nadzieję, że Europa stanie się komunistyczną, nie dbały o Azję; straciwszy tę nadzieję, prowadzą tę samą politykę, co i Niemcy, bo tą drogą zabezpieczają sobie dłuższy żywot, dając Anglii sporo zajęcia w Indjach — i z każdym rokiem dając go coraz więcej.

— A wy prowadzicie politykę przyjazną dla Niemców i bolszewików, idziecie tem samem przeciw Anglii, z którą jesteście w sojuszu, tudzież przeciw Francji, która zawsze walczyła o wolność ludów i w obronie najszlachetniejszych ideałów ludzkości!

— Wybacz pan, ale my nie prowadzimy polityki ani anglo- ani germanofilskiej. W gruncie rzeczy oba te narody i wogóle cała Europa jest nam obojętna. My prowadzimy politykę japońską. Jeżeli interesy niemieckie czy rosyjskie idą równolegle z naszemi, idziemy z nimi. Ale tylko do tego miejsca, póki są identyczne. Zdobyliśmy sobie ostrogi w wojnie z Rosją. Wówczas przysyłałście nam entuzjastyczne gratulacje, myśląc, że wyruszymy w pole dla ocalenia Polski. Chętnie bylibyśmy wówczas widzieli powstanie polskie na tyłach Rosji. Ale obeszło się i bez tego. Nie możemy jednak całe życie nienawidzić Rosji, owszem potrzebujemy jej, bo i ona ma należyte pojęcie o Europie i nienawidzi Anglii, podobnie jak i my.

— Jakto i wy, sojusznicy?

— Nasz sojusz jest tylko chwilowy i o tem Anglicy najlepiej wiedzą. Angielskie prawa w Kanadzie, Australji i Nowej Zelandji traktują Japończyków jako wyjętych z pod równouprawnienia, nie pozwalają naszym robotnikom tam się osiedlać. Stany Zjednoczone traktują nas tak samo, a w razie naszej wojny ze Stanami, Anglja nie zagnie palca w naszej obronie, raczej będzie pomagać Stanom. O tem dobrze wiemy. Anglja potrzebuje nas — do czasu. A i tak w Singapore buduje bazę morską, aby przeszkodzić nam w kolonizacji wysp Malajskich, które są nam nieodzownie potrzebne i z których musimy wypędzić Anglików i Holendrów. Sarawak, całe Borneo, Sumatra, Jawa, Celebes muszą się zaludnić Japończykami.

Gdy będziemy dość silni, zażądamy cofnięcia się Europy do — Europy i dlatego powiedziałem: — w chwili porachunku bądźcie kontenci, że was nie było wśród zdobywców, bo nie będzie was i wśród pogromionych.

— Czy nie sądzi pan, że czas ludów azjatyckich już minął i że w każdym narodzie są epoki wzrostu, rozkwitu i upadku?

— Nie można tego powiedzieć ani ogólnie, ani też ustalać, czy i kiedy dla jakiego narodu minęła już epoka rozkwitu. Tylko wówczas, gdy naród lub jego większość ngrzęźnie w zniewieściałości, gdy przestanie mieć wiarę w ideały, można mówić o upadku. Spostrzegli to nawet żydzi, będący u was rozsądnikami materializmu i używania życia; syjonizm jest właśnie tą odżywczą siłą, która żydom przywraca młodość. Strzeżcie się upatrywać cywilizację w samym postępie technicznym, bez zdolności do poświęcenia, bez entuzjazmu dla wiary i narodu. Z taką cywilizacją zginęlibyście. U nas poświęcenie jest rzeczą naturalną. I to nie tylko u nas Japończyków, ale i u Hindusów, u Chińczyków nawet. Cierpienie osobiste przyjmujemy jako rzecz konieczną, nie boimy się śmierci i każdej chwili większość z pośród nas gotowa jest umrzeć. I to stanowi naszą wielką wyższość nad Europą. I nasza rola miałaby być skończoną dlatego tylko, że macie lepszych inżynierów?

Pożegnaliśmy się serdecznie, a przy rozstaniu prosił mnie mój kolega, bym ze względu na zupełną szczerość jego wywodów nie wymienił nigdy jego prawdziwego nazwiska. Odtąd nazywać go będę baronem Yoshi.

---

## II.

Jak mieszka mój przyjaciel? — Wspomnienie z przeszłości. — Studencka miłość. — „Szeroka natura“ Rosjanina. — Pościg za tchórzem. — Jego smutny koniec. — Argumenty obronne Japończyka.

Nazajutrz odwiedziłem dawnego mego kolegę. Mieszkał w hotelu Palais Royal, parę kroków od magazynów Louvre'u, przedmiotu zachwyty i uniesień wszystkich pań, blisko hotelu Louvre, Tuileryj i słynnej *Comédie Française*, niezrównanej szkoły wymowy francuskiej.

W tem świetnem i wykwintnem otoczeniu, sądziłem, że i hotel stoi na odpowiedniej wyżynie. Tymczasem zastałem mego kolegę w pokoju niziutkim, o ścianach cienkich i przepuszczających każdą rozmowę, na I piętrze, tuż nad szklanym dachem bramy hotelowej, narażonego na ustawiczne hałasy i prawdopodobne wizyty nocne szczurów. Za ten kącik, w którym ledwie obrócić się można, płacił po 80 franków, a z półpensjonem (t. j. pierwszym śniadaniem i lunchem południowym, bez obiadu wieczornego) 100 franków dziennie. Mieszkając sam na czwartym piętrze w nowym hotelu, o ścianach mniej cienkich i nie w sąsiedztwie huczącego przez dzień cały motoru z sąsiedniej kamienicy, jak mój Japończyk, mogłem otwierać bezpiecznie okna, zabezpieczony zarówno przed szczurami, jak przed nocnymi poszukiwaczami cudzej własności.

„Żyję zawsze — opowiadał mi mój towarzysz — przystosowany możliwie do warunków miejscowych. Są tu w Paryżu i hotele i restauracje japońskie, ale w ciągu długich lat studiów uniwersyteckich i służby dyplomatycznej w Europie przywykłem do waszych łóżek i waszych potraw. Pokój jest tu wprawdzie lichi, a za 80 fr. nie dostanie dziś w Paryżu lepszego, chyba w *Quartier*



*latin*, ale już przywykłem z lat studenckich i z tym ho-telem łączą mnie dawne wspomnienia.“

I zaczął opowiadać :

„Z Lipska pojechałem wówczas do Paryża, gdzie przygotowywałem się przez dwa lata do mojego przy-szłego zawodu w *École des sciences politiques*. Byłem wówczas, jak pan pamięta, pełen bezkrytycznego entu-zjazu dla kultury europejskiej. W tym samym hotelu mieszkało między innymi trzech Japończyków, studen-tów, piękna i urocza Rosjanka, młody Anglik i jakiś kniaź rosyjski, oficer. Wszyscy kochaliśmy się w Rosjance, po-dobno rozwódce, mającej w Paryżu liczne stosunki, która — tak nam się wszystkim zdawało — trzymała nas na dystansie. Nie myśleliśmy zresztą o niczem poważnem, samo się przez się bowiem rozumiało, że żenić się może prawowity Japończyk tylko z rodaczką. Arystokracja na-sza nie myśli inaczej, czem podobno wyróżnia się od ary-stokracji europejskiej, żywiącej więcej kosmopolityczne uczucia. Ale kochaliśmy się w niej, częścią przez upodo-banie piękna, częścią dlatego, że chciała, abyśmy się w niej kochali, nie przepuszczała żadnemu z nas, w miarę kokietowała wszystkich, częścią wreszcie przez ten nad-miar żywotności, jaki cechuje młodość. Młodych buddy-stów pociągało pojęcie miłości rycerskiej, platonicznej, które głosił pośród nas inny kolega, słynny dziś badacz historii średniowiecznej waszej epopei w uniwersytecie tokijskim. Rosjanin i Anglik byli innego zdania. Oni, do-świadczęnsi od nas i starsi, wprost szukali romansu, An-glik jednak był dżentelmenem, Rosjanin, mimo książęcego tytułu, pijaczyną. Po pierwszej butelce szampana wymy-słał służbie, po drugiej tłukł szyby filiżankami i tale-rzami. Ponieważ płacił hojnie, więc znoszono to w hotelu cierpliwie. My nie mieliśmy ochoty znosić tego niechluj-stwa. Jeden z naszego grona, samuraj, pewnego razu usłyszał, że Rosjanin po pijanemu w rozmowie z Angli-kiem przechwalał się, że jest już u celu swych pragnień. Na to Anglik powiedział mu dobitnie: „Pan kłamie“. Wów-czas oficer się zerwał i szklanką cisnął w adversarza. Anglik uchylił się i szklanka trafiła naszego rodaka w po-liczek. Znieważony, przystąpił do Woroncowa, aby go skarcić — ale Rosjanin, większy i silniejszy, uderzył go w twarz. Nazajutrz zaś świadkom jego odmówił sa-



tysfakcji, twierdząc, że z żółtymi się nie bije, a życie żółtego ma dla niego wartość psa podwórzowego; zaraz też wyjechał z Paryża. Nasz kolega, shańbiony, wedle panujących u nas poglądów, musiał sobie odebrać życie, ale obiecaliśmy go pomścić.

Tu, w tym samym pokoju, przysięgaliśmy wówczas naszemu biednemu koledze, że nigdy o nim nie zapomnimy i że go pomścimy. I pomściliśmy go.

Upłynęło lat z górą dziesięć, wybuchła wojna z Rosją i wówczas dostaliśmy go w nasze ręce.“

— Zabiliście? zapytałem.

— „No, nie wprost, odpowiedział, uśmiechając się. Podczas bitwy pod Laojanem dostał się do naszej niewoli. Traktowany był jak wszyscy oficerowie, przyzwoicie, pobierał żołd, jadał z innymi oficerami. Ale i w obozie jeńców nie zaniechał pijaństwa, krzyków i pomiatania służbą. Ordynansi japońscy żalili się na niego, muzyków rosyjskich wymyślał, nazywając ich świniami (swołocz), kopał ich i bił. Co musieli cierpieć w armji rosyjskiej, na to brakło im cierpliwości w niewoli. Wiadomo, że w wojnie światowej żołnierze rosyjscy zabijali podczas bitwy własnych oficerów, którzy ich prześladowali. Rozumie się, my, koledzy zhańbionego, wiedzieliśmy, gdzie jest i oskarżyliśmy go przed naszym sądem wojennym o obrazę narodu japońskiego i przyprawienie o śmierć w Paryżu naszego kolegi, co mógł być przewidzieć i na co, jako świadkowie, zwróciliśmy mu uwagę, żądając przeproszenia lub satysfakcji. Wówczas raz jeszcze uciekł, wystarawszy się o paszport na cudze nazwisko. Ponieważ wojna była już skończona, z łatwością udało się nam dwóm uzyskać zezwolenie na wyjazd w jego ślady. Trzeci nasz towarzysz, profesor literatury, pozostał w Japonji, nie nadawał się do takich rzeczy.

Wyjechaliśmy okrętem tej samej kompanji, do której należał i okręt wiozący Woroncowa, a w każdym porcie przeglądaliśmy spis osób, które wysiadły. W ten sposób stwierdziliśmy łatwo, że wylądował w Bordeaux. Dalsze ślady prowadziły do Biarritz. Pojechaliśmy tam bezzwłocznie, a stąd czyniliśmy wycieczki w głąb kraju. Byliśmy w Haut Cambo i w St. Jean de Luz, przeszliśmy granicę Hiszpanji koło Fuenterrabii, koło Socoa, przechodziliśmy góry Baygoura i Abaracacobarria, ze starego miasta baskijskiego Itxassou,

robiliśmy wycieczki na skałę Rolanda (*Pas de Roland*), wdrapaliśmy się na górę Montdarrain, uczyliśmy się grać w pelotę, rodzaj tenisa baskijskiego w Don Iban Garazi, który Francuzi nazywają St. Jean Pied de Port, przeszliśmy wzdłuż i wszerz dolinę Ronsewalu. W ten sposób zbliżyliśmy się do szlachetnego ludu baskijskiego, który nam służył za przewodnika i obznajamiał ze zwyczajami miejscowemi, a który widząc, że ma przed sobą Japończyków, przyjmował nas wszędzie z sympatją i podziwem. Przypadek zdarzył, że w ostatnim mieście w hotelu „Manguila“, siedząc przy butelce miejscowego wina d'Irouleguy, poznaliśmy dzielnego przemysłnika Zuriollę, przenoszącego z narażeniem życia jedwabie lionńskie do Hiszpanji. Był, jak wszyscy, pełen uznania dla naszego narodu i — dla naszej otwartej dłoni. Zapytany, ile zarabia na jednej wyprawie, wymienił kwotę 100 franków. Wówczas postawiłem mu pytanie, czy chciałby zarobić pięć lub dziesięć razy tyle. Idzie — dodałem — o ukaranie tchórza i zbrodniarza. Opowiedziałem mu całą historję; wzruszony uściśnął nasze dłonie. Na chwilę wszakże obudziło się w nim podejrzenie w prawdziwość naszego opowiadania.

— Będziecie świadkiem naszej rozmowy. Jeżeli nabierzecie przekonania, że mówimy nieprawdę, możecie nas obu zabić. Nie weźmiemy ze sobą broni. Albo oddacie nas policji francuskiej.

— Nie, ja wam wierzę, trudów się nie boję, życie swoje i tak narażam codziennie; raz to uczynię dla sprawiedliwości i ukarania tchórza. A jako broń wystarcza moja makila, sam nie używam nigdy browningu. — Pokazał mi łaskę baskijską o małej gałce, z gęstych rzemieni splecioną, z długim ostrym szpikulcem, ukrytym w pochwie. Mielśmy podobne, kupione w sklepie w Bayonne, ale on miał prawdziwą, równie lekką, a silniej splecioną. Broń ta wystarczy nawet, aby przebić nawskroś waszego Moskala. I podobnie, jak my, nawet w tragicznych chwilach, uśmiechnął się tajemniczo.

Zuriolla znał portjera w hotelu Victoria w Biarritz, w którym mieszkał nasz zbiegły rotmistrz, mający zawsze poufne zlecenia do służby w sprawach miłosnych. Łatwo tedy udało się nakłonić księcia do wyprawy wieczornej łodzią do kasyna della Pergola w St. Jean de Luz, gdzie

zawsze znaleźć można było nietrudne w zawieraniu znajomości Paryżanki.

Przy motorze starej „La Perla“ siedział Zuriolla, któremu na ten wieczór ustąpił swego miejsca za sowitą zapłatą właściwy motorowy, a w ukryciu skuleni siedzieliśmy obydwaj. Po szerokiej zabawie wracał Woroncow nocą z La Pergola do naszego statku. W dwie godziny po północy skierował Zuriolla statek na pełne morze. Tam dopiero wysunęliśmy się z ukrycia i zapytali naszego towarzysza, czy przypomina sobie wypadek w hotelu „Palais Royal“ w Paryżu w roku 1895 ze studentem japońskim, którego uderzył w twarz, następnie zaś odmówił mu zadośćuczynienia, twierdząc, że nie daje go ludziom żółtym, których porównał z psami podwórzowemi, a potem uciekł.

Rosjanin przeraził się z początku, ale nie stracił tupe tu. Wydał rozkaz Zuriolli skierowania łodzi ku brzegowi. W drodze do St. Jean de Luz mieliśmy ciągle po lewej ręce ład stały; wracając, winniśmy go byli mieć po prawej. Obecnie z żadnej strony nie było widać ład. To i nasze niespodziane pojawienie się na łodzi w jednej chwili otworzyło mu oczy na sytuację.

— Czego ode mnie chcecie?

— Przedewszystkiem chcemy ustalić fakty. Pan postąpił z naszym bratem i kolegą nikczemnie i tchórzliwie, obraził naród nasz, a druga rzecz, pan uciekł z niewoli japońskiej w obecnej wojnie. Czy to prawda?

— Prawda, — odpowiedział z wściekłością — ale tu jesteśmy na ziemi francuskiej i choć przewoźnika przekupiliście, to jednak tu nic mi zrobić nie możecie.

Wyciągnął browning. Ale w tej chwili makila Zuriolli zaświstała w powietrzu i browning wpadł w morze. Przekonał się, że ma przeciw sobie trzech zdecydowanych przeciwników. Wówczas nagłym skokiem i mistrzowskim ciosem pięścią wtrącił nas obu z łodzi do morza. W tej chwili Zuriolla rzucił się na niego z tyłu, związał mu ręce, a my, pływając doskonale, z łatwością uczepiliśmy się łodzi; gdy zaś leżał już na dnie łódki ze związanymi rękami i nogami, Zuriolla pomógł nam wsiąść z powrotem.

— Widzę, — powiedział Baskijczyk — że macie do czynienia z łotrem. Czyńcie z nim, co chcecie, i niech wam Matka Boska z Bayonne błogosławi.



Wówczas przykucnęliśmy obaj blisko twarzy Woroncowa i poczęliśmy powoli, systematycznie, bić go po twarzy.

Gdy mu już porządnie twarz nabrzmiała, uznaliśmy, że ma dosyć. Wówczas Zuriolla, tym razem przy naszej pomocy, odwrócił go twarzą ku łodzi i sam począł go okładać makilą. Po jakich 20 razach przestał, twierdząc, że taka dawka zwykle wystarcza. Zresztą trzeba było wrócić do motoru. Natarł mu twarz orzeźwiającą esencją i oświadczył sarkastycznie, że gotów go uwolnić od naszego towarzystwa. Nam dał w rękę po rewolwerze i polecił w razie podejrzanego ruchu Woroncowa strzelać. Następnie zwolnił go ze sznurów i jednym umiejętnym kopnięciem przerzucił go do morza. Odpłynęliśmy szybko. Nie przypuszczam, aby zdołał wypłynąć. Koło szóstej rano dopiero przybiliśmy do lądu w starym porcie.

Pan rozumie, że i z Biarritz łączą mnie miłe wspomnienia“.

Milczałem. Straszny był ten mały człowiek, taki zupełnie inny, niż my. Odsunąłem się mimowoli na fotelu.

„Pan się przeraził. A tak! Wy Europejczycy jesteście humanitarni. Nie zrobilibyście nic podobnego. Ale, gdy przybywacie do innych części świata, mniej się liczyicie z dziesięciorgiem waszych przykazań. Czy może życie murzyna, czy Chińczyka mniej jest warte w istocie, aniżeli życie białego? I czy mniej waży w oczach Boga? Po wtóre zaś wasz humanitaryzm jest nawskroś patologiczny. Macie współczucie dla zbrodniarzy, którego oni nie mają dla swych ofiar. Staracie się uczynić im życie znośnem, nawet wygodnem w więzieniach, a nie myślicie o tych, którzy, nie popełniwszy żadnej zbrodni, umierają u was z głodu. My zaś mamy przedewszystkiem współczucie dla niewinnych, a nie szczędząc surowych kar winowajcom, zbrodnię czynimy rzadszą i mniej ponętną.“

Nic nie umiałem odpowiedzieć na ten argument.



### III.

Japończyk o mniejszościach narodowych. — Wołyń i Polesie. — Żydzi, ich potęga w świecie. — Numerus clausus.

Mimo strasznego opowiadania mego przyjaciela, nie mogłem się wyrzec jego towarzystwa. Nie opuściło mnie uczucie grozy, ale starałem się tłumić je w sobie argumentem, że faktycznie Woroncowowi stało się tylko to, na co zasłużył, znając poglądy japońskie i wiedząc, że odmowa satysfakcji pociągnie za sobą samobójstwo znieważonego — powtóre zaś mój Japończyk mówił tak ciekawie, miał tak wszechstronne wiadomości i tak bystry sąd o rzeczach nawet odległych, że trudno mi się było wyrzec jego towarzystwa.

Nazajutrz oznajmił mi, że pragnie dowiedzieć się, czy Zuriolla żyje jeszcze, i że wybiera się w tym celu do Biarritz. Postanowiłem mu towarzyszyć.

Rozmowa w wagonie zeszła na kwestję mniejszości narodowych, którą przyjaciel mój znał dobrze, przestudjował bowiem wszystkie dotyczące protokoły Ligi Narodów i wybitnych pisarzy wszystkich kierunków.

— W każdym państwie — mówił — mieszkają obok zbitej masy ludności, nadającej fizjognomję państwu, dającej mu język, jeszcze inne, obce. Tak jest w Japonji i w Chinach, tak jest w okrojonych Niemczech, we Francji, na półwyspie Bałkańskim. Nie inaczej jest u was w Polsce. Zasada narodowościowa mogła zmniejszyć tę przymieszkę obcych narodowości, ale nie zdołała jej całkiem usunąć. Aby to osiągnąć, trzebaby chyba innym narodowościom tak uprzyjemnić pobyt w danem państwie, aby członkowie jej sami zdecydowali się na emigrację do tego kraju, w którym stanowią żywioł państwowy. W obronie

jakiegoś stanu posiadania nie wystarczają ani argumenty etnograficzne, ani historyczne. Na waszą korzyść przemawia zasada etnograficzna, gdy chodzi o Śląsk; zasada historyczna, gdy chodzi o Wołyń i Polesie. Ostatnie te kraje zdobędziecie dopiero, gdy je strawicie, a strawicie dopiero, gdy je zaludnicie polskimi osadnikami. Nie można mówić o żadnem naturalnem prawie Białorusinów, czy Rusinów do nabywania ziemi dawniej polskiej, należącej do waszej większej własności ziemskiej i raczej możnaby mówić, że wy, wy sami, macie w tym kierunku przywileje. Coż, kiedy chłopci wasi podobno nabywają tam ziemię, a potem odsprzedają ją Rusinom? Czy to prawda? Czy nie możnaby postanowić, że ziemia, nabyta wskutek parcelacji, jest przez 20 lat bezwarunkowo niesprzedajną, stanowi rodzaj zagrody włościańskiej, znanej pod nazwą *home-stead* w Stanach Zjednoczonych? Panować będzie ostatecznie w tych krajach nie ten naród, który tam żył paręset lat temu, ale ten który teraz okaże największą ekspansję i żywotność. To darmo, takie jest prawo życia. I my zaludniamy dziś obce kraje, panujemy dziś w Korei, na Sachalinie, w Mandżurji, wnikamy do Meksyku i Peru i we wyspy Sundajskie. Pan się dziwi mojej niekonsekwencji, ponieważ onegdaj mówiłem o potrzebie wypędzenia Europy z Azji. Ale tu sprzeczności nie ma żadnej. I tam i tu rozstrzyga siła. I nie ma w tem żadnej niemoralności. Kto jest niekontent z danego stanu rzeczy, ma na to jeden właściwie tylko skuteczny środek: starać się samemu być silnym i silniejszym, niż inni. Ma pan np. naród żydowski, który dziś bez ziemi zawojował Europę i Amerykę. Wojna jeszcze bardziej wzmogła siłę kapitałową tego narodu. Gdy dawniej bodaj finansjera amerykańska była przeważnie chrześcijańską, dziś przynajmniej połowa jej to Żydzi. W Anglii, Francji, Niemczech największe banki są w rękach żydowskich. Część tego narodu degeneruje się, część wsiąka w społeczeństwo aryjskie i z niem krzyżuje się małżeństwami, ale jeżeli nie potraficie im dorównać w walce, Europa i Stany Zjednoczone prędzej, niżby kto myślał, będą rządzone przez Żydów.

Tylko jeden sposób usunąłby przewagę Żydów: stworzenie takiego ustroju, który, nie będąc ani kapitalistycznym, ani kolektywistycznym, odebrałby im wpływy, jakie mają dotąd. Dziś rządzi na zachodzie

Europy i w Stanach Zjednoczonych wszechwładnie pieniądź — to domena żydowska. Na wschodzie rosyjskim pozorny kolektywizm wyłonił z siebie potwory, prześladowające i mordujące z tytułu racji państwowej wszystkich inaczej myślących, a obok nich znów kapitalistów, żyjących z wyzysku innych — tylko, że obecnie pomieniały się role. Książę Golicyn jest szewcem, a jakiś komisarz bolszewicki rozpiera się w pałacach i willach.

— Jaki to ustrój ma pan na myśli?

— Ustrój, w którym pieniądź odegrałby ograniczoną rolę, choć nie straciłby zupełnie znaczenia, w którym uczciwość i honor odzyskałyby dawne stanowisko przeważające, w którym każdy czyn nikczemny spotkałby się z ogólną pogardą i potępieniem społeczeństwa, podczas gdy dziś w Europie bogaty jest bezkarnym, a fakt posiadania pieniędzy zakrywa źródło, z którego pochodzą. Po wtóre ustrój, w którym własność pociągałaby za sobą obowiązki. Nie byłoby ani zbrodni, ani nędzy, lub bodaj nie byłoby ich tyle, gdyby bogaci wysokim podatkiem obłożyli samych siebie, tak, aby starczyło na danie utrzymania wszystkim mieszkańcom. Ale poco ja to mówię — i to jeszcze do ekonomisty. Musi pan znać lepiej ode mnie to, co zaleca w tym względzie Tomasz z Akwinu, wielki wasz filozof, do czego wracają obecnie niektórzy pisarze francuscy i angielscy.

— Czy nie sądzi pan, że wobec groźnej przewagi intelektualnej żywiołu żydowskiego w Europie i Ameryce, o której sam pan wspomina, nie należałoby ograniczyć ich prawa uczęszczania do szkół bodaj najwyższych, do pewnego procentu, odpowiadającego ich liczbie ludności?

— Pan mówi o *numerus clausus*, przeciw któremu tak gorąco przemawiał prof. Aulard na zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Ligi Narodów w Warszawie. Mam ze sobą protokoły obrad.

Tu wyjął z kufierka i pokazał mi obszerne *comptendu*, które dopiero co się pojawiło.

— Nie jestem przyjacielem *numerus clausus* i rację mają, mojem zdaniem, ci, którzy domagają się nieograniczonego dopuszczania do nauki wszystkich. Już w imię świętości nauki mają pozycję tak silną, że wszelkie ograniczenia wydać się muszą krzywdą. Jeżeli naród panujący nie jest zadowolony z niebezpiecznego wpływu



narodu mniejszości, może i powinien z nim rywalizować. Niechaj zachęca swych członków do intensywniejszej pracy, a wówczas stosunek, dziś niekorzystny, ulegnie zmianie. Niepodobna odmówić wstępu do źródła wiedzy komuś, dlatego, że jest Żydem, tak samo jak niemożliwe by było odmówić mu przystępu do źródła wiary, a więc do chrztu. Ale ja was rozumiem. I wy także macie rację. Wam nie chodzi o naukę oderwaną, ale o to, że poważna część lekarzy, adwokatów, urzędników, nauczycieli należy już dziś i w dalszym ciągu należeć będzie do członków innego narodu. A rzeczą nie do zniesienia byłoby w każdej potrzebie życiowej uciekać się z konieczności do obcych, nie mając pod dostatkiem swoich. Tylko że *numerus clausus* nie jest odpowiednią drogą do naprawiania tego stanu rzeczy. Wie pan, co powinniście zrobić? Oto co innego jest nauka, a co innego urząd. Do nauki należałoby dopuścić każdego, kto ma ku temu warunki; posadę osiągnąć powinien ten tylko, kto zasługuje na zaufanie narodu panującego. Powinna być pewna ograniczona liczba lekarzy, czy adwokatów; tak zwana „wolność“ zawodu i tak wytwarza tylko nędzę. Posady te powinna obsadzać komisja państwowa. O przyjęciu do urzędów rozstrzygać również powinna komisja i to uwzględniając nietylko kwalifikacje fachowe, ale i osobiste. To nie dosyć, że ktoś skończył uniwersytet, jeśli nie budzi w społeczeństwie zaufania, jeżeli niema tych samych, co jego większość, ideałów, przekonań, poglądów. Nie można żądać w imię równouprawnienia od żadnego społeczeństwa samobójstwa. A byłoby niem obsadzanie wybitnych stanowisk swymi wrogami. Nie znaczy to jednak, by wykluczyć żydów. Należy wykluczyć tylko tych z pomiędzy żydów, czy też chrześcijan, którzy są wrogo usposobieni dla narodu panującego. Dziś jest to niemożliwe, bo każdy, kto złoży doktorat, może leczyć u was swych bliźnich, a każdy, kto złoży egzamin adwokacki, może otworzyć biuro. Gdy ten nielogiczny stan rzeczy ulegnie zmianie, żądza wiedzy narodów mniejszościowych sama zmaleje, a narodu państwowego się wzmoże.

---



#### IV.

Do Bayonny na walkę byków. — Porządek walki. — Najwyższe odznaczenie zwycięzcy. — Walka. — Wrażenie.

Bayonne jest ślicznem miasteczkiem nad rzeką Adour, ze wspaniałą katedrą, poświęconą Matce Boskiej, pełnem wspaniałych sklepów, szczycącym się starym zamkiem (*Chateau Vieux*), pięknym pomnikiem kardynała Lavigerie, rodem z Bayonne, o którym Gambetta, człowiek nie wierzący, powiedział, że położył w Afryce większe zasługi dla Francji, aniżeli cały korpus armji, a którego Leon XIII zaliczył do ludzi najzasłużeńszych dla chrześcijaństwa. Obaj mieli na myśli jego nieustraszoną, długoletnią walkę przeciw niewolnictwu murzynów. Z Bayonne pochodził i sławny Karol Floquet, wybitny mówca i marszałek Izby, który, będąc młodym studentem, zawołał ku bawiącemu w Paryżu carowi Aleksandrowi II: *Vive la Pologne, Monsieur*. Oficjalna republika była w największym kłopotcie, mali rentjerzy i liczący na pomoc rosyjską patrioci byli oburzeni. Floquet powędrował podobno do aresztu. Ale okrzyku tego nie zapomnieliśmy. Jest i drugi łącznik Bayonny z Polską: portret Paderewskiego pendzla Bonnat, sławnego malarza francuskiego, w muzeum noszącem jego nazwisko. Bonnat urodził się również w Bayonne, a u schyłku życia do niego powrócił i miastu rodzinnemu, wywdzięczając się za wypłacaną w ostatnich latach emeryturę, zapisał bezcenny zbiór własnych i cudzych obrazów, między którymi znajduje się sporo arcydzieł. W Bayonne wreszcie ofiarowały panie miejscowe z tow. Czerwonego Krzyża podczas wojny światowej formującym się tu oddziałom polskim sztandar z orłem białym. Było więc sporo przyczyn, aby tu przyjechać.

Właściwym celem naszego przyjazdu była atoli chęć zobaczenia walki byków, na ten dzień w Bayonne zapowiedzianej, jak również wiadomość, że między matadorami (tak tu nazywają toreadorów) jeden nazywał się Emilio Mendez, a jak sobie mój towarzysz przypomniał, siostra Zuriolli wydana była za właściciela małego sklepu, Mendeza w Itxassou, a mój Japończyk był nawet raz z Zuriollą u niej z wizytą. Przypuszczał więc, że od występującego na arenie Mendeza dowie się czego o Zuriolli, jeśli identyczność nazwiska i miejsca pochodzenia nie była, tylko przypadkową. Jakoż nie tylko poznaliśmy się z Mendezem, ale i zetknęli z Zuriollą, który przyjechał na występ siostrzeńca.

W otwartej arenie, przeznaczonej na sześć tysięcy widzów, nie zasłoniętej i amfiteatralnie zbudowanej, do walki wystąpiło trzech matadorów z sześcioma bykami, maści czarnej z genaderji (stajni) Donny Carmen Federico w Sewilli, dawnej stajni Murube, mającej światową sławę. Każdy matador miał zadanie pokonania w dwóch starciach po jednym byku, razem więc stoczyli walk (lidia) sześć.

Przedstawienie zaczęło się od uroczystego wjazdu (paseo) dwóch alguazilów (policjantów w strojach średniowiecznych) z matadorami we wspaniałych kostjumach i ich cuadrillas, złożonych z pomocników każdego z matadorów. Gdy prezydent zebrania, jakiś markiz hiszpański, rzucił z łoża alguazilom klucz do torilu (miejsca, w którym zamyka się byki aż do przedstawienia), otwarto toril i pokolei wpuszczano po jednym byku. Każdy miał wstążkę jedwabną, wpiętą w skórę dla oznaczenia genaderji. Oczekują go już na arenie peones, drażniący go i ściągający na siebie jego uwagę płachtą czerwoną (capa), tudzież dwaj picadores, na starych, chudych szkapach, trzymających w prawej ręce długie i ostro zakończone lance (varas). Byk wchodzi zazwyczaj spokojnie, rozgląda się, ale wnet ciągle ukazywanie mu płachty i bezskuteczne próby przebodzenia jej i śmiałka, który mu ją ukazuje, wprawiają go w rozdrażnienie. Z różnych stron podbiegają ku niemu peoni. Tyłu nieprzyjaciół! Byk czuje to gremjalne naigrawanie się z niego. Któryś z czerwono ubranych służących bierze wówczas za uzdę szkapę o oku od strony byka przewiązanem, wzdragającą

się, przeczuwającą niebezpieczeństwo, i podprowadza ku bykowi, a pikador skierowuje lancę ku przeciwnikowi. Wówczas byk, doprowadzony do ostateczności, rzuca się naprzód, wbija rogi w brzuch konia i niemal od pierwszego ciosu wypruwa mu wnętrzności. Koń nie broni się, nie odskakuje nawet, bo nie ma sił. To prawdziwa Rozynanta z Don Kichota. Pikador nie broni jej również, markuje ledwie uderzenie lancą. Główną jego troską jest podnieść jak najwyżej nogę od strony byka, aby bykowi przypadkiem nie przyszła fantazja przebicia jej, a następnie jak najprędzej zsunąć się z siodła z drugiej strony i schronić się za barjerę. Wyjątkowo któryś ambitny pikador całą siłą wbija lancę bykowi w krzyże i uwalnia w ten sposób swoją szkapinę. Ale i wówczas nie na długo przedłużył jej życie. Podprowadzają ją po raz wtóry pod byka, więc zginąć musi. Publiczność jednak oklaskuje dzielnego pikadora. Nieraz w ten sposób byk rozjuszony zabije po dwa i trzy konie, zanim rozpocznie się akt drugi. Peonowie, w dalszym ciągu drażniąc zwierzę, ściągają je ku miejscu, w którym umieścił się *banderillero*, trzymający w obu dłoniach harpuny (*banderillas*), wyglądające na różnokolorowe świece woskowe. Zadaniem jego jest wbić te harpuny głęboko w ciało byka, tak, aby mimo wszelkich wysiłków zwierzęcia nie wypadły i następnie w okamgnieniu zręcznie odskoczyć. Dopiero po sześciu „świeczkach” żółtych, różowych, fioletowych uważa się, że ma dosyć. Muzyka oznajmia początek trzeciego aktu (*f a e n a*): walkę o śmierć i życie. *E s p a d a* (inna nazwa *matadorów*) staje przed lożą prezydenta i składa przysięgę, że albo zabije byka, albo byk jego zabije. W lewej ręce trzyma *mule tē*, purpurową płachtę, w prawej szpadę na 90 cm długą. Peonowie nie ustają w pracy. *Espada* rozpoczyna zabawę w „*veronica*“, *Zarzuca* *muletę* bykowi na oczy i cofa ją w tej chwili, odskakując coraz w inne miejsce i znów zarzucając nań *muletę*. Bykowi gniew odbiera tę odrobinę rozumu, którą posiada. Ślina spływa mu z pyska, groźne wydaje odgłosy. Mimo to ma się wrażenie, że byk bierze udział w zabawie, tak nieprawdopodobną wydaje się jego głupota. Nareszcie błyska szpada i wbija się bykowi powyżej karku. Czy utkwiała dosyć głęboko, aby nie wypadła, czy trafiła we właściwe miejsce? Aż sześciu pchnięć coraz nowymi szpadami,



podawanemi przez służbę, potrzebował pierwszy espada, Julian Saleri II, aby zabić ostatecznie byka. Oburzona widownia gwizdała i obrzucała go obelgami. Słowo: *assasino* (morderca) zawołał śmiały Kastyljczyk, który siedział obok nas w łoży. Mendez natomiast byka swego zabił jednym pchnięciem szpady, którą zanurzył odrazu w ciele do połowy. Byk ukląkł i nie potrzeba było nawet *puntillera*, aby mu sztyletem zadać cios śmiertelny zbok. Owacje publiczności były ogromne. Na jej żądanie odcięto bykowi część ogona i wręczono zwycięzcy. Jest to podobno najwyższe odznaczenie, większe nawet, niż wręczenie ucha byczego zwycięskiemu espadzie. Przyjaciele i zwolennicy Mendeza, których każdy matador miewa mniej albo więcej (*afficionados*), nie posiadali się z radości. Mimo to palmę zwycięstwa w oczach znawców odniósł nie on, jeszcze lat temu dziesięć szewczyk bez wykształcenia, ale trzeci espada, Ignazio Sanchez Mejijas (wym. Mechijas), były student medycyny, starszy niż Mendez (lat 36), przewyższający go urodą, inteligencją i siłą. Jego „weroniki“ były wzorem elegancji. Mendez zręcznie zabijał, Mejijas bawił się. Mówił do byka, uśmiechał się, siadał na kamiennej ławce blisko niego, przysuwał się do niego coraz bliżej, a byk tą dobrotliwą postawą był jakgdyby ogłupiały, uspokajał się. Wreszcie Mejijas był solidarny i koleżeński. Byk ostatni, z którym walczyć miał Mendez, był najniebezpieczniejszy i zaraz z początku wbiegł w zewnętrzne koło areny, tuż przy publiczności, usiłował nawet przeskoczyć barjerę i rzucić się na tłum zgromadzony. Zaczynał się popłoch. Wówczas nietylko Mejijas, który był już skończył swą czynność, zdołał ściągnąć na siebie byka i wywabić z ogrodzenia napowrót na środek, ale i później, gdy pierwszy cios Mendeza chybił (pierwszego byka udało się Mendezowi zabić odrazu), wspierał go umiejętnemi radami. Studja anatomiczne na medycynie oraz wyższość człowieka, który uczył się czegoś w życiu, dawały się poznać odrazu.

Wrażenie całego przedstawienia było nadzwyczajne. Widok koni rozpruwanych ogromnie mnie przejął; walka ostateczna niesłychanie mnie zainteresowała. Ale napięcie nerwów było tak silne, że drugi raz już nie chciałym uczestniczyć w najwspanialszem choćby przedstawieniu.



## V.

Rozmowa o walce byków. — Japończyk o dodatniej jej stronie. —  
Równość i nierówność. — Powierzchnowa wiara Europy.

Gdy się wszystko skończyło, a pozostali tylko zwycięzcy, otoczeni wielbicielami i przyjaciółmi, bystre oko barona Yoshi dojrzało obok Mendeza Zuriollę. I ja byłem ciekaw poznać starego wygę. Przywitanie jego z moim Japończykiem było bardzo serdeczne. Mendez pożegnał się po chwili, a my we trzech skierowaliśmy się ku małemu, bywalcom tylko znanemu lokalowi, mieszczącemu bufet i dwa pokoje gościnne, a odwiedzanemu przeważnie przez Basków, rodaków właściciela. Zuriolla zażądał dla nas krajowego wina, Ironléguy z wodą Ramuntcho, wodą mineralną z Bidart. Zapanowało milczenie. Zasada Basków jest: „Pij naprzód, potem mów“ (*edan lehenic, mintza azkenic* po baskijsku), więc skrupulatnie zachowaliśmy ten przepis. Pierwszy przerwał milczenie Zuriolla. W rozmowie z Yoshim zaczęły sypać się wspomnienia i opowiadania przeżytych losów. Ale wnet zeszła rozmowa na walkę, której byliśmy świadkami. Gdy wspomniałem o głębokiem i wstrząsającym wrażeniu, jakiego doznałem, i barbarzyństwie tych tysięcy ludzi, znajdujących upodobanie w takiej walce, niegodnej Europejczyka, baron Yoshi rzekł do mnie:

— Zapomina pan o wojnie światowej i wojnach wogóle. Gorzej zabijać ludzi, niż zwierzęta. Te straszne okrucieństwa, jakie popełniali Niemcy w Belgji i Francji, jakich dopuszczali się wcześniej w Chinach, wówczas, gdy hr. Waldersee był wodzem naczelnym armji niemieckiej i działał wedle rozkazu Wilhelma II, że „nie należy brać jeńca, ale mordować wszystkich“ — przewyższają przecie wszystko, co kiedykolwiek robili Asyryjczycy czy Babi-

łończycy. A masowe mordowania Malajczyków, popełniane przez Holendrów na Jawie, Hindusów przez kompanję wschodnio-indyjską i potem przez rząd angielski, a dawniej jeszcze mordy Indian przez conquistadorów hiszpańskich i portugalskich, murzynów przez Anglików w Afryce? A prawo lynchu w Stanach Zjednoczonych, dotąd trwające? A to wszystko działo się i dzieje pod pozorem walki o cywilizację i pod hasłem szerzenia chrześcijaństwa. Ale jest jeszcze drugi argument, który usprawiedliwia walkę byków. Póki istnieć będą wojny, chodzi o to, aby w ludziach utrzymać ducha wojennego i pogardę śmierci. Ta ostatnia jest konieczna. Gdyby nie ta pogarda, my, Japończycy, nie bylibyśmy tem, czem jesteśmy. Człowiek odważny, to niekoniecznie siłacz o wyrobionych mięśniach, ale to zawsze człowiek, dla którego osiągnięcie celu: zwycięstwa, jest stokroć ważniejsze, aniżeli życie własne. Tego uczy Hiszpanów walka byków i to jest strona dodatnia tego sportu. Widział pan, jak peonowie i banderillerowie i nawet jeden z *espados* chronili się przed bykiem za barjerę? To wstyd. Ale jeden z pikadorów i dwaj przynajmniej *espados* dowiedli pogardy śmierci i za to frenetycznie oklaskiwani byli przez tysięczne tłumy, zapełniające arenę. Nie myśl pan, że to tylko objaw wyjątkowy. Dobre, jak i złe czyny są zaraźliwe.

— Nie mogę pogodzić znanej pobożności Hiszpanów z tym objawem dzikości. Ale wy obywatel się bez walki byków, nieprawdaż?

— U nas, to co innego. My uprawiamy kult przodków, a o śmierci myślimy jako o rzeczy nie tylko nieuniknionej, ale i dobrej. Materializm z jego płytkim sceptycyzmem i tchórzostwem przed śmiercią niezgodny jest z *bushido*, z duszą japońską.

— Wszak i u was istnieje marksyzm, oparty na materialistycznym pojmowaniu dziejów?

— „To małpowanie Europy, które nie ma żadnego oparcia głębokiego w naszym narodzie, ani też w całej kulturze japońskiej. U nas niema nikogo, kto by sądził, że jego żywot kończy się na ziemi, i kto by wierzył w możliwość wprowadzenia zupełnej między ludźmi równości. Żądanie równości, to niedorzeczność. Tak się złożyło, że my i Anglicy osiedliliśmy się na wyspach i dlatego jesteśmy urodzonymi żeglarzami. Gdyby przodkowie nasi osie-

dlili się byli na wyżynach Tybetu, a Anglicy w Szwajcarii, nie mielibyśmy pojęcia o morzu. I wy wolelibyście zapewne, gdyby przodkowie wasi osiedlili się byli nad Renem lub nad Garonną. Ale stało się inaczej i wiecie dobrze, że dziś nie potraficie wypędzić z tych pięknych siedzib tych, którzy was wypredzili. Tak samo jest z jednostkami. I najskrajniejszy zwolennik równości nie wypędzi nikogo z wygodnego miejsca w wagonie kolejowym, jeżeli wsiadł później. Przesąd równości chce, aby wszyscy siedzieli niewygodnie, albo by miejsce poprzedniego pasażera przy oknie zajął, w imię równości, inny pasażer, a dawny stanął na korytarzu. Bardzo dobrze, ale i to będzie nierówność. Tak samo Europa zabrać pragnie to, co do niej nigdy nie należało, i dlatego stworzyła fikcję niższości naszej kultury i wymyśliła pojęcie „kolonij“. Walka byków w sam raz odpowiada poziomowi kultury europejskiej. My kochamy zwierzęta, wy się nad nimi pastwicie. Dla nas przyroda jest źródłem nieustannego podziwu i rozkoszy, wam służy do coraz nowych wynalazków, jakim sposobem zabić innych ludzi. Jesteście wielcy w fizyce i chemji oraz we wszystkich naukach technicznych, to wam przyznaję — ale mali duchem. Czemże był Dżingischan czy Attyła, albo Neron czy Kaligula, wobec wynalazców gazów trujących? Nędznymi partaczami. Nikt z was nie wymyślił sposobu przedłużenia życia ludzkiego, ale nato, jakby je skrócić i jakby mękę żywota uwielokrotnić, wynaleźliście tysiące sposobów. Mnie się zdaje, że tak się dzieje dlatego, że wasza wiara jest zupełnie powierzchowna. Tylko człowiek wierzący ma pogardę śmierci, bez której żaden czyn wielki w świecie się nie dokonał, żadna prawda nie utorowała sobie drogi. Czy jest gdzie w Europie jeden człowiek, którego możnaby porównać z mędrcelem indyjskim, Rabindranathem Tagorą lub ze szlachetnym Mahatmą Ghandim, który lepiej, niż ktokolwiek, zrozumiał, że jedynie zasada ewolucji rządzi historją?“

Przed oknami baru naszego przejeżdżały z piekielnym hałasem setki automobilów. Wracały po skończonem widowisku do Biarritz i rozsianych w sąsiedztwie will, pałaców i hoteli.

Po chwili w wygodnym automobilu barona Yoshi i my wróciliśmy do Biarritz.



## VI.

Lourdes — Pau — Baron Yoshi katolikiem.

Powracam dziś myślą do słonecznych dni, spędzonych razem z bar. Yoshi w południowej Francji. Tam odczuliśmy głęboko, jak wielkie są cuda Boże i jak nikczemnie ludzie wyzyskują je dla własnej korzyści materialnej. Proszę sobie wyobrazić miasteczko, pełne słońca, rozłożone znacznie poniżej dworca kolejowego, skąd toczą się wdół dwie linie tramwajowe, ku wspólnej stacji końcowej, obok której mieszczą się wspaniałe kościoły i rozległa, na procesję przeznaczona esplanada. Oto Lourdes. Brud południa i tumany kurzu, to cechy, rzucające się przedewszystkiem w oczy i wpadające w płuca — a w hotelu Royal zdzierstwo i nieuczciwość kelnerów. Całe miasto żyje z setek tysięcy pątników, a nie dla ich wygody nie czyni. Bruki fatalne, jezdnia przypomina drogi w małym miasteczku b. Królestwa, setki automobilów nieustannie pędzą ku kościołom. Biada dławiącym się od kaszlu przechodniom! Oto pierwsze wrażenie, niekorzystne i przykre!

Zato na rozległej przestrzeni „świętej“ czeka nas wspaniały widok. Ku górnemu kościołowi, bazylice, prowadzą wspaniałe balustrady, poniżej krypta z konfesjonalami, a jeszcze niżej, narówni z ziemią kościół Różańcowy. Naprzeciw kościołów u początku rozległej esplanady, po której posuwają się procesje, precudny posąg Matki Boskiej, nieco dalej wspaniała Kalwarja z bretońskiego granitu, z Chrystusem i dwoma łotrami nadnaturalnej wielkości, a u drugiego wejścia św. Michał, zabijający smoka. U boku kaplica pamiątkowa na cześć poległych w wojnie światowej, dotąd nieskończona. Z drugiej strony skał Masabiella, na których wznoszą się kościoły, słynna

grota, w której Matka Boska ukazała się małej, niepiśmiennej dziewczynce, Bernadecie Soubirous, nakazując jej za szóstym ukazaniem się modlić za grzeszników.

Stojąc plecami do kościoła Różańcowego, widzi się na jednym pagórku zamek, w którym obecnie mieści się „muzeum pirenejskie“, ku szczytowi drugiego wjeżdża się koleją zębatą, a z obydwóch rozległy i piękny przedstawia się widok. Za kościołami, wkrąg dużego pagórka, umieszczono 14 stacyj drogi krzyżowej, z ogromnemi, częściowo bardzo udatnie wykonanemi rzeźbami, wzniesionemi kosztem różnych diecezyj francuskich. Tylko koszta dwóch grup ostatnich ponieśli katolicy włoscy i węgierscy, co wyraźnie zaznaczono na tablicach.

W polskim języku spowiadać się nie można. Są tylko księża, umiejący po francusku, hiszpańsku, włosku i — „alzaczu“. Ten ostatni język stworzono, aby nie wymienić niemieckiego, w którym Alzatzycy przeważnie modlą się i spowiadają.

Gdy robotnicy polscy, bawiący we Francji, przyjechali w lecie do Lourdes wraz ze swymi kapłanami, mogli się spowiadać po polsku, ale oczywiście tylko u własnych, przybyłych wraz z nimi księży, którzy tym sposobem mieli podwójny trud: troszczenia się o umieszczenie i oprowadzanie rodaków i załatwiania funkcyj duchownych, czego romanscy księża, przybywający do Lourdes wraz ze swymi owieczkami, czynić nie potrzebują.

Sklepów wzdłuż obu linii tramwajowych tysiące. Sprzedaje się w nich tylko obrazki, różańce, medaliki, widokówki. Bracia, szwagrowie, wujowie i t. d. błóg. Bernadetty wypisują sobie bezczelnie na szyldach dla reklamy stopień pokrewieństwa z tą, której cała ta górską miejscina zawdzięcza sławę światową i dobrobyt. Zasada: *Ne misceantur sacra profanis* nie jest tu uznawana!

Ale przestańmy wreszcie krytykować! Na wspaniały plac przed kościołami zwozi się na czas procesji w wózkach ciężko chorych, tu tysiączne tłumy śpiewają pieśni nabożne, a opodal przed grota na wzniesionej kazalnicy ksiądz nieustannie odprawia modły. *Nous croyons, mais augmentez notre foi* (Wierzymy, ale pomnóż, Boże, wiarę naszą); a następnie: *Faites que je vois; Faites, que j'entends; Faites, que je marche* (Spraw, Boże, abym odzyskał wzrok, słuch, władzę w nogach) i t. d. A rzesze

chorych wierzących powtarzają te słowa w skupieniu i z głębokiem przejęciem. Parę kroków od grotty znajdują się dwie sadzawki, napełnione cudowną wodą, wytryskającą z grotty, w których kąpią się chorzy.

A od czasu do czasu bywają istotnie cudowne, stwierdzone jako niewyjaśnione przez kolegów lekarzy miejscowych, uzdrowienia. Ci tylko, którzy potrafią oderwać się od pyłu ziemi, którzy głęboko i prosto wierzą, wierzą bez zastrzeżeń, osiągają łaskę nadprzyrodzoną. Wrażenie nabożeństw, grotty osmolonej płomieniami tysięcy i tysięcy pochodni, które tam płoną nieustannie, tysięcy wotów, umieszczonych w kościołach a pochodzących od uzdrowionych, widok rozmodlonych tłumów, cudownego otoczenia, pięknej architektury kościołów — jest wielkie i niezatarte. To jedna z rzeczy, które pozostaną w pamięci przez całe życie i dadzą otuchy i pocieszenia w chwilach przygnębienia. *Sursum corda!* Modliliśmy się tam o to gorąco, aby uczciwość zapanowała w Polsce i aby jej samej i w niej nam wszystkim łatwiej było żyć, niż dotąd.

Gdy przejeżdżając do głębi wrażeniami z Lourdes, zatrzymaliśmy się w niedalekiem Pau, dawniej ulubionej rezydencji Napoleona III i Eugenj, którego główny plac z widokiem wspaniałym na Pireneje ozdabia pomnik króla Nawary i Francji, Henryka IV, baron Yoshi znowu w niezwykłe wprowadził mnie zdziwienie. Widziałem, że w Lourdes klęczał czas dłuższy przed grotą i żarliwie się modlił, widziałem, że przystępował do komunji; dowiedziałem się więc, że jest katolikiem i to katolikiem z przekonania, jednak zachowałem w tej delikatnej sprawie milczenie, uważając, że nie jest moją rzeczą dopytywanie się i badanie.

Nazajutrz po przybyciu do Pau oglądaliśmy stary i niepozorny domek jednopiętrowy, w którym przyszedł na świat Bernadotte, syn adwokata jak Napoleon, późniejszy marszałek Francji, a następnie król szwedzki. Po śniadaniu baron Yoshi nareszcie sam zaczął mówić o sobie.

— „Jak pan widzi, jestem katolikiem. A wie pan, jak do tego doszło? Bóg cudami prowadzi nas do Siebie. Cuda te dzieją się ciągle, ale my ich nie dostrzegamy. Jednych ściele do stóp Bożych niesłuszne prześladowanie, drugich popełniona zbrodnia, wszystkich cierpienie. W tym ogniu kruszeje stal naszej pychy. Ja zostałem katolikiem dzięki



owemu Woroncowskiemu, a raczej wskutek zbrodni, którą na nim popełniliśmy. Od owej chwili nie opuszczała mnie myśl, że byłem prostym mordercą. Gdy jako minister pełnomocny reprezentowałem mikada na jednym z mniejszych dworów europejskich, zwierzyłem się szlachetnemu prałatowi, przydzielonemu do nuncjatury w siedzibie mego poselstwa. Zostałem katolikiem: mój japoński towarzysz zbrodni zmarł, zanim zdołałem otworzyć mu oczy na ohydę czynu, jaki razem popełniliśmy. To, że umarł nienawrócony i nie żałujący za grzech, powiększało moje przygnębienie. Gdy pogrom bolszewicki szerzył spustoszenie wśród rodzin arystokratycznych Rosji, sądziłem, że może krewni Woroncowa uratowali się ucieczką do krajów cywilizowanych, że są w niedostatku, że będę mógł choćby z największym uszczerbkiem własnym im dopomagać. Ale nie danem mi było tak łatwo odpokutować za swoją winę. Krewni najbliżsi Woroncowa wszyscy zginęli od kul bolszewickich. I odtąd, zdala od najdroższej ojczyzny, wędruję po Europie i tym, których mniej lub więcej nienawidziłem, lub którymi gardziłem z głębi duszy, staram się czynić dobrze, wyszukuję ich i ratuję, wspieram ich, kształcę, pouczam, być może, wychowuję przyszłych wrogów mojej ojczyzny. Porzuciłem służbę dyplomatyczną i oddałem się wyłącznie zadaniu, które zdawałoby mi się dawniej szeregiem czynów obłąkanego.

„Jesteś prawdziwym samurajem“ — powiedział mi na pożegnalnej audjencji sam wielki mikado. Ale to nie wszystko. Na tradycję rycerską, od lat tysiąca trwającą w moim rodzie, padł ożywczy promień ze spojrzenia umierającego na krzyżu Zbawiciela i dzięki niemu stał się cud: uwierzyłem. Bywają chwile, gdy bywam i teraz jeszcze pełnym nienawiści synem Wschodu, wówczas to czyn mój napędza mnie dumą. Gdy opowiadałem o nim panu, chciałem wydać się groźnym, chciałem, by według mnie sądzono nas wszystkich, aby bano się Japończyków. Ale gdy widziałem w Lourdes, że i pan wierzy, i pan się kaja, i pan płacze u stóp Matki Bożej, postanowiłem powiedzieć panu całą prawdę.

Uścisnęliśmy się z rozrzewieniem. Następnego dnia odjechaliśmy do Bordeaux, skąd ja powróciłem do Paryża, a baron Yoshi odpłynął do Anglii i stamtąd od czasu do czasu przysyła mi interesujące listy.

## VII.

Finansista angielski o Polsce. — Polska a liberalizm. — Obowiązki arystokracji. — Potrzeba Carlyle'a. — Arystokracja, demokracja, plutokracja.

*Londyn, kwiecień 1926.*

Kochany Przyjacielu! Niedawno mówiłem przez czas dłuższy o Polsce z jednym z członków głośniejszej dynastji finansowej, królującej w Wielkiej Brytanji. Rozmowa ta była nawet dla mnie bardzo zajmującą, sądę więc, że dobrze uczynię, powtarzając ją Panu i dołączając uwagi, które nasunęły mi się na myśl. Pamiętam dobrze, jak mi to Pan w Lipsku za naszych studenckich czasów tłumaczył, że najlepiej uczyniłaby Japonja, trzymając się zdala od wielkiego przemysłu maszynowego, za którym przyjdzie pauperyzm i zastrzone przeciwieństwa socjalne oraz panowanie wielkich banków. Sądziłem zrazu, że mówi przez Pana zawiść Europejczyka, który przed nami pragnie ukryć to, co macie najlepszego. Później dopiero zrozumiałem, że przez Morrisa i Ruskina, którzy to samo głosili dawniej i na których Pan się powoływał, jak i przez Pana, mówiła tylko sprawiedliwa ocena potworności ustroju kapitalistycznego i szczerza życzliwość dla mego narodu. Poszliśmy inną drogą i rychło doczekaliśmy się następstw fatalnych. I dlatego dziś, przejrzawszy kulturę materialistyczną europejskiego liberalizmu z jej wyuzdaną czcią dla pieniądza i podłą czołobitnością dla giełdy i wielkich banków, pragnę z tych samych, co Pan wówczas, pobudek powtórzyć Panu wiernie to, co jeden z faktycznych władców Europy mi o Polsce powiedział.

„Oni są mocno spóźnieni w kulturze, a zachowują się tak, jakgdyby byli nie wiem jakim mocarstwem. Zawsze słyszałem, że co Polak to patrijota — a tymczasem z tym patrijotyzmem coś cienko, bo umieją wprowadzić narzekać

na cały świat, że nie idzie im na rękę, ale ponieść dla własnego państwa ofiar pieniężnych nie chcą. Więc kochają bardzo swoje państwo, ale gotówkę trzymają zagranicą, a jednocześnie żądają od nas, abyśmy my im jej dostarczyli i pozwolili im nią gospodarować. Od kilku lat przyjeżdżają ciągle do New-Yorku i do Londynu ich ludzie, proponując nam pożyczki, a niektórzy z nich przymawiają się nam przezornie zgóry o prowizje. Dlaczego nie, dałoby się chętnie, ale cóż, kiedy interes nigdy nie jest do zrobienia. Ci urzędnicy czy pośrednicy obiecują nam wszystko, czego chcemy, i właśnie ta łatwość budzi naszą nieufność. A jestem pewny, że wzięwszy pieniądze, nie zrobią nic. Za łatwo obiecują. Obiecywali już niejedno i Toeplitzowi w Medjolanie i Dillonowi w Nowym-Jorku. A czy dotrzy-mali?“

„Dlaczego Panowie właściwie stawiacie warunki treści politycznej? Gdybym pożyczał pieniądze, dbałbym jedynie o pewność, że je odbiorę. A poza tem, czy można tak bardzo dziwić się temu, że Polacy nie mogą zdecydować się na uchwalenie ustaw, przekreślających całą ich niezależność gospodarczą i oddających przewagę nad nimi żywiołom obcym, które z polskością nie chcą mieć wspólnego?“

„Nie stawialiśmy warunków politycznych Rosji, bo była czas jakiś pierwszem mocarstwem na kuli ziemskiej i pomagaliśmy jej nawet wówczas, gdy ponosiła w wojnie z Wami jedną klęskę po drugiej. Ale finanse miała w porządku, rubel miał zawsze 100-procentowe pokrycie złote. Jak takiemu państwu nie pomagać?! A przytem wierzyliśmy jej. Nigdy nie obiecywała tego, czego nie miała zamiaru wykonać. Wzamian za pożyczkę mogliśmy co najwyżej protegować jednostki i na tem poprzestawaliśmy. Zresztą Żydzi rosyjscy spiskowali nie tylko przeciw caratowi, ale i przeciw kapitałowi światowemu, t. j. przeciw nam, a nie było jeszcze wówczas idei narodowo-żydowskiej, przynajmniej myśmy jej nie, znali, i nie było państwa, tak doskonale nadającego się do pielęgnowania w niem narodowej myśli żydowskiej, jak obecnie w Polsce. Polska jest biedna, albo raczej ma zasoby martwe, ale nie ma kapitałów czynnych, a ludność jej chrześcijańska nie ma wytrwałości, jest kłótniwa, zawistna, powierzchowna i zarozumiała. Ma przytem potrzeby nad stan. Wielkie



banki na kuli ziemskiej przeważni są przeważnie nasze, pośrednictwo w Polsce jest nasze, wielki przemysł jest tam bodaj przeważnie nasz, a Niemcy, którzy tam także pracują w przemyśle, idą z nami. W związkach wielkiego przemysłu rządząmy my, a Polacy wykonują tylko nasze zlecenia, rolnictwo nawet zależy od nas na każdym kroku, bo żaden ziemianin nie robi tam nic bez swego faktora. Cóż dziwnego, że Polsce stawiamy i polityczną warunki. Musimy przecie gdzieś podziąć tych kilka miljonów naszych rodaków. Czy mają może chodzić za pługiem, skoro się do tego nie nadają? Gdyby nie było bolszewizmu, część Żydów polskich moglibyśmy ulokować w rosyjskim handlu; ale w komisariatach i w rolnictwie na Krymie niewielu tylko znaleźć może pomieszczenie“.

„I dlatego Polska ma stracić część swej suwerenności?“

„Przecież Pan nie przypuszcza, żeśmy kazali Lloyd George'owi w Wersalu występować za niezależną Polską dla niej samej? Chcieliśmy wobec niedorzecznych eksperymentów naszych pseudo-rodaków w Rosji, tępiących wszystkich bogatych ludzi i całą prywatną własność, przywrócić do życia państwo, które kiedyś było rajem dla Żydów — tak je sami Żydzi nazwali — i może nim być i w przyszłości. A zresztą, co to za strata suwerenności? Żydzi nie stanowią przecie odrębnego państwa a są tak samo obywatelami Polski jak i katolicy. Poza tem my dziś mniej lub więcej rządząmy wszędzie. Dlaczego nie mielibyśmy rządzić w Polsce? Przed wojną światową do nas należała ledwie czwarta część ruchomych kapitałów na kuli ziemskiej, dziś należy do nas blisko połowa. Może mniej trochę, kapitały bowiem w Chinach, w Japonji i na wyspach Malajskich tudzież w całej Polinezji nie są mi dokładnie znane. A jeśli pominiemy wielki przemysł, który liczy na Zachodzie poważny zastęp chrześcijan, w dziedzinie wielkich banków mamy wybitne wpływy. Ulec nam musiał każdy, kto odważył się na walkę. Przypomnij Pan sobie braci Barring, firmę Bontoux i wielu innych. Poza nami Polska pożyczki dostać nie może. Zresztą my wytwarzamy także opinię publiczną, bo mamy w ręku prasę, z której i chrześcijański bankier czerpie swe wiadomości. I mamy wpływ bardzo znaczny nawet w Lidze Narodów. Jasnem więc jest, że Polska musi przyjąć

w rezultacie nasze warunki. Zresztą przyjęcie ich wyjść może Polsce tylko na korzyść. Zrobimy z niej poważne kapitalistyczne państwo i naturalnie chcemy za to mieć wpływ na rząd. Rozbrojenie da Polsce poważną nadwyżkę budżetową i powszechny dobrobyt a zbliżenie z Niemcami zapewni jej pokój i stałe miejsce w republice Paneuropejskiej przyszłości. Należałem do wszystkich konferencji z delegatami Polski, jakie toczyły się w Londynie; wiem o wszystkich, które toczyły się w Chicago i w Nowym Jorku; tam brali w nich udział moi korespondenci“.

„Wyznam Panu szczerze, że gdybym był Polakiem, wołałbym jeść suchy chleb a nie przyjąć od Pana na takich warunkach ani grosza“.

„Jabym też Japonii takich warunków nie stawiał. Ale pomyśl Pan sam. Czy można brać na serjo naród, w którym w czasie, gdy państwu groziło bankructwo t. j. w roku 1925, sprowadzono towarów zbytkowych za setki milionów, rujnując świeżo utworzoną walutę; państwo, w którym dalsze setki milionów zmarnowano w tym czasie na podróże poszczególnych obywateli zagranicę a nie było patriotów, którzy by oświecali i kobiety i mężczyzn, że w ten sposób gubią ojczyznę. Co myśleć o państwie, które za najważniejszą sprawę uważa nie dobro swych obywateli, ale kwestję próżności czy prestiżu. Jakże bowiem inaczej nazwać żądanie, by Polska uznana była koniecznie za mocarstwo t. j. miała prawo mieć w stolicach Europy ambasady a nie tańsze poselstwa a w tym samym czasie parękroć sto tysięcy ludzi w Polsce cierpi nędzę a drugie tyle szuka chleba zagranicą, bo w wolnej Polsce go nie znajdzie. Czy Japonia w takiej sytuacji nie myślałaby przede wszystkim o biednych swych obywatelach, czy wyrzucałaby pieniądze dla wzbogacania obcych, czy samuraje Wasi nie oddaliby ostatniego grosza dla ojczyzny i czyby nie pilnowali, aby nikt tych pieniędzy nie roztrwaniał? Państwo Polskie powstało niemal bez grosza długów a więc w warunkach tak korzystnych, jak żadne inne. A mimo to przez kilka lat nie miało porządnego budżetu. Żaden minister nie chciał być zależnym w wydatkach od ministra skarbu, każdy wydawał, ile mu się podobało i ile kto od niego żądał. Wzrastała inflacja ciągle, ale mimo to do końca roku 1923 podatki pobierano w takiej wysokości, w jakiej były ustanowione wówczas, gdy inflacji nie było.

Następnie zaprowadzono nową walutę i odrazu stworzono pieniądź, doskonale pokryty złotem, równy frankowi szwajcarskiemu. A do roku wydano całe pokrycie i stworzono ponowną inflację, narażając skarb państwa i całą ludność po raz drugi na dotkliwe straty. Minister Zdziechowski wyrachował obecnie, że deficyt w r. 1926 wynosić będzie 260 milionów. Ale przecież deficytu nikt nie wyrachuje, póki złoty nie jest stabilizowany. Wszakże bowiem procenty od długów zagranicznych i ceny towarów płaci się w złocie a pieniądze na to czerpie się od podatników i kupujących w złotych a więc w walucie niestalej. Uchwalenie pokrycia dla deficytu 260 milionów jest przeto łudzeniem samego siebie albo innych. Trzeba waloryzować podatki i stabilizować złoto. A to ostatnie może przyjść do skutku tylko wówczas, gdy my podamy Polsce pomocną rękę“.

„Dlaczego Pan właściwie mówi mi to wszystko?“

„Dlaczego? Bo Pan jest dyplomatą w stanie spoczynku, dziwaczającym i podróżującym bez celu po świecie. Powtóre ponieważ chciałbym, aby wiedziano, że gdy to leży w interesie naszego narodu, potrafimy przeprzeć naszą wolę. Po trzecie zaś i nadewszystko, dodał z uśmiechem, ponieważ mam dziś taką fantazję mówienia wszystkiego, co mi przyjdzie na myśl i co zwykle przedstawia się jako tajemnicę. Podobno niektórzy posłowie żydowscy w Sejmie Polskim mówili to samo zupełnie szczerze; nie widzę więc powodu bawienia się w dyplomację, gdy mówię do członka narodu tak dalekiego od Polaków“.

Rozmowę tę powtórzyłem nazajutrz innemu członkowi *haute finance* londyńskiej, który wyraził mi głębokie ubolewanie „z powodu przesadnych i cynicznych opinii tego dziwaka“ i oświadczył, że jest to człowiek, któremu stale „język ucieka“. W parę dni później spotkałem w klubie mego rozmówcę, który zapewniał mnie z uśmiechem, że wszystko, co mi powiedział, było niewinnym żartem, za który mnie przeprasza i że do Polski odnosi się świat finansowy jak najżyczliwiej, że złożyła ona duże dowody swej żywotności i, że, gdy tylko ulegną zmianie stosunki międzynarodowe, on sam jak najchętniej weźmie udział w wielkiej pożyczce polskiej, która zapewni temu państwu zasłużony rozwój a kapitalistom da doskonałą lokatę gotówki. „Jeżeli, dodał, powtórzył Pan poprzednie moje



uwagi posłowi polskiemu, to obliguję Pana, by zechciał powtórzyć mu również moje dzisiejsze wyjaśnienie. Ale dla Pana osobiście dodaje, że okrągły frazes to jeszcze nie gotówka“.

Oto stan rzeczy. Nie wiem czy wszystkie te zarzuty, jakie bankier ów Wam czyni, są prawdziwe i w jakim stopniu. Racz mnie Pan w tym względzie objaśnić z całą otwartością, a zapewniam, że ujemne informacje zachowam tylko dla siebie, jedynie z dodatnich zrobię w danym razie użytek. Na wszelki sposób chciałbym, abyście, jeśli w grę wchodzi więcej niż ordynarna przechwałka, lecz zgóry powzięty i konsekwentnie przeprowadzony plan działania, wiedzieli, co wam grozi i przygotowali się na obronę.

Wkońcu zaś nasuwają mi się tu pewne uwagi ogólne, których nie chciałbym ukryć przed Panem. Faktem niewątpliwym dla mnie jest zarówno, że Żydzi są narodem pierwszorzędnych zdolności umysłowych — jak i że, jak się zdaje, nie chcą zdolnościami swemi służyć Polsce, czy też Polska nie chce z tych zdolności korzystać. Która z tych ewentualności zachodzi, naturalnie nie wiem; nie zmienia to jednak dalszego toku mego rozumowania. Mielibyście rację, twierdząc, że obojętne jest, kiedy Żydzi przybyli do Polski i że w każdym razie są u Was tylko przybyszami, winni więc stosować się do Waszych ustaw i pracować razem z Wami dla dobra Waszego państwa. Zresztą Żydzi są dziś przybyszami nawet w pierwotnej swej ojczyźnie, Palestynie. A i tam są w mniejszości. Ale niemniej prawdą jest: po pierwsze, że Żydzi do Ugandy czy Argentyny nie wywędrują, a po wtóre, że z narodu rolniczego, jakim niegdyś byli, dawno już stali się narodem kupców i bankierów, i że w tej dziedzinie są dziś na całej kuli ziemskiej zapewne nie jedyną, ale jedną z decydujących potęg. Wynika stąd dla mnie, że państwo, które od nich potrzebuje pożyczki, musi albo stanąć z nimi na dobrej stopie, wejść z nimi w jakieś porozumienie albo też zupełnie pozbawić się wyrzec. Teoretycznie istnieje jeszcze trzecia droga, którą poszedł Napoleon, ratując Francję z toni bankructwa; szereg europejskich zwycięstw i nałożenie milionowych kontrybucyj na podbite państwa. Jeżeli ta ostatnia ewentualność jest dziś w epoce Ligi Narodów wprost nierealna i fantastyczna, pozostają do wyboru dwie pierwsze. Otóż

pytam, czy chcecie nagiąć całą politykę polską, gospodarczą i społeczną, do programu filogermańskiego liberalizmu zachodnio-europejskiego? Czy gotowi jesteście spełniać zamierzenia wielkich banków rotschildowskich w dziedzinie polityki zewnętrznej, a w szczególności zbliżyć się do Niemiec? I to wyrzekając się „korytarza“ gdańskiego i kopalni śląskich, zgadzając się na inwazję pokojową Niemców i na taki traktat handlowy, któryby zapewnił im przeważające korzyści, a przemysł Wasz i handel uzależnił na długo od nich? Czy w sąsiedztwie rosyjskiej republiki sowieckiej, rządzonej przeważnie przez Żydów, przyłożycie rękę do stworzenia republiki kapitalistycznej z imienia polskiej, ale w której rządzie przeważający głos mieliby Żydzi? To jedna perspektywa, którą widzę jasno przed sobą.

Drugą byłoby wyrzec się zupełnie pomocy kapitału zagranicznego, co więcej, uznać go za zbędny. Czy to możliwe? Zapewne nie, jeśli nadal pójdziecie w ogonku wielkich mocarstw kapitalistycznych Zachodu, nie wydobywszy z siebie samoistnej myśli przekształcenia tego ustroju, w który zabrnęła Europa od lat stu, którego przemiany dziś równocześnie i boi się i pragnie, widząc dobrze jego wady, niedomagania i grzechy.

Jeśli nie chcecie ulegać tym, którzy wyrobili się na mistrzów w ustroju kapitalistycznym, jedyna więc rada: trzeba zmienić ustrój na czysto chrześcijański, więc na taki, w którym pieniądz nie byłby królem, ale sługą, w którym głęboka solidarność obywateli i powszechne zrozumienie interesu narodowego zabroniłoby dowozu towarów zbytkowych, a w którym cały dochód z wywozu wpływałby do kas rządowych bez żadnych restrykcji, a kasy te wypłacały eksporterom równowartość tylko w walucie polskiej. Musiałby to być ustrój, w którym nieuczciwi szafarze grosza publicznego otrzymywaliby bez żadnego względu najsrozsze kary i doczekali się powszechnej pogardy i potępienia, nie zaś, jak donoszą gazety angielskie, pobłażliwości i współczucia. Wasi samuraje i Wasi ludzie bogaci wogóle stawaliby wówczas, wyrzekając się ambicji osobistych, razem z ubogimi do wspólnej pracy dla dobra ojczyzny i nie pozwalali ani żonom swoim ani sobie na żadne wyjazdy zagranicę, póki położenie finansowe Polski wydatnie się nie poprawi.

Mówią tu, że u Was cechą patrijotyzmu jest ukrywanie przed obcymi własnych błędów, a w obawie, by się o nich obcy nie dowiedzieli, zatajanie ich przed sobą samymi. Zdaje mi się jednak, że ten kocha najwięcej, kto strofuje i gani. Chwalić i bronić można na zimno, z taktu, wyrachowania lub względów towarzyskich, ganić można i wytykać błędy tylko z gorącego serca, przepojonego miłością, chyba że gani się z nienawiści, co po pierwszych słowach odróżnić łatwo. A po wtóre: wrogowie i tak widzą jasno i nic się przed ich wzrokiem nie da ukryć. Unieszkodliwić można ich zatrute strzały nie zaprzeczaniem wszystkim zarzutom w czambuł, ale szczerem przyznaniem i jawnem potępieniem u siebie tego, co złe, bo w tem dowód, że naród o własnych siłach zdąży do naprawy stosunków. Czy nie ma pośród Was postaci takiej, jak Carlyle'a, mędrca z Chelsea, który samotny mówił całe życie przykre prawdy swemu społeczeństwu, oparty o wielki ideał moralny? Dzięki niemu w ojczyźnie kapitalizmu zrozumiano, że w społeczeństwie pierwszy głos winien mieć obowiązek i sprawiedliwość. I to stanowi dotąd wielkość Anglii.

A jeśli mię Pan spyta, z jakiego źródła płynie tam owo życiodajne przeświadczenie o wielkości własnego narodu i wartości nadzmysłowych pierwiastków wśród miazmatów materialistycznej kultury, to odpowiem Panu bez wahania, że z wiary. Jeśli zaś do takich rezultatów doszedł naród, który posiada w anglikanizmie ledwie część skoszlawioną prawdy objawionej, to w jak szczęśliwym położeniu jesteście Wy, naród zdawna katolicki i posiadający całą objawioną prawdę! W takim pancerzu stawać możecie do walki z każdą potęgą wroga i zdołacie odepchnąć ją od Waszych granic.

Osobiście sędzę, że najwłaściwszą dla ludzkości formą rządu jest forma arystokratyczna. Dla przeciętnej masy ludzkiej trzeba rozkazodawcy; czy nim jest król, czy dyktator, taki jak Mussolini, o to mniejsza. Popularność dyktatury włoskiej, utrzymanie się absolutyzmu rosyjskiego, tak w dawnej, jak i w obecnej jego formie, powrotna fala monarchizmu we Francji, nieustanne walki o kalifat w świecie muzułmańskim, ustawiczne niepokoje w Chinach, odkąd to wielkie państwo stało się rzecząpospolitą, wreszcie stagnacja w naszym rozwoju, donie-



dawna tak kwitnącym, odkąd i u nas osłabiono władzę mikada, a przekupstwa, żądza użycia i niewiara zatruty duszę naszego ludu, przejętego przez setki lat najpiękniejszymi tradycjami, solidarnością i pogardą śmierci — to wszystko dowodzi, że mam słuszność.

Entuzjazmy równościowe, jako oparte na fałszywej zgruntu podstawie, mogą mieć tylko bardzo krótkotrwałe znaczenie. Pewna doza wolności istniała i za monarchji feudalnej i towarzyszyła zawsze rządowi dobrotliwych i szlachetnych monarchów. Braterstwo wreszcie, czyli miłość bliźniego jako nieodłączna cecha chrześcijaństwa, da się doskonale pomyśleć, a nawet skuteczniej wcielić w czyn ustawodawczy bez festonów i girland sejmów i senatów lub choćby ze znacznym ograniczeniem bezpłodnego gadulstwa trybun parlamentarnych, bezczelności trybunów i demagogii agitatorów. Tyle wody, tyle wody! Aby to wszystko znieść, trzeba istotnie niepospolitej cierpliwości i naiwności okłamywanych nieustannie zgromadzeń politycznych i ludów samych.

Przyznać atoli muszę, że demokracja stanowi konieczną przeciwwagę samowoli klasy społecznej, dzierżącej władzę. Szlachta dawno uległa i nawet gdy miała jedyną władzę, ani w części nie popełniała tylu aktów samowoli, ile dziś ma na sumieniu plutokracja. Ale ta ostatnia ma więcej szczęścia. Dotąd utrzymuje się u steru.

Arystokracja była poza tem krwią z krwi i kością z kości narodu, plutokracja w Europie jest przeważnie obcą. Arystokrację z ludem łączyła wspólność poglądów i wierzeń religijnych, plutokrację dzieliła od ujarzmionego ludu zasadnicze różnice. Nie mam tu nawet na myśli w pierwszym rzędzie przeciwieństwa między nacjonalistycznym monoteizmem żydostwa a wszechludzkim ideałem trójjedynego Boga chrześcijaństwa, ale przede wszystkim przeciwieństwo między ideą królestwa bardzo ziemskiego, powodzenia i władania, a ideą cierpienia i miłości, która cuda tworzy. Katolicyzm przewartościował wszystkie wartości, a na najwyższym piedestale umieścił Chrystusa, który w pogardzie miał i w pogardę podawał bezmyślny dostatek, odpychając najponętniejsze pokusy szatana-materjalisty. Plutokracja to w prostej linii potomek owego szatana, który przed Zbawicielem rozaczał nęcące miraż władzy i bogactwa. Cóż dziwnego, że większość

cierpiących a dalekich od doskonałości ludzi idzie za tymi, którzy nie szczędzą obietnic, zrozumialszych dla utrapionej ludzkości, a nie za tymi, którzy głoszą świętość cierpienia i jego moc oczyszczającą!

Samowola klas posiadających dawniej ograbiła resztę ludzkości tylko z mienia, dzisiaj ograbia ją ponadto z duszy i do błota własnego ściąga. O utratę ideałów nie wszczynają się rewolucji, a jednak ta utrata, to cofnięcie na długie wieki prawdziwej cywilizacji chrześcijańskiej, o wiele straszniejsze, niż niedostatek ludu, który wywołał wybuch rewolucji francuskiej. Gdy w wiekach średnich religia miarkowała bezprawia, dziś liberalizm żądny zysków podkopał i usunął religję. Gdzie nie było wiary, krępującej nadużycia możliwych, musiało przyjść panowanie ludu, demokracja, udzielająca mu opieki. Było to nieodzowne, choć forma rządu arystokratyczna byłaby z natury rzeczy logiczniejszą, gdyby arystokraci w Europie nie sprzymierzali się tak często z plutokracją przeciw ludowi. To też społeczeństwa wierzące, jak angielskie, mogą być bardziej arystokratyczne; niewierzące, jak francuskie, potrzebują więcej demokratycznej wody dla rozpuszczenia w niej trującego ryżowego wina czy alkoholu plutokracji. Nie wiem, czy Wasza arystokracja dorównuje angielskiej, czy ma podobny wpływ w społeczeństwie, czy przez młodsze rodzeństwo spowinowaca się ze sferami inteligencji i do nich się zbliża, czy podejmuje się obrony interesów całego państwa, czy też ogranicza się do interesów własnej warstwy? W pierwszym wypadku będzie rządzić nadal, w drugim rozplynie się w martwym stawie demagogicznej bezmyślności. W Anglii torysi luzują się dziś z partją pracy w rządach, łączą się z nią atoli we wspólnej niechęci do kapitalizmu. Nie pomogą łamane sztuki najzdolniejszych rzeczników liberalizmu, obóz ten skończył już tam swą karierę. U Was podobno najpotężniejsze partje stoją jeszcze na gruncie dawno zbankrutowanego na Zachodzie *laisser-fair*yzmu. Podobnie jak we Francji, która dlatego nie może wybrać z ustawicznych kłopotów finansowych! A komicznem jest, że przeważną korzyść z tego stanowiska osiąga wszak wielka finansjera międzynarodowa, a nie jej mimowolni obrońcy, choć przeciwnicy jej rasy i bankierskiego zawodu!

Drogi Panie! Wiem, że nie weźmie mi Pan za złe tego przydługiego listu, rozumiejąc jego intencje i odczu-

wając moją przyjaźń dla Waszego narodu, jak i mój niepokój, czy to lub owo zdanie ujemne, wypowiedziane o Was, nie zawiera choćby części prawdy. Powtarzam: oko nieprzyjaciela widzi najbystrzej. Dlatego kończę gorącym życzeniem, które nie wątpię, znajdzie w duszy Pańskiej najwyższy odgłos. Oto życzę i pragnę, byście, jeżeli to dotąd nie miało miejsca, mierzyli złe i dobre dawną ogólną miarą, byście wypędzali bezwzględnie przekupniów z świątyni Pańskiej, jak to czynił nasz Zbawiciel, to jest wykluczali z pod opieki i solidarności wszystkich krzywdzicieli grosza publicznego a oszczędnością i odmawianiem sobie nawet rzeczy potrzebnych, byle nie koniecznych, uniezależniali się od kapitału ruchomego. Albo hańba niewoli u wielkich finansów, albo wolność i spełnienie zadań, wytkniętych przez Waszych przodków, których cześć jest Wam z pewnością, jak i naszych nam, drogą. Tu punkt rozstajny dla Was w chwili obecnej. Co dziś postanowicie, to rozstrzygnie o całej Waszej przyszłości. Gdyby Wasza szlachta nie podjęła się zadania ratunku państwa, gdyby więcej ceniła klasowy interes materialny w porozumieniu i zgodnie z kapitałem ruchomym, w takim razie zostawałaby dla Was jeszcze zawsze droga demokracji, w śladzie Herriota czy Boncoura, ale demokracji mądrej, celowej, solidarystycznej, a przytem w odróżnieniu od francuskiej, opartej o religię katolicką.

Nie wiem tylko, czy lud Wasz jest już na tyle politycznie dojrzały, aby mógł pójść drogą, wymagającą od całego społeczeństwa aktów poświęcenia, których zwykliśmy spodziewać się tylko od najbardziej uświadomionych i najsilniej związanych z danem społeczeństwem. Ale nie mogę zaprzeczyć, że w masach naogół bywa więcej wiary, więcej zdolności do czynu, mniej sceptycyzmu i ciągłego wahania, a większa liczba ludzi, biorących udział w pracy narodowej o cechach demokratycznych, ułatwia wypływanie na widownię wielkich ludzi czynu, bez których hasła, przykładu i wytrwałości ta reforma, o jakiej dla Was myślę, nie mogłaby przyjść do skutku.

Jeżeli zaś pieniądź straci u Was niepokojącą przewagę, stanie się faktem to, co za nieprawdopodobne wprost uważa bankier londyński: stała równowaga budżetowa i korzystny bilans płatniczy. Wówczas zaś żadne machinacje giełdy nie potrafią zachwiać Waszym



złotym. Może za Waszym przykładem zacznie się zmierzchać panowanie mamony i gdzie indziej, a wtedy i Wasz stosunek do Żydów chyba ulegnie poprawie. Przestaną być dla Was groźni, potrafiacie bowiem stawiać im czoło solidarnością, pracą i pilnością, a w wyższym stopniu eksploatować ich wybitne zdolności na pożytek Waszej pięknej ojczyzny. Nadewszystko zaś pamiętajcie o tem, że ustawy należy stosować jak najściślej i że nie należy ich zmieniać za byle podmuchem wiatru. Ściskam dłoń Pańską serdecznie, Yoshi.

---

## VIII.

Poglądy na kapitalizm katolicyzmu, antropozofji, hr. Keyserlinga. — Istota faszyzmu. — Pogląd Ghandiego. — Konfiskata majątku oszustów. — Sposób obudzenia zaufania do Polski.

Na list powyższy nie odpowiedziałem, w parę dni po nim odebrałem bowiem od barona Yoshi telegram z Paryża: „Jadę dziś Warszawa Bristol, zabawię tydzień, czy przyjechać Lwów? Yoshi“. Odpowiedziałem, że korzystając z feryj świątecznych, przybędę do Warszawy. Pilno mi było podziękować przyjacielowi za cenne informacje w sprawie pożyczki zagranicznej i uwagi przeciwne liberalizmowi, a tak bardzo odpowiadające w liniach zasadniczych moim poglądom. Powiedziałem mu to na wstępie.

— Obawiam się, — odrzekł, że gdyby pan publicznie dał wyraz podobnym zapatrywaniom, praktyczni politycy osądziłiby je jako fantasmagorie. A czy wie pan, że wśród wykształconego ogółu w Anglii i w Niemczech myśli podobne stają się coraz bardziej popularne? Dawno już biskup Ketteler pisał wślad za Sismondim i Carlylem<sup>1)</sup>, że zasadą współczesnej mu ekonomiki społecznej jest walka wszystkich przeciw wszystkim i wskazał na to, że walka taka jest sprzeczną z prawem naturalnem i naukami chrześcijańskiej miłości bliźniego, że ustrój, narażający robotników na niedostatek, nie odpowiada zasadom organizacji życia społecznego w świecie katolickim, a przeto należy go po-

---

<sup>1)</sup> Wybór pism ks. biskupa Kettelera pojawił się ostatnio w r. 1924 w Kempten. Odnosny ustęp mieści się w tomie III., str. 151, rzecz pisana w r. 1868. Zapatrywania św. Tomasza z Akwinu przedstawiłem szczegółowo w rozprawie p. t. „Nasze położenie gospodarcze a nauka św. Tomasza z Akwinu“, pomieszczonej przy końcu tej książki.

tepić z przyczyn dogmatycznych. Sądzi więc, że gospodarstwo społeczne, pozostawione samemu sobie, a więc czysto liberalne, bez udziału i głosu czynników publicznych, sprowadza klęskę na społeczeństwo i państwo. Vogelsang, również wybitny pisarz katolicki, potępia kapitalizm za to, że zamiast człowieka, za cel gospodarstwa obrał samą produkcję. Kapitalizm przyswoił sobie z prawa rzymskiego pogańskie pojęcie prawa własności prywatnej z wykluczeniem od niego każdego niewłaściciela, acz bliźniego, pracę obniżył do poziomu towaru, oceniając ją li ze stanowiska rentowności w gospodarstwie prywatnem przedsiębiorcy. Dlatego Vogelsang zaleca utworzenie „rodziny przemysłowej“ na tle solidarności fabrykanta i jego robotników, którym przyznaje nie tylko „słuszną“ płacę, ale i udział w zysku, więc to samo, co z takim powodzeniem w czyn wprowadza dziś Henryk Ford, słynny fabrykant samochodów<sup>1)</sup>. Inni wybitni pisarze katolicki z dziedziny ekonomiki społecznej, jak: Ratzinger, Hohoff, Scheimpflug, Hitze pisali w tym samym duchu. Hitze wskazuje na to, że zdobycze kapitalizmu w dziedzinie techniki i gospodarstwa wychodzą na korzyść tylko pewnych ludzi, nie wszystkich, nie ogółu, proponuje więc tworzenie „gild przemysłowych“ dla uregulowania produkcji, obrotu, wykształcenia zawodowego, urządzeń ochronnych i dobroczynnych. Zdaniem ks. Waltera, profesora wszechnicy monachijskiej, kapitalizm, stawiający wyżej zysk i używanie, niż wymogi rozumu, moralności i wiary, jest wprost niechrześcijański.

Dokładniej jeszcze precyzuje stanowisko katolickie praca Franciszka Kellera, wydana przez znaną panu katoliczką *Görresgesellschaft*. Kapitalizm, powiada ten autor, podkopujący porządek moralny i uprawiający gospodarkę rabunkową na innych ludziach, to mamonizm, który wykopuje sam sobie grób, powołując ze swej strony do życia socjalizm, występujący przeciw niemu pod hasłem walki klas. Przedsiębiorca katolicki natomiast, dostarczający ogółowi potrzebnych mu towarów, chociaż to czyni dla zarobku, spełnia pod względem etycznym misję dodatnią na rzecz dobra publicznego. Metodę i technikę kapitalizmu należy tedy przekształcić w duchu katolickim. Jezuita ks. Henryk Pesch stworzył w pracy całego życia system ekonomiki

1) Por. Caro: Zasady nauki ekonomji społecznej, str. 426 i nast.



społecznej, zarówno przeciwny kapitalizmowi jak i socjalizmowi. Nazywa go sam solidarystycznym. W tym systemie wykazuje on szczegółowo, że kapitał nietylko nagromadza dobra, ale i wykonuje władztwo nad ludźmi. „A nie godzi się, aby cały naród pozostawał w służbie kilku magnatów pieniężnych i spekulantów.“<sup>1)</sup> Wielki kapitał prywatny niszczy stan średni, wyzyskuje konsumentów i robotników, podkopuje moralność jednostek i społeczeństw, rozbija rodziny, zatrzuwa współzycie społeczne, rozdziela poszczególne warstwy każdego narodu i narody całe na wrogie sobie obozy, rozszerza światopogląd materialistyczny pośród klas robotniczych. Kościół katolicki natomiast opiera ekonomikę społeczną na etyce, a w niej przede wszystkim na cnocie sprawiedliwości. Jest ona trojaką: żąda poddania interesów indywidualnych interesowi publicznemu, domaga się rozdziału dóbr i ciężarów wedle potrzeb, zasług i możliwości, upominając się przytem na całej linii o ochronę słabszych, żąda wreszcie równomierności świadczeń w obrocie. Poza tem w s z y s t k i e m kościół przewiduje jeszcze cnotę miłości; ale sprawiedliwość jest zawsze przesłanką i koniecznością. Miłość idzie dalej, ale nie może uczynić zbędną sprawiedliwość, ponieważ z natury rzeczy jest cnotą rzadszą i trudniejszą, a istnienie społeczeństwa wymaga cnót powszechnych i łatwiejszych do osiągnięcia.

Ale i poza katolicyzmem zapatrywania podobne są dziś na Zachodzie coraz powszechniejsze. Musi pan znać ruch antropozoficzny, wszczęty przez Rudolfa Steinera. Nie mówię o jego stronie religijnej. Ale jego koncepcje gospodarcze, społeczne i prawnopaństwowe są nader oryginalne i wydają się wprost do prawdy zbliżone. Czy je pan zna?

Odpowiedziałem, że proszę o bliższe wyjaśnienia.

— Oto, widzi pan, i Steiner uznaje równość. wolność i braterstwo — ale równość tylko w dziedzinie prawa publicznego, wolność tylko w dziedzinie duchowej, a braterstwo li w dziedzinie gospodarczej. Te trzy wielkie dziedziny wedle Steinera stanowią odrębne całości, pozostają wszakże w stałym między sobą stosunku. Błędem socjalizmu, prowadzącym do fatalnych konsekwencji, było żądanie równości w dziedzinie gospodarczej. Steiner uznaje

<sup>1)</sup> T. II., str. 197, I. wyd. *Lehrbuch der Nationalökonomie*.

prawo własności prywatnej, wszakże potępia kapitalizm; własność prywatną pozostawić należy tym tylko i dopóty, póki używają jej w duchu braterstwa i poddają się ograniczeniom, podyktowanym przez miłość bliźniego. Z chwilą naruszenia tych zasad własność przechodzi na rzecz innych, godniejszych. Rygor ten jest daleko idący, nie zaprzeczam, ale poza tym rygorem, którego u św. Tomasza niema, samo pojęcie braterstwa wzięte jest jakgdyby wprost od niego. Nie jest praktycznem, uczy dalej nauka antropozofji, tłumienie popędów egoistycznych w drodze ustaw, krępujących produkcję; skuteczniejszą jest droga wychowania coraz liczniejszego zastępu ludzi w duchu braterstwa, które następnie będą praktykowali w dziedzinie gospodarczej. Szkoły, stosujące ten nowy system wychowania, to słynne *Goetheanum* w Dornach w Szwajcarii, tudzież dwie jeszcze szkoły: w Kolonji i w Stuttgarcie. Antropozofja zabiera się więc do rzeczy metodycznie, zaczynając od wychowania młodego pokolenia, i stawia sobie za cel złamanie kapitalizmu, dążąc do tego przez przemianę dusz dorastającej generacji. Czy nie moglibyście pójść podobną drogą?

— Niejednokrotnie poruszałem podobne myśli, zwalczając liberalizm, broniąc ingerencji państwa i domagając się reformy wychowania.

— Istnieje nadto w Niemczech Towarzystwo Uprawiania Filozofji Życiowej, założone przez Ernesta Barthla. Głosi ono, że masa, t. j. ci, którzy mają być wychowywani, najpodatniejsi są do przyswajania sobie wielkich myśli jednostek kierujących i umożliwienia tą drogą ich urzeczywistnienia. Więc oddziaływać na masy, to przygotować rzeczywistą przyszłość. Ale naturalnie nie byłoby przemiany dusz i wychowania mas w nowym duchu, gdyby nie było jednostek twórczych. Podobnie hr. Keyserling, słynny filozof niemiecki, twórca „szkoły mądrości“ w Darmstadt głosi zasadę: „Kto chce zmienić ustrój zewnętrzny, zacząć musi od pracy nad wnętrzem człowieka“ i w konsekwencji przemawia za tem, by członkowie jego warstwy, arystokraci, oddali do dyspozycji wykluwającemu się nowemu światu ludowemu siły swe i zdolności, by pracowali w porozumieniu z nim w duchu solidarności wszystkich warstw dla wspólnego celu. Nie powinno być jego zdaniem wogóle prawa podmiotowego, tylko przedmioto-

we, którego koniecznym równoważnikiem byłby obowiązek.

— Wszak to nie wiele więcej, niż naśladowanie i parafraza francuskiego solidaryzmu.

— I, dodaj pan, idei, przeszczepionych dziś przez faszyzm włoski z Francji do ojczyzny Mussoliniego. Ludzie zatają to, co jest istotą jego systemu. Widzą przeważnie tylko silny rząd, tłumienie parlamentaryzmu, nietolerancję wobec inaczej myślących, ale nie zdają sobie sprawy z tego, skąd ze samych tylko negatywnych jakoby cech faszyzmu płynęłoby zadowolenie szerokich kół ludności, pozyskanie sfer robotniczych, zwyczajka lira na głównych giełdach europejskich, wzrost powszechnego dobrobytu. Oponenti systemu Mussoliniego są doktrynerami, on sam jest poprostu solidarystą. I to jest źródłem powodzenia jego rządów, ich istotą, nie czarne koszule, nie parady, nie teatralny patos, pociągający na krótko i to tylko płytsze umysły. Faszyzm to nie jest powrót do średniowiecza, do rządów jednej uprzywilejowanej warstwy. O ile potomkowie tej warstwy mają wybitne przymioty, którym przodkowie ich zawdzięczali władzę, to i oni przez tłumy wybrani zostaną na kierowników. Sam fakt dobrej krwi nie wystarcza. Wnukiem być to za mało, trzeba być mężem, by zostać wodzem, a sam *Il duce*, syn podobno kowala, nie jest bynajmniej „wnukiem“.

— Więc nadzieja jedyna i Polski zdaniem pańskim w solidaryzmie? Czyli, mówiąc zrozumialej, w faszyzmie, atoli naśladowującym nie cechy zewnętrzne i rozumie się tem mniej błędy systemu Mussoliniego, ale przejmującym od niego najgłębszą i istotną treść i jądro jego idei? Ale ile potrzeba wysiłku, aby w tym celu przerobić nie tylko nasze wychowanie szkolne i uniwersyteckie, lecz nade wszystko nasz ustrój gospodarczy tudzież nasze poglądy i zwyczaje towarzyskie i społeczne! Prawie nie widzę możliwości pójścia drogą, której dotąd zupełnie niema, którą dopiero wykuwać trzeba w skale uprzedzeń, egoizmu i ciasnoty pojęć.

— I jeszcze jedno. Musielibyście tłumić w sobie nienawiść do innych narodów, jeśli to prawda, że ją żywicie, bo ona nie jest wcale identyczną z miłością własnego narodu. Czytaj pan Romain Rollanda przepiękną książkę o Mahatmie Ghandim. On nie nienawidzi bynajmniej An-



gli, choć jest jej najgroźniejszym przeciwnikiem. Nie wzywa do walki z nią z bronią w rękę, choć na olbrzymich przestrzeniach Indyj Wschodnich, wobec fanatyzmu jej mieszkańców, miałyby niemałe szanse powodzenia. Ale przedewszystkiem głosi wśród swoich abnegację zupełną, wyrzeczenie się wszelkiego zbytku, więc zależności od świata materialnego, a po wtóre żąda powrotu do krosien i nieużywania materijalności angielskich. Więc to nie antybrytyzm, ale abrytyzm. Przemysł angielski zostaje wyłączony poza nawias, traci odbyt, na który liczył, u 360 milionów Hindusów. Angielscy panowie stają się nieszkodliwi, Indje żyją życiem własnem, nie odczuwając ekonomicznego podboju, bo go nie ma. Oczywiście nie zalecam wam wyrzeczenia się wszystkich potrzeb kulturalnych, których nie możecie zaspokoić w ojczyźnie, ale sądzę, że ograniczenie importu towarów zbytkowych, nawet z zaprzyjaźnionej z wami Francji, byłoby zupełnie możliwem i uratowałoby wasz bilans handlowy. A Hindusi nie zasługują chyba na patrzenie na nich z góry, wszak kultura ich jest o wiele starszą od europejskiej. Rosja, naprzód carska, potem sowiecka, oddawna podburza Indje do zbrojnego powstania. Ale to nigdy nie nastąpi! Hindusi wiedzą dobrze, że krzywda, wyrządzona choćby krzywdzicielowi, wypacza i obniża charakter własny, a tem samem usprawiedliwia poniekąd ucisk ujarzmionego. Nie walka z wrogiem jest zadaniem istotnem patrioty, ale dążenie do własnej regeneracji moralnej, fizycznej i ekonomicznej. Walka jest tylko wówczas usprawiedliwioną, gdy się jej nie da uniknąć. W czasie normalnym, pokojowym, należy czynić dobrze nie tylko swoim ale i nieprzyjaciółom, bo tylko tą drogą możliwe jest wzniesienie się na wyższy poziom moralny. Dobry bilans handlowy, równowaga budżetowa, stabilizacja pieniądza, niezależność od pośrednictwa żydowskiego i niemieckiego, to wszystko jak dojrzały owoc spadnie wam samo pod nogi, gdy pójdziecie drogą, wskazaną przez Ghandiego<sup>1)</sup>.

1) Dla pragnących się zająć bliżej problemami w tekście poruszonymi, podaję tytuły paru książek, wprowadzających dobrze w tę kwestję: Steiner, Die Kernpunkte der sozialen Frage, Stuttgart 1920; Rittelmeyer, Vom Lebenswerk Rudolf Steiners, München 1921; Ernst Barthel, Lebensphilosophie, Bonn 1923; Graf Keyserling, Politik, Wirtschaft, Weisheit, Darmstadt 1922; Romain Rolland, Mahatma Gandhi, Paris 1924.

— Jestem ekonomistą, więc człowiekiem przyziemnym. Nie śmiem bujać w obłokach, ani żądać od mego narodu rzeczy tak dalekich i trudnych do wykonania, jak te, o jakich pan mówi. Może front antykapitalistyczny unosi pana za daleko, a marzenie o szczęśliwości powszechnej czyni pana wrogiem nie tylko wielkiego kapitału, ale i wielkiego przemysłu, którego istnienie jest bądź co bądź faktem tak realnym, o tak olbrzymiej doniosłości, że unicestwić ani cofnąć go nikt nie potrafi. To tylko jest prawdą, że mimo istnienia wielkiego przemysłu możliwe jest ujarznienie przewagi kapitału prywatnego i poddanie go supremacji woli państwa przez tworzenie spółek publiczno-prywatnych, w których większość akcji należałaby do państwa, reszta zaś i zarząd do kapitalistów prywatnych. To wszystko atoli jest programem na parę pokoleń, a my musimy mieć ratunek teraz, jak najrychlej. Z tego zresztą, co mi pan pisał o uwagach swego rozmówcy, wnoszę, że niekoniecznie musielibyśmy oddać naszym wierzytelcom lub Lidze Narodów kontrolę nad użyciem udzielonej nam pożyczki i nad całym naszym budżetem. Wystarczyłoby może wzbudzić pełne zaufanie do gospodarki polskiej?

— Tak, ale — aby cel ten osiągnąć, potrzebaby mojem zdaniem w pierwszym rządzie bezwzględności w tępieniu nadużyć tudzież w karaniu zbrodniarzy, popełniających wielkie oszustwa i sprzeniewierzenia i przyjmujących łapówki, — i to w sposób dla nich najdotkliwszy, t. j. w drodze konfiskaty na rzecz państwa ich majątku oraz majątku, przeniesionego przez nich na ich rodziny. Podobno nadużyć tych popełniono u was tyle, że opis ich, oparty na gruntownem śledztwie i badaniu ksiąg handlowych, zapelnia pięć okazałych tomów Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Otóż, czy zamknęliście tych ludzi do kryminału? Czy wyrok sądowy kazał im zwrócić te kwoty, na których stratę narazili Skarb Państwa? Zdawałoby się to takie naturalne, ale zdaje mi się, że nic z tego się nie stało. W takim jednak razie, poco właściwie badano winę tysięcy ludzi? Czyż nato tylko, aby opisać ją i pogrzebać w księgach, nie przystępnych dla ogółu, a nawet członkom Sejmu i Senatu rozdawanych tylko poufnie? A jeśli tak, to jaki właściwie mają posłowie z tych sprawozdań robić użytek?

Tuszowanie zbrodni jest rzeczą nietylko haniebną, ale i szkodliwą. Tych ludzi, którzy okradali zmartwychwstałą ojczyznę, należy bezlitośnie odpędzać od żłobów i zmusić przynajmniej do wynagrodzenia całej szkody, przez nich zrządzonej.

— Niestety, kary za zbrodnie oszustwa, sprzeniewierzenia i nadużycia władzy urzędowej w naszych kodeksach karnych są zbyt małe, procedura zbyt powolna i rozwlekła, kar pieniężnych i konfiskat, dla pewnej kategorii ludzi o wiele dotkliwszych od kar więzienia, zupełnie niema. W wyroku karnym rzadko i niechętnie orzekają sędziowie o obowiązku wynagrodzenia szkody cywilnej. Należałoby to wszystko zmienić, a nadto ubezskuteczyć pozorne przenoszenie prawa własności na przyjaciół czy współników, obcych czy krewnych. Póki istnieją dzisiejsze ustawy, niewiele da się zrobić.

Zaiskrzyły się oczy memu przyjacielowi.

— Czy nie widzi pan — zawołał — że niebezpieczeństwo, połączone z istnieniem takiej masy oszustów w wielkim stylu, jest bez porównania większe, niż przeciętnych włamywaczy lub złodziei kieszonkowych? Wczoraj wysoki urzędnik, dyrektor banku, może nawet poseł czy minister, dziś wykryto jego nadużycia, idące w miliony lub krocie tysięcy. A zawsze znajdują się ludzie, którzy, powodowani fałszywą litością, związani stosunkami przyjaźni lub obawiający się zdrady własnych sekretów przez oskarżonego, gdyby nie miał już nic do stracenia, dokładają starań, aby takiego łotra poddać obserwacji lekarskiej jako umysłowo chorego lub umożliwiają mu wypuszczenie na wolną stopę za kaucją, stanowiącą ledwie ułamkową część sum, przez niego skradzionych. Wszak na usprawiedliwienie takiego salonowego bandyty nie można przytoczyć ani braku wychowania w domu rodzicielskim ani nędzy. Wszak ten obłudny tchórz, który okradał Skarb Państwa, bank czy monopol spirytusowy albo lasy państwowe, chciał równocześnie należeć do społeczeństwa, na którego szkodę działał, co więcej ambicją jego było stanowić jedną z jego podpór i świeczników. Miał on w istocie dwa oblicza, a nie miał żadnych zasad moralnych. Może kiedyś dał z zagrabionych sum jakąś kwotę na cele publiczne, może był uczynny i uprzejmy dla przyjaciół, może kiedyś uczynił



istotnie coś dobrego. Czy atoli na tej podstawie, jak to się mówi dziś niejednokrotnie: *per saldo* należy go uznać za człowieka godnego współczucia i ratunku przed kryminałem? Moglibyśmy rozumować tak tylko wówczas, gdyby elementarne zasady uczciwości tkwiły zbyt słabo w nas samych. Nie powinno być pobłażliwości wobec nikczemności i zepsucia, bo przedewszystkiem należy się współczucie wyzyskanemu i krzywdzonemu przez oszustów Skarbowi Państwa i funduszom publicznym, które nie mogą spełniać wytkniętych sobie zadań, jeśli wykonawcy ich woli są złodziejami. Jeśli zaś nie można równocześnie współczuć złodziejowi i okradzionemu, należy wybierać. Ubolewać trzeba nad bezmyślnością tych, którzy stojąc przed tą alternatywą, wybierają współczucie dla złodziei. Jest pan prawnikiem, więc podaj projekt ustawy, któraby położyła kres tym ohydnyim stosunkom.

— Widzę tylko jeden sposób. Byłoby nim wydanie ustawy, uprawniającej Skarb Państwa do ściągnięcia w drodze egzekucji z prawnymi odsetkami tych wszystkich sum, o które wyrządzili szkodę Skarbowi Państwa wszyscy piętnowani w pięciu tomach sprawozdań Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Mozolne te i kosztowne badania starczyć winne za wyrok sądowy pierwszej instancji. Dla uniknięcia pomyłek i krzywd indywidualnych należałoby dodać postanowienie, że każdy, kto czuje się pokrzywdzonym wdrożoną egzekucją, może wystąpić przeciw Skarbowi Państwa ze skargą cywilną o uznanie, że rezultaty badań Najwyższej Izby Kontroli Państwa nie są zgodne z istotnym stanem rzeczy. Ale w takim razie skarżący narażony będzie na dochodzenia karno-sądowe; natomiast w razie, jeśli zwróci szkodę bez skargi, sprawa karna zostanie przeciw niemu umorzona. Jestem przekonany, że największa część zbrodniarzy zgodzi się na oddanie pocichu tego, co zrabowała, dla uratowania wolności i „dobrego“ imienia.

— Projekt wydaje mi się dobry. Niech go pan poruży w prasie i domaga się, by rząd wcielił go w życie. Jeżeli to nastąpi, niewątpliwie obudzi się zaufanie do Polski w całym świecie. Pozornie to, o czem mówiliśmy, nie należy do sanacji skarbowej; faktycznie sanacja moralna, którą obaj projektujemy, miałaby wpływ rozstrzy-

gający i stała się początkiem ogromnego wzrostu prestiżu Polski. Państwo nie może budzić pełnego zaufania, jeśli w niem święci orgje pobłażliwości dla „wielkich złodziei“. Niech Pan to powie swoim rodakom“.

W parę dni później baron Yoshi wyjechał do Paryża.

Dopiero w czerwcu otrzymałem od niego list z Londynu, który przytaczam w następnym rozdziale.

---

## IX.

Państwo niewolników Belloc.

*Londyn, czerwiec 1926.*

„Drogi Przyjacielu! Pyta mnie Pan, dlaczego tak bardzo nienawidzę kapitalizmu. Pragnę nie tylko odpowiedzieć na to pytanie, ale i przeciągnąć Pana na moją stronę. Zapomnę więc o wszelkich krzywdach, jakie kapitalizm wyrządził mojej własnej ojczyźnie, a poprzestanę na argumentach, których dostarcza mi literatura narodu angielskiego, gdzie kapitalizm doszedł wszak do największego rozkwitu. Nie będę cytował Panu Dickensa, Carlyle’a, Kingsleya, bo mógłby mi Pan odpowiedzieć, że powtarzam rzeczy przebrzmiałe i że wyzysk, jakiego za ich czasów dopuszczał się wielki przemysł — głównie dzięki ich szlachetnym atakom — dawno został uchylony. Pragnę poprzestać na pisarzach najnowszych, z których żaden nie broni wielkiego kapitału w jakiej bądź formie, a przeciwnie wszyscy go potępiają, i to zarówno pisarze postępowi jak Bernard Shaw, jak umiarkowani np. John Galsworthy, jak wreszcie, i to może najskuteczniej, pisarze katoliccy: Chesterton i przedewszystkiem Belloc. Wszak to tajemnica poliszynela, że właściwymi monarchami są dziś bankierzy. Jeżeli najświetniejszy dramaturg świata, obok Szekspira i Ibsena, Shaw, powiada w „Majorze Barbarze“, że wojna i pokój zależą dziś od woli wielkiego kapitału, że całe ustawodawstwo nagina się do jego potrzeb i życzeń, że państwo używa policji i wojska do walki przeciw tym, którzy chcieliby te wygórowane dochody uszczuplić na korzyść ogółu i że wzamian za to wszystko wielki kapitał odplaca się rządowi poparciem, udzielaniem za pośrednictwem swej prasy — to zaprawdę nie trzeba być wcale socjalistą, ani nawet zwolennikiem Fabianów, jak Shaw,



aby przyznać mu rację. Wystarczy być człowiekiem, patrzącym jasno i niezaślepionym chwilowym interesem swego stronnictwa. Shaw nie podziela złudzeń partji socjalistycznej na kontynencie, wierzącej w zasadniczą dobroć natury ludzkiej, która potrafi stworzyć raj na ziemi, gdy nastąpi powszechne wywłaszczenie klas posiadających a w miejsce własności prywatnej zapanuje kolektywizm. On wie, że do spełnienia rozleglejszych zadań trzeba dopiero wychować nowego człowieka. Stąd jego program stworzenia nadczłowieka przyszłości. Dzisiejszy proletariusz myśli o sobie, nie o ogóle. W jednej z ostatnich powieści Galsworthy'ego robotnik, zaproszony przez zamożnego przyjaciela do eleganckiej restauracji, nie bierze mu zupełnie za złe, że odżywia się wykwintniej od niego. Gdyby go stać było na to, czyniłby tak samo. On nie jest bynajmniej apostołem, ale przeciętnym człowiekiem, naiwnie pojmującym walkę społeczną jako dążenie do zajęcia miejsca tych, którzy dotąd byli uprzywilejowani, jako *ôte toi, que je m'y mette*. Z tego zachowania nie powinno się wyciągać wniosku, jakoby Galsworthy nie wierzył w reformę społeczną. Jeżeli całe społeczeństwo angielskie jest wedle Galsworthy'ego małoduszne, pragnące użycia i chciwe, jakim prawem można żądać, aby robotnik był lepszy? Ustrój kapitalistyczny winien jest temu, że ludzie osobiście przyzwocii lokują kapitały swoje w lichy zbudowanych domach, z których wygórowane czynsze opłacają wyzyskiwani biedacy, o czym Shaw opowiada w „Domach wdowców” — winien temu, że „armja zbawienia” utrzymuje się funduszami fabrykantów amunicji czy właścicieli rafinerji wędek, a robotnicy mają się osobiście najlepiej w wielkich fabrykach, wytwarzających środki zabijania ludzi lub bodaj skracania ich życia. Rozumie się atoli, że taka poprawa stosunków nie może być uważana ani za trwałą ani za powszechną. Wystarczy, by podobne fabryki bomb powstały u innych narodów, aby przygotować pogrom całej ludzkości.

Ani obłuda armji zbawienia ani nawet współczucie jednostek nie rozwiążą kwestji społecznej. Jeśli jeden z bohaterów Galsworthy'ego mówi z lekceważeniem o litości, że to licha potrawa, to ma niewątpliwie na myśli tę zdawkową litość, która pojawia się po dobrym obiedzie u ludzi, żyjących bez skrupułu z wyzysku bliźnich

i sądzących, że ochłapem, rzuconym biednym, okupują sobie prawo prowadzenia nadal życia takiego samego, jak dotąd.

Zapewne, że pijak, włóczęga czy kobieta z pod lekiego znaku nie potrafią się podźwignąć z upadku o własnych siłach i odrazu, a kto w to wierzy, jest nierealnym marzycielem. W tym samym dramacie, w którym myśl tę wypowiada Galsworthy, zaznacza on, że potrzeba współdziałania religii, państwa i towarzystw dobroczynnych i systematycznej ich współpracy przez czas dłuższy dla poprawy stosunków. W innej sztuce wskazuje palcem na przeszkodę. Jest nią bezduszny, chciwy, zachłanny, antychrześcijański kapitalizm, uosobiony w bogatym głupcu, Purcey'u i jego samochodzie.

Aby duchy przodujące, kochające ludzkość i współczujące z jej upadkami, mogły skutecznie podać rękę proletariatu, uginającemu się pod ciężarem losu, potrzeba naprzód zgnieść przewagę pieniądza w świecie. Bohater „Braterstwa“ Galsworthy'ego mówi wyraźnie: „Jasna przyszłość istnieje dla ludzkości naprzekór tym wszystkim, którym trudności życiowe złamały kość pacierzową“. A z równem zaufaniem w wszechdobroć Stwórcy mówi major Barbara w znakomitym dramacie Shaw'a, że wszyscy ludzie są dziećmi jednego Ojca, że wszyscy są grzesznikami i wszyscy dostąpić mogą zbawienia.

Jeżeli Chesterton marzy czasem o powrocie do średniowiecza, to Shaw widzi, że jest to niepodobieństwem. Fakty i stworzone stosunki mają swoją niespożytą siłę. Niepodobna wielkiego kapitału poprostu zniszczyć. Nie to jest złem, że rwąca rzeka obraca tyle kół młyńskich. Złem jest tylko, że owe młyny należą do tak małej garstki jednostek, której służyć muszą miliony. Tak samo rozumuje Hilary Belloc, gorący katolik, podkreślający stale znaczenie religii dla kultury świata i autor znakomitej historii rewolucji francuskiej. Pragnę zwrócić uwagę Pana na dzieło jego p. t.: „Państwo niewolników“, którego lekturę świeżo skończyłem i przedstawić Mu tok jego rozumowań.

W ustroju kapitalistycznym żyjemy w ciągłym niepokoju. Ustawiczne protesty, strejki, krytyki, periodyczne obalania rządów, pochodzące często od reprezentantów proletarijusz, powodują ciągle zmiany w osobach rządzą-

cych, osłabiają więc władzę, nie pozwalając jej reprezentantom myśleć przedewszystkiem o dobru publicznem. Setki tysięcy bezrobotnych przymierają głodem. Drogie maszyny należą do nielicznych fabrykantów i robotnik nawet po dziesiątkach lat dobrze wynagradzanej pracy nie może ani marzyć o tem, by kiedykolwiek zostać mógł samoistnym przedsiębiorcą. Niejednokrotnie zgodzić się musi na gorsze warunki pracy, ponieważ z braku zapasów nie może uchylać się od zawierania umowy o pracę, skoro ona tylko daje mu możliwość egzystencji. Dawno minęły czasy, gdy ziemię dostawało się w drodze przydziału od księcia czy naczelnika szczepu, gdy sporo jeszcze było ziemi niczyjej, a ludzi mało. Dziś, kto nie ma pieniędzy, i tego warsztatu pracy nie uzyska.

Co więc uczynić, jeśli nie chcemy dopuścić proletariatu w ten czy w inny sposób do udziału we własności czyto ziemi czy maszyn? Pozostaje tylko jeden środek: deklarowanie przymusu pracy, pozbawienie faktycznych już i dziś niewolników wszelkich praw politycznych i tem samem powrót do niewoli prawnej. Niewola malała w przeszłości i znikwała zupełnie w miarę rozwoju kultury chrześcijańskiej, a wzrastała w miarę jej zaniku, wzrasta więc i dziś wraz z upadkiem ideałów chrześcijańskich.

Państwem niewolników jest wedle Belloc'a każdy ustrój społeczny, w którym znaczna większość ludzi, zamieszkujących państwo, zmuszona jest czyto przepisem prawa czy też warunkami egzystencji materialnej do pracy na rzecz osób trzecich wzamian za samo utrzymanie lub niewiele ponadto. Sam fakt pracy dobrowolnej, przedsiębranej z pobudek religijnych, patriotycznych, z poczucia obowiązku lub z chęci zysku, nie wystarcza do powstania tego pojęcia. Trzeba ponadto faktycznego lub prawnego obowiązku pracy, i to na warunkach, przeważnie układanych jednostronnie przez pracodawcę. Nietylko ten jest niewolnikiem, kto służy jednemu panu, ale i ten, kto np. pozostaje w służbie trustu naftowego, przedewszystkiem zaś ten, kto, należąc do pewnej warstwy społecznej, pozbawionej własnej ziemi czy własnych środków produkcji, tem samem skazany jest na zdobywanie środków utrzymania w drodze pracy najemnej. Robotnik najemny jest atoli niewolnikiem tylko wówczas, gdy na dłuższy okres czasu naprzód zawiera umowę o pracę, a ustawodawstwo



państwowe udziela takiej umowie opieki i wymusza jej dotrzymanie. Jeżeli umowa podobna zawarta jest na czas krótszy: tydzień, dwa tygodnie, miesiąc, t. j. tak, jak się to dzieje w naszym ustroju kapitalistycznym — lub wprawdzie na dłuższy okres czasu, ale za wyższą płacę, pozwalającą na oszczędzenie jej części, nie można mówić o niewoli *sensu stricto*. Czas mocy obowiązującej umowy i wysokość płacy, bądź tylko wystarczające na samo utrzymanie pracownika bądź też pozwalające na oszczędzanie nadwyżek, wywołują przeto nie tylko różnice ilościowe, ale i jakościowe między pracownikami.

Jak doszło do dzisiejszego stanu rzeczy? W starożytności istniała niewola powszechnie jako instytucja prawna, uznana za konieczną. Panu nie ciążyła na sumieniu, niewolnik uważał ją za sposób zabezpieczenia przeciw niedostatkowi. Arystoteles i inni mędrcy starożytności twierdzili, że nie mogą sobie wyobrazić istnienia społeczeństwa bez niewolników. Pod wpływem chrześcijaństwa niewolnicy stawali się osobiście półwolnymi, obowiązany na zachodzie Europy tylko do określonych zgóry świadczeń na rzecz pana w naturze lub pieniądzu z prawem dowolnej dyspozycji nadwyżką. Urodził się t. zw. chłop pańszczyźniany. Mógł nawet uczyć się i oddawać rzemiosłu lub zostać klerykiem, byle tylko jego rodzina nie zaniechała prac około obrobienia gruntu dla pana. Od pracy przymusowej uwalniano się wykupem. Ziemia pańszczyźniana czasem poczęła przechodzić w spadku z ojca na syna. Zdarzali się i właściciele zupełnie wolni.

W miastach cechy rzemieślnicze i gildy kupieckie uchylały konkurencję, zabezpieczając każdemu członkowi dostatnie utrzymanie i tworząc tą drogą podstawy rozdziału dochodów. W ten sposób większość ludzi, zamieszkujących dane państwo, zabezpieczała się skutecznie przed oligarchją nielicznych bogaczy. Wiek XVI sprowadził w Anglii konfiskatę olbrzymich majątków zakonnych na rzecz korony, niebawem jednak majątki te przeszły na własność szlachty, która odtąd poczęła wykupywać ziemię wolnych włościan, zagarnęła całą administrację i prawo sądownictwa nad nimi i wzmocniła wszędzie władzę swą nad chłopem pańszczyźnianym. Znikają skromne dworki szlacheckie, a w ich miejsce wznoszą się wspaniałe zamki magnatów, zubożali zaś królowie tracą władzę i znaczenie.

Już w roku 1700 w Anglii połowa mieszkańców to ludzie, nie posiadający ani ziemi ani gotówki. Gdyby w ciągu wieku XVIII w czasie pierwszych kroków przemysłu maszynowego istniały jeszcze cechy i gildy w dawnej świetności, one byłyby sprawiły członkom swym narzędzia, potrzebne wobec zmienionych form produkcji, one byłyby poniosły koszty mieszkań, żywności, ubrań, potrzebnych dla nowego zastępu członków, i uskuteczniły rozdział według dawnych zasad z utrzymaniem równowagi społecznej, jakiej przestrzegały poprzednio. Ale siły te zanikły, gildy i cechy spróchniały w samym korzeniu, lud przestano dopuszczać do szkół wyższych. Instytucje ochronne, powstałe w ciągu wieków średnich, jak kasy brackie, dogasały.

Jedynymi, którzy w tych warunkach dostarczać mogli nowemu przemysłowi potrzebnego kapitału, byli więc bogacze — jedynymi, nadającymi się do pracy najemnej na warunkach wyzysku, byli liczni a pozbawieni środków utrzymania proletariusze. Nowy ustrój społeczny rozluźnił lub zniósł zupełnie związki przymusowe sfer rzemieślniczych, a zwiększył znacznie liczbę pozbawionego ziemi i możliwości pracy samoistnej zastępu ubogich t.j. robotników. W tym ustroju, który trwa dotąd, istnieje nieustanny rozłam między naszymi poglądami i tradycjami moralnymi a rzeczywistym stanem rzeczy tudzież ciągły niepokój i troska o byt materialny po stronie większości ludzi, pozbawionych środków do życia. Taki stan rzeczy nie może być trwały. Nasze poglądy moralne obraża dotkliwie fakt, że mniejszość wprost rozstrzyga o tem, czy większość będzie żyła, czy też nie; brak bowiem zatrudnienia to dla tej większości zarazem brak chleba i niemożność egzystencji.

Czem jest nawet kara więzienia wobec groźby głodu? Niejednokrotnie dobrodziejstwem. To też władcą prawdziwego dzisiejszego świata nie jest żaden król ani prezydent, ale kapitał wyrażony w pieniądzu. Jeśli robotnik starzeje się lub zniedołężnieje i nie może już pracować, dom jego nawiedza niepokój i troska, podczas gdy człowiek majątny i wówczas żyje z procentów od swego kapitału. Gdyby państwo kapitalistyczne chciało być zupełnie konsekwentne, musiałoby odmówić żywności nie tylko tym, którzy pracować nie chcą, ale i tym wszystkim bezrobotnym, którzy

nie mogą znaleźć pracy. Chcąc uniknąć straszego wzrostu śmiertelności i groźnego oburzenia klas uboższych, kapitalizm popada w niekonsekwencję, przyczyniając się w drodze ubezpieczeń socjalnych do utrzymania przy życiu nie tylko chorych i starych, ale i bezrobotnych. Zapewnia sobie zresztą w ten sposób „armię rezerwową“, której samemu istnieniu i wytworzonej w ten sposób konkurencji zawdzięcza możność uiszczania niskich płac roboczych.

Zczasem kapitalizm przekonał się, że wolna konkurencja pociąga za sobą szereg poważnych dla niego samego niebezpieczeństw. Przedsiębiorcy rujnowali się wzajemnie w drodze ciągłego obniżania cen, działali bez poglądu na rozmiary światowego popytu, wydawali olbrzymie sumy na reklamę, wystawy, prowizje, komiwojażerów i agentów asekuracyjnych. I tu więc kapitaliści nie wytrwali konsekwentnie do końca. Stworzyli sobie lepsze warunki w kartelach, syndykatach i trustach, umożliwiającym doskonały pogląd na rynek, dyktowanie cen tak dostarczycielom surowców jak i kupującym towar gotowy oraz dyktowanie płac robotnikom. Wolność, o którą wrzekomo bój toczył liberalizm, została w ważnej dziedzinie ograniczona. Stany Zjednoczone próbowały w walce z trustami bronić nadal wolności. Okazało się, że i tam rządy są na tę walkę zbyt słabe. Kapitalizm nie jest więc konsekwentny i nie może się dziś powoływać na żaden zwarty światopogląd, na wierność hasłu wolności, które może i szczerze głosił sto lat temu.

Nieznosna chwiejność stosunków, jaką wytworzył, domaga się powrotu do równowagi społecznej. Jeśli nie nastąpi ona w drodze uprzystępnienia własności dla wszystkich, pozostają ku niej dwie drogi: kolektywizm lub ujarzmienie większości przez mniejszość w drodze zaprowadzenia niewolnictwa.

Na pojęcie kapitalizmu składają się dwa czynniki: własność środków produkcji, należąca do nielicznych i wolność wszystkich obywateli. Ich połączenie wydało rezultat potworny — kapitalizm. Chcąc go uchylić, trzeba dokonać zmiany jednego z tych składników: albo znieść własność nielicznych albo wolność ogółu i wzamian za obowiązek zaspokajania ich potrzeb życiowych uczynić ich niewolnikami.

Pierwsza ewentualność byłaby możliwa bądź w dro-



dze ewolucyjnego dostarczania własności jak największej ilości ludzi bądź też w drodze przeniesienia jej na państwo. Trzeba przyznać, że druga droga jest o wiele prostsza i łatwiejsza. Przemiana kolei prywatnej na państwową, prywatnego zakładu gazowego czy tramwaju na miejski, dokonywała i dokonywa się w naszych oczach bez trudności; rozdział natomiast akcji wielkich przedsiębiorstw między ogół mieszkańców spotkałby się z ogromnymi przeszkodami i byłby ponadto połączony z niebezpieczeństwem odkupienia tych akcji zpowrotem przez poprzednich właścicieli.

Gwałtowna konfiskata prywatnego majątku przemysłowego i równomierny rozdział tegoż między ogół pociągnąłby za sobą szereg najjaskrawszych niesprawiedliwości, mógłby wywołać szereg katastrof; powolne torowanie drogi urzeczywistnieniu idei uprzystępniania własności najszerszym warstwom w drodze protegowania małych akcjonariuszy z uszczerbkiem większych wymagałby zmiany całego systemu kredytowego i bankowego w drodze wyższego oprocentowania małych wkładów, obłożenia wysokimi podatkami wielkich kapitalistów a obdzielenia osiągniętymi nadwyżkami małych akcjonariuszy. A rezultat byłby ten, że proletariusze, którzy sztucznymi temi drogami doszli do jakiejś własności, nie umieliby się z nią obejść i zmarnowaliby ją w szybkim tempie. W każdym razie rezultat takiej przemiany byłby bardzo niepewny.

W zupełnie innej sytuacji jest kolektywizm. Liczy się, podobnie jak kapitalizm, z powszechnymi cechami współczesnego społeczeństwa, a mianowicie z tchórzliwą obawą przed walką o byt, z chciwością, obojętnością i lenistwem sytych tudzież z powszechnem zamięłwaniem do mniej lub więcej bezmyślnej rutyny, podczas gdy pokojowa i ewolucyjna reforma podziału własności prywatnej wymagałaby przymiotów rzadkich, jak w szczególności pewnej dozy altruizmu, odwagi i inicjatywy a do rozpowszechnienia tych cech potrzebowałyby gruntownych zmian w wychowaniu czyli drogi bardzo dalekiej i trudnej do przebycia. Ustrój kolektywistyczny poza tem może utrudnić lub nawet wykluczyć uzyskanie w przyszłości wielkich majątków, ale duże dochody nie ustaną dla kierowników fabryk państwowych, banków państwowych czy państwowych składów i magazynów. Grozi jednak przykra kon-

trola ze strony dyletanckich urzędników państwowych i niebezpieczeństwo obniżenia się produkcji.

Te słabe strony kolektywizmu odpadną, gdy przyjmie się ofertę zreformowanego kapitalizmu, który oświadczy gotowość uznania prawa do życia i utrzymania każdego proletariusza pod warunkiem uchwalenia przymusu pracy.

Kolektywista, powodujący się jedynie współczuciem dla cierpiącej skrajną nędzę większości ludu, ujrzy się bez walki u celu swych pragnień; nie będzie więc obstawał przy wolności, woląc zabezpieczenie życia, słowem zgodzi się na państwo niewolników.

I ci kolektywiści, którzy przedewszystkiem pragną porządku i panowania olbrzymiej armji biurokratycznej, nie dbają natomiast o rozwój indywidualności i nie przywiązują do niego wagi, nie odrzucają propozycji umożliwiającej osiągnięcie ładu społecznego w drodze oddania rządów gospodarczych ludziom fachowym.

Istnieje trzecia kategoria obywateli. Są to tak zwani praktycy. Ludzie to bardzo wpływowi, zamożni, nie znający ani historii ani filozofji i czerpiący sady swoje li z pism codziennych. Ich ma na myśli Shaw, wkładając w „Majorze Barbarze” jednemu ze swych bohaterów w usta uwagę, że skoro syn jego nic nie umie, a zdaje mu się, że umie wszystko, to winien obrać karierę parlamentarną. Ci „realni” politycy widzą tylko najbliższe fakty: niepewność egzystencji robotników i ich niedostateczną płacę. Poza tem twierdzą, że robotnik jest naogół leniwy i że trzeba go w jego własnym interesie zmusić do pracy. Tem łatwiej więc zgodzą się i oni na państwo niewolników.

A lud, to jest sami interesowani? Wśród proletariatu to jest dziewięciu dziesiątych ludzi, zamieszkujących Anglję, niema dziś ani tradycji własności ani nadziei jej uzyskania. Czują się jedynie płacobiorcami i niczem więcej i dlatego niewysoko cenią sobie wolność, która w praktyce na nic się im nie przydaje. Każdy z nich gotów byłby zawrzeć umowę o najem swej pracy za odpowiednią płacę, wiążącą go do końca życia i jeszcze uważałby umowę taką za dobrodziejstwo. A nie byłoby to nic innego, jak tylko wyrzeczenie się wolności czyli niewola. Czego naprawdę boją się najwięcej szerokie masy? Nie kar sądowych, ale wypowiedzenia im pracy. Wyrazy „pan” i „niewolnik”, użyte w ustawie, może wywołałyby

rewolucję; sama rzecz nie drażni nikogo. Biedni wolą zapewnione życie bez wolności, niż wolność bez nadziei życia.

Nawet postanowienia ustaw dla robotników przychylnych są pod pewnym kątem widzenia tylko etapami ku przyszłemu państwu niewolników. Ubezpieczenia społeczne, zabezpieczenie minimum egzystencji, umowy zbiorowe, udział robotników w zysku mają wszystkie ten skutek, że wstrzymują robotnika od strejku, innemi słowy, wzamian za ustępstwa pieniężne zmierzają do zapewnienia fabrykantowi nieprzerwanej pracy robotnika. Cel ten osiąga się poza tem bądź w ten sposób, że robotnika wzbraniającego się pracować, karze się grzywną lub w razie jej nieściągalności ograniczeniem wolności osobistej, bądź tak, że zarządzający funduszem bezrobocia odmówi robotnikowi wypłacenia nadal zasiłku, o ile ten odmówi podjęcia się wskazanej mu pracy, bądź wreszcie w drodze orzeczenia izb rozjemczych i sądów polubowych, których wyroki mają dla obu stron moc obowiązującą przez czas dłuższy, a w ciągu niego nie wolno przerywać pracy ani też nowych podnosić żądań.

Tam nawet, gdzie pozornie zmierzamy do nacjonalizacji czy komunalizacji produkcji, możemy to uskutecznić jedynie, pogłębiając naszą zależność od kapitału ruchomego. Odszkodowanie dla wywłaszczonych uzyskać można tylko w drodze emisji odpowiedniej pożyczki za pośrednictwem banków i giełdy. Obdłużenie powszechne na rzecz kapitału prywatnego ciągle wzrasta zatrważająco. Dzieje się to w najwyższym stopniu tam, gdzie przedsiębiorstwa państwowe prowadzone są niedołąźnie, marnotrawnie, a po części i nieuczciwie. Otchłań, która otwiera się przed nami, staje się coraz większa. Ponieważ zaś kolektywizm ma zdaniem Belloca wbrew powszechnej opinii szanse coraz mniejsze — a odstraszaający przykład państwa sowiektów zdaje się potwierdzać tę opinię — więc jako prawdopodobny dalszy etap wierzy on w państwo niewolników jako ostatnie słowo triumfującego kapitalizmu.

Może ta zapowiedź skłoni ludzi słabszych do ugięcia karku. Mnie napełnia wzgardą i chęcią dopomożenia wszelkiemi siłami do rozwiązania trzeciego, które Belloc krótką jedynie zbywa wzmianką, ale z którem niewątpliwie najbardziej sympatyzuje, t. j. do uprzystępnienia własności jak największej ilości ludzi.



Nie mógłbym być człowiekiem wierzącym, gdybym myślał inaczej. Słusznie Chesterton każe nam wierzyć w Opatrzność Bożą, choćby chmury zasłoniły cały widnokrąg, a w wylęknionem sercu przygasła na chwilę nadzieja. Pysze siły materialnej przeciwstawia siłę pokory, a rozkładczej i burzącej nienawiści miłość. Nie za to, że świat nastraja nas do wesołości lub smutku, ale za to, że jest nasz i że tylko kochając go takim, jakim jest, można go uczynić lepszym i doskonalszym.

Pozdrawiam Pana najserdeczniej

*Yoshi*“.

## X.

Lekarze. — Wrogowie na kuracji. — Nacjonalizm i granice państwa. — Bożek Mamon. — Czy naród jest najwyższem dobrem. — Aryjczycy. — Pomieszanie ras.

„St. Moritz, lipiec 1926.

„Kochany Przyjacielu! Przebywam tu na kuracji w hotelu \* \* \*. I dziwne obserwuję zjawisko. Są tu pacjenci, pochodzący z różnych stron świata, których do niedawna, a zapewne i dotąd rozdzielają sympatje polityczne i cały pogląd na świat. Ale w przedpokoju lekarza są dziwnie zgodni. Zdają sobie sprawę wszyscy ze znikomości spraw ludzkich, z tego, jak krótkiem i zawodnem jest życie i że cierpi się w niem tyle, iż tylko miłość i pomoc wzajemna zdołają osłodzić nieco nędzę żywota.

I jeszcze jedno. U lekarzy Francuzów, pacjentów nawet francuskich mniej, najwięcej u jednego Szwajcara, dwóch Niemców i Anglika. Dlaczego? Czy narody germańskie są istotnie solidniejsze? Byłem pacjentem Anglika, który atoli niewiele dbał o mnie; byłem dla niego kosookim Mongołem i niczem więcej. Poszedłem do Francuza, który był samą uprzejmością. Po paru wizytach przekonałem się, że obojętną mu jest moja narodowość, a dba jedynie o moje funty. I jeden i drugi, jeśli czytali książki naukowe wogóle, to chyba tylko w języku własnym, bo innego żaden z nich nie znał. Najwykształceńszy okazał się Szwajcar, znający trzy języki europejskie i czytający w nich z łatwością.

Chwali się powszechnie wiedzę i sumienność jednego zwłaszcza Niemca, zamilowanego w nauce, ale do niego nie miałem już odwagi iść, zanadto angażowałem się całe życie w polityce antyniemieckiej. Gdyby mi się pod jego opieką pogorszyło, możebym go niesłusznie podejrzewał o rozmyślnie złe leczenie.

I oto przyszło mi na myśl, jakim prawem Wy, Europejczycy, mówicie o wyższości kultury europejskiej nad azjatycką. Sławni byli zawsze lekarze asyryjscy, babilońscy, hinduscy, chińscy. Dziś jeszcze mnichowie w Tybecie posiadają obfitość środków leczniczych, o których fakultety Wasze nie mają pojęcia.

Po wtóre system wynagradzania lekarzy w Europie jest nieracjonalny, a nawet wręcz nielogiczny. Płaci się im za wizyty i zabiegi lekarskie. Rzecz prosta, pragnie więc dziewięć dziesiątych z pomiędzy nich, aby tych wizyt i zabiegów było jak najwięcej. Należałoby ich płacić za okres zdrowia a za czas choroby systować zapłatę, aby mieli interes zgodny z naszym, pacjentów, to jest ten, abyśmy byli jak najczęściej i najdłużej zdrowi. Najlepszy zabieg lekarza to nie ten, który wymaga najwięcej trudu, ale ten, który, oparty na głębokiem poznaniu naszego organizmu, najlepiej pomaga mu w odzyskaniu normalnego stanu. Zaproponowałem jednemu z lekarzy tutejszych ten system wynagrodzenia, odmówił. I nie mogę nawet powiedzieć, by odmówił dlatego, żeby, przekonawszy się o złym stanie mego zdrowia, przyszedł do przekonania, że otrzymałby wynagrodzenie zbyt małe. Nie, odmówił zgóry, dla zasady, z pewnym uśmiechem wyższości nad pojęciami Azjatów. Tak samo było z drugim i z trzecim lekarzem.

Nie rozumieją tej prostej rzeczy, że lekarz jest dla chorych, a nie chorzy dla lekarza, że jest nato, aby ich uzdrowić, a nie aby pisał studja teoretyczne lub opisywał „ciekawe wypadki“, t. j. cierpienia swych pacjentów. Może to robić, i owszem powinien, ale nie to jest głównem jego zadaniem i celem. Jest przede wszystkim na to, aby pomóc, pomóc jak najgruntowniej i najrychlej. I dlatego nie powinien obrażać się o to, gdy chory, który chce być zdrow, radzi się drugiego i trzeciego lekarza. Ten naturalny krok pacjenta nazywają oni naruszeniem etyki lekarskiej ze strony lekarza, który takiego pacjenta przyjmie, a z pacjentem, który pragnął zasięgnąć jeszcze jednego zdania w sprawie dla niego najdonioślejszej, bo jego zdrowia i życia, zrywają wszelkie stosunki. Zgadza się od biedy na tak zw. konsyljum, a właśnie pacjentowi chodzić może o to, aby drugi lekarz nie był pod czyjąkolwiek sugestją, lecz powodował się jedynie własnem badaniem.

Poglądy te tłumaczę sobie egoizmem pewnego ro-



dzaju stanu posiadania. Z chwilą, gdy pacjent przestąpił progi dra Sanslesou lub profesora Totengrübera, uważany jest przez niego za jego własność, której nikt nie ma prawa mu zabierać. Pacjent więc, który nie chce chorować ani umierać tak prędko, choćby wedle wszelkich reguł sztuki lekarskiej, naraziłby się jako buntownik na potępienie całego szanownego kolegium. Na szczęście mój Szwajcar nie dba o oburzenie Anglika ani Francuza. Każe sobie płacić, naturalnie, a ponieważ nie zna się na yenach, przyjmuje honorarjum w funtach — ale rzecz pojął poprostu jako solidną transakcję handlową, nie okłamuje mię jak Francuz, nie usiłuje imponować swą rzekomą wyższością jak Anglik, ale leczy mię, leczy intensywnie, dobrze i szczerze.

Oddany cały dzień kuracji, mam sposobność czynienia tu obserwacji nad członkami różnych narodów, bawiącymi tu dla leczenia. Rozmawiam z Niemcami, którzy, już ledwo nogami włączając, wspominają otwarcie i z tęsknotą lub raczej zaciskając zęby o dniu rewanzu, w którym mogliby i Was i Francuzów posiekać wreszcie na kotlety albo lepiej wytruć wszystkich gazami; rozmawiam z Francuzami, szczycącymi się podbojem Druzów i Riflenów, a więc narodów, zasługujących na równą wolność, jak oni sami; spotykam się z Anglikami, których nowemi napełnia nadziejami zabranie Mossulu Turcji, ostatnio zaś traktat z Włochami o podział wpływów w Abisynji. Słowem na każdym kroku zabór i gwałt lub marzenie o gwałcie.

Jedne kraje skandynawskie oraz Szwajcaria i ich obywatele stanowią chwalebny wyjątek w tej powszechnej kakofonji. Zadowolają się tem, co mają, i cudzej własności nie pragną. Potomkowie Wikingów, syci sławy przeszłości, są najlepszymi chrześcijanami w Europie.

I myślę jeszcze, ośmielony przykładem trójjęzycznej Szwajcarii, czy naprawdę nie byłoby możliwem stworzenie Zjednoczonych Stanów Europy? Wiem, co mi Pan odpowie. Nawet gdyby Rosja nie była członkiem związku, sama obecność Niemiec byłaby stałą groźbą dla niezawisłości Waszej i czeskiej, a z pewnością i innych słabszych narodów. Ale tak samo boją się Was Litwini i Rusini, Rumunów i Jugosłowian Węgrzy, Węgrów Jugosłowianie, Czesi i Rumuni, Czechów i Włochów Austriacy. I gdyby ludzie wysilali od tysięcy lat swoje mózgi nie na wynajdywanie coraz nowych i coraz straszniejszych środków uśmierca-

nia swych bliźnich lub ściślej przyśpieszania ich zgonu, bo przecie umrzeć muszą w każdym razie, ale na przedłużanie i uprzyjemnianie wzajemne życia, na leczenie chorób, na rozwijanie nauk i sztuk, przyjście do skutku takich Stanów Zjednoczonych Europy bez niczyjej przewagi byłoby możliwe. Zaniechanoby nareszcie niemądrego systemu prześladowania ludzi innych narodowości, innych przekonań politycznych czy religijnych i zaczęłoby pociągać ku sobie i rywalizować z sobą jedynie dobrym przykładem i dobrym uczynkiem. Nie jestem jednak zwolennikiem Paneuropy, pomysłu austriackiego arystokraty. Książka jego wydaje mi się pełna frazesów i podejrzanej tendencji.

Lecz porzućmy marzenia i pomówmy zupełnie realnie. Zapewne wydałem się Panu przed chwilą entuzjastą wiecznego pokoju. Tymczasem jestem całą duszą nacjonalistą. To znaczy, pragnę wszystkimi siłami mej duszy dobra mego narodu i broniłbym, jak już dwukrotnie, do ostatniej kropli krwi jego niezawisłości. Nie znaczy to jednak, abym był zwolennikiem ekspansji politycznej państwa japońskiego. Rozumiem, że Japończycy, którzy nie mogą osiedlić się w ojczyźnie, osiedlają się w Korei, w kraju nadamurskim, na Filipinach i Hawaj, w Meksyku i w Peru i rozumiem, że rząd nasz ma obowiązek im w tem dopomagać i odpowiednimi traktatami skłaniać państwa owe do nierobienia trudności przybyszom. Ale byłem zawsze przeciwny zaborowi Korei i części Chin, czego, jak Pan może pamiętać, domagała się wielka część zaślepionych szowinizmem moich rodaków.

Nie wątpię, że i Pan w gruncie rzeczy rozumuje tak samo. Wszak podobno prezydent Masaryk oświadczył, że część dawnych Węgier, zamieszkałą przez naród małoruski, trzyma tylko do czasu powrotu rządów normalnych w Rosji, a potem przestrzenie te zwróci. Zdaje mi się też, że jeśli dziś trzymacie w ręku pewne części Wołynia mimo faktu, że jest Was tam ledwie 20%, resztę zaś ludności stanowią bezmała Rosjanie, to nie czynicie tego z pobudek historycznych, ale li ze strategicznych, z pewnością słusznych i żywotnych, ale mniej lub więcej czasowych. Nie lekceważę bynajmniej pobudek historycznych, wcale nie. Kto, jak ja, patrzeć może na przeszłość tysiącletnią własnego rodu, najmniej jest skłonny do ich lekceważenia.

Ale argumenty historyczne zrozumiałe są dla drobnej

zaledwie garstki. Dla ogółu, który kiedyś nie miał nic do gadania, a dzisiaj jest wszystkim, nie znaczą nic. A to jest rozstrzygające. Bez względu na to, który światopogląd wyda się nam osobiście trafniejszy, świata nie cofniemy w dawne tory. Być może — i skłonny jestem sam to przypuścić — ludzie nie potrafią w drodze powszechnego głosowania i powszechnej ćwierćświaty tak urządzić spraw własnych, by wszystkim było dobrze, choć radykalizm ciągle to obiecuje. Być może, że raczej do celu tego zbliżyć się można było w drodze systemu patrymonjalnego średnich wieków europejskich, t. j. roztoczeniem opieki ze strony dobrych i silnych nad słabymi, o grubych instynktach ludźmi, tkwiącymi całkowicie w trosce o zaspokojenie materialnych potrzeb. Być może, powiadam, bo nie wiem. Myślę nieraz, czy tak czy inaczej byłoby lepiej. Pociągają mnie średnie wieki Wasze swym urokiem, głęboką wiarą, poświęceniem bez granic, entuzjazmem, rozgałęzioną opieką nad chorymi i nad konsumentem.

Jako ujarzmiciel i pogromca wieków średnich stoi kapitalizm, straszny bożek Mamon, ten sam, którego czcili niegdyś Fenicjanie i Kartagińczycy, któremu dziś biją pokłony w stolicach całej kuli ziemskiej, nawet w Tokio. I znowu cieszę się, że miliony oświeconej ludzkości podnoszą się do buntu przeciw Mamonowi i że w imię sprawiedliwości społecznej burzą jego ołtarze. Któż wie, czy nie uda się im wkońcu to, co się przez setki lat zawodzących ciągle prób nie udawało. Pragnę tego z całego serca i wtedy hasło humanitaryzmu: „Największego dobra dla największej liczby“ przestanie być obłudnym sojusznikiem liberalizmu, bo wcieli je masa, a wcieli w czyn naprawdę dla dobra wszystkich.

Ale to dla mnie jest pewnem, że uczynić to zdoła ona jedynie pod wodzą kierujących, silnych, wielkich osobistości, ożywionych przytem najgłębszą wiarą w Bóstwo.

Bóg jest najwyższem dobrem dla człowieka. Zdawałoby się to naturalne. Tymczasem niektórzy mówią inaczej i szerzą inne poglądy. Dla nich najwyższem dobrem jest naród. Naród ma przez Boga ustanowione, niezniszczalne prawo samodzielnego rozwoju i niezawisłości, ale naprzód pod warunkiem szanowania praw innych narodów, które mają przecie takie same prawo — w ten sposób „najwyższych dóbr“ byłoby tyle, ile jest narodów —



a po wtóre prawo to, jak wszystko na świecie, wywodzi się od Boga, a więc oczywiście naród nie jest najwyższym dobrem.

Ponadto, jeśli chcemy, aby zgodnie z nowoczesnymi pojęciami cały ogół w razie potrzeby ujął się za samodzielnością narodu i wziął udział w obronie jego niezawisłości, trzeba na to użyć właściwych środków. Póki klasy pracujące cierpią niedostatek, nigdy nie zrozumieją słuszności żądania klas uprzywilejowanych, by w razie wojny narażały życie w obronie państwa, które jest przedmiotem eksploatacji ze strony warstw bogatych. Więc nie tylko w imię sprawiedliwości Bożej, ale i w imię dobra narodu, nie należy dopuścić do ubożenia lub wyzysku klas robotniczych i małorolnych, bo to fundament narodu. Tych najliczniejszych należy zainteresować w istnieniu państwa, dopuszczając ich hojnie do udziału w jego dobrodziejstwach. Sam mi Pan opowiadał, że w Waszem powstaniu listopadowem przeciw Rosji brała udział niemal wyłącznie szlachta, i że w drugim Waszem powstaniu styczniowym udział włościan nie był bynajmniej tłumny i tłumaczył mi to Pan faktem, że jeszcze wówczas nie nastąpiło w części Polski, zostającej pod zaborem rosyjskim, zniesienie pańszczyzny. Nie można się więc dziwić, że włościanin nie walczył o Polskę, bo już uświadomił sobie ciężkie swe położenie materialne, a jeszcze Polska nic dla niego nie uczyniła. Z tego stanu rzeczy wyprowadzam wniosek, który wyciągnął już Mussolini. On ujmuje się za robotnikiem i małym rolnikiem, a w ten sposób, wznieciwszy wdzięczność i entuzjazm tłumów, wskrzesza wielkość Rzymu. W idei solidaryzmu, którą on nazwał tylko inaczej, jest zadatek zwycięstwa nacjonalizmu takiego, jak on go pojmuje. Reformy faszyzmu jak np. obowiązkowe sądy rozjemcze, dążą we Włoszech do uszczuplenia praw wielkich fabrykantów, wielkich właścicieli ziemskich i wielkich banków na korzyść małych. Tak buduje się prawdziwy, trwały nacjonalizm.

A przytem przywraca się wszędzie przewagę krzyża, tłumiąc rozkładcze instynkty, nawet gdyby wyszły z własnego obozu.

Czy nie uznaje Pan wprost za aberację umysłową, wiedzącą do rozkładu, takiego np. w Niemczech rozpowszechnionego twierdzenia, że religja chrześcijańska, będąc

żydowskiego początku, nie mogła wnieść w świat nowoczesny pierwiastków szlachetności i wierności, i że zawdzięczyć je należy dopiero prawdziwym arjom, Germanom. Niektórzy zalecają konsekwentnie kult bogów germańskich, Odina i Freji i piszą na ich cześć całe poematy. Ruch ten liczy w Niemczech setki tysięcy zwolenników, wśród nich nawet spowinowaconych z junkrami członków giełdy, którzy sądzą, że najlepiej zatrą w ten sposób tajemnicę swego pochodzenia.

Otóż prawdą jest, że chrześcijaństwo wzięło początek pośród Żydów; prawdą, że Panu Jezusowi podobało się urodzić Żydem; prawdą, że Matka Boża była Żydówką i że wszyscy apostołowie byli nawróconymi Żydami. Póki junkrowie i ich poplecznicy chcą stać na gruncie chrześcijańskim, nie mogą zaprzeczyć, że ci nawróceni Żydzi stali się solą ziemi i byli najszlachetniejszymi głosicielami nauki Zbawiciela, najwznioślejszej i wiecznej.

Nie wynika stąd oczywiście przyznanie Żydom jakichkolwiek przywilejów a tem mniej uznanie dla rozkładczych idei pisarzy żydowskiego pochodzenia jak Spinozy lub. Marxa, nie rozumiejących zgoła chrześcijańskiego państwa i nie mających do niego przywiązania. Ale wynika stąd, że w każdym narodzie trafiają się dobrzy i źli i że ludzi sądzić trzeba wedle ich postępów, a nie wedle ich pochodzenia.

Jest to tem słuszniejsze, jeśli się zważy pomieszanie ras powszechne wśród tyłu narodów aryjskich, które w ciągu wieków mieszały się mniej lub więcej z semitami. Hiszpanie, Włosi i Grecy mieszały się w ten sposób z Arabami. Co do Was przypuszczam to samo wobec wielkiej ilości Żydów, zamieszkujących wasze ziemie, oraz praw, nadających szlachectwo Żydowi przyjmującemu religię katolicką<sup>1)</sup>, co było wielokrotnie podnoszone na dowód Waszej tolerancji w czasie, gdy w innych państwach najsrożej prześladowano innowierców, a szczególnie Żydów. W świetle tych faktów teoria o czystości ras traci mocno na wartości.

Inna rzecz, że nawrócenia pozorne bywały częste i że

---

1) Baron Yoshi ma tu zapewne na myśli postanowienie statutu litewskiego z r. 1588 (rozdział XII art. 7, § 5). „A jeśliby który Żyd albo Żydówka do Wiary chrześcijańskiej przystąpili, tedy każda taka osoba i potomstwo ich za Szlachcica poczytani być mają“, Na zasadzie tego przepisu bardzo wielu Żydów, zmieniwszy wiarę, otrzymało szlachectwo polskie.

one drażniły prostoduszną ludność prawdziwie chrześcijańską i katolicką, wywołując niechęć szczególną do neofitów czy marranów, zwłaszcza, że wady żydowskie ujawniały się także i w potomkach takich małżeństw mieszanych. Niemniej przeto nawrócenia te i połączone z nimi pomieszanie krwi było faktem i nie można mu zaprzeczyć ani go cofnąć w historii. Opowiadanie o czystości rasy aryjskiej może być prawdziwe chyba w Indiach Wschodnich. W Europie z pewnością nie. Dlatego we Włoszech, Hiszpani czy we Francji niema antysemityzmu rasowego, choć tam na każdym kroku spotyka się mieszańców, a to choćby dlatego, że naród prawdziwie kulturalny nie może zwracać się ogólnie przeciw pierwszym szerzycielom własnej religii, a tymi byli wyłącznie neofici żydowscy, może natomiast i powinien zwalczać ludzi złych, bez względu na to, czy są poza tem aryjczykami czy semitami, katolikami z urodzenia, neofitami czy żydami.

Nazywam więc teorię o jedynie szlachetnych arjach błędną i antychrześcijańską — może dlatego, że sam jestem Mongołem i nawróconym katolikiem. A jednak zdaje mi się, że wierzę głębiej od tych urodzonych katolików, którzy bronią przywileju amoralności w malarstwie i poezji, od tych, którzy nie gorszą się dzisiejszemi modami w strojach kobiecych i którzy nic nie widzą zdrożnego w dzisiejszych tańcach.

Tańczą tu codzień w hotelu foxtrotta pod nazwą: „Czy chcesz, bym nauczył cię grzechu“. Jakie to nikczemne nazwanie! Taniec, wywołujący sensacje zmysłowe między ludźmi zupełnie obcymi, reklamuje się z cynizmem podobnym napisem. Oto Wasza cywilizacja powojenna! Gdy papież zabronił nowoczesnych tańców, pseudokatolicy, a takich jest większość, przyjęli zakaz ten uśmiechem wyższości. Dopiero rozkład moralny, który można obserwować dziś wszędzie, otworzył oczy najprzezorniejszym, jak np. Mussoliniemu. Czy i w Pańskiej ojczyźnie bodaj przywódcy narodu rozumieją, jak zgubnie wpływają tańce te na moralność całych pokoleń, jak niszczą wszelkie szlachetne uczucia młodzieży, a tem samem podkopują przyszłą wielkość całego narodu?

Pozdrawiam Pana najserdeczniej

Yoshi.“



## XI.

### Pierwszy kongres paneuropejski.

*Wiedeń, październik 1926*

Trafnie Pan przypuszczał, że bodaj jako obserwator przyjadę tu, aby przypatrzeć się p. hr. Coudenhove-Kallergi i jego trabantom, obradującym w stolicy Feaków nad stworzeniem Paneuropy. Spodziewałem się nadzwyczajnego widowiska i nie zawiodłem się. W świecie do gruntu skorumpowanym, w którym Mars poszedł jako żołnierz zaciężny w służbę Merkurego, w mieście, które nie ma ani krzty przywiązania do dawnych władców, choć w każdym razie dla niego dużo uczynili, a marzy tylko o jedzeniu i szerokiej zabawie, jawi się arystokrata i w gronie swych prywatnych znajomych i znacznego zastępu bankierów, kupców i fabrykantów, którym wszystkim potrzebny jest pokój i uchylenie cel granicznych dla *business'u*, głosi w pozie proroka dobrą nowinę o stworzeniu Paneuropy.

Program mówi o połączeniu narodów europejskich nie tylko gospodarczem, ale i politycznem. Dla Wielkiej Brytanji są zapewnienia przyjaźni wraz z deklaracją połączenia się „o tyle, o ile to jest zgodne z jej interesami“. Co do Rosji powołuje się program na opinię posła Rakowskiego o przeważających interesach jej w Azji, co wyklucza jej udział. Sympatja Ameryki zdobyta została rzekomo przez samego Coudenhovego w czasie jego objazdu Stanów Zjednoczonych minionej zimy.

Memorjał o stosunku Paneuropy do Ligi Narodów powołuje się na przykład, dany przez doktrynę Monroëgo. Ale zdaje mi się, że w Europie chodzi nie o niebezpieczeństwo z zewnątrz, np. o groźbę inwazji naszej czy

Chińczyków do Europy, ale o to, aby nie rozpętał się znów w najbliższym czasie szal wzajemnej nienawiści w krwiożerczej wojnie i nie zmiotł większej części narodów europejskich dla zrobienia miejsca najsilniejszym.

Liga Narodów jest lekko krytykowana. Nie podoba się paneuropejczykom, że w radach jej biorą udział narody i państwa egzotyczne (czytaj: Japonja!) i współdecydują o interesach Europy, w których się wrzekomo nie orientują. Nie jestem entuzjastą Ligi Narodów, ale nie waham się zaznaczyć, że właśnie odległość naszych krajów i bezinteresowność naszych referentów, jak w szczególności delegatów Chin, Japonji, a nawet niektórych państw południowo-amerykańskich, niejednokrotnie podniosła wartość rozstrzygnięć Ligi na wyższy poziom.

Twórcom myśli paneuropejskiej chodzi także o wybory do Rady Ligi, które nie znajdują łaski w ich oczach. Nie tają tego, iż ich zdaniem w Radzie Ligi zasiadać winne tylko mocarstwa światowe. Oczywiście wówczas nie miałibyście mandatu ani nawet trzechletniego z prawem do reelekcji. Gdy otworzy się wielka Paneuropa, najważniejsze sprawy załatwiane będą w „rodzinie“ europejskiej i nie będą mogły być wytaczane przed forum Ligi. Sądzę, że nie oddałoby się tem żadnej usługi Polsce i że jesteście bliżsi sympatjami nam czy Hindusom, aniżeli Niemcom, choćby dlatego, że nie doznaliście od nas niczego złego.

O Niemcach dyskretne milczenie. Wilk schował pazury i wdział na łeb czepek babuni.

W jednym ze swych przemówień hr. Coudenhove deklamuje o zdradzie Europy, którą popełnia każdy, kto z nim nie idzie, o wojnach bratobójczych i o związku państw europejskich. Pytam więc, co to jest Europa. Mojem zdaniem jest to pojęcie zupełnie dowolne. Polska twierdzi, że u jej wrót wschodnich kończy się Europa. Geografia pociągnęła linię znacznie dalej, wzdłuż Uralu i Kaukazu. Ale nikt nie zaprzeczy, że z większą słuszością możnaby do Europy zaliczyć najstarsze narody Azji, gdyby chodziło o zaznaczenie jakichś przywilejów dla tej części świata lub o podkreślenie jej prawa do przewodniczenia całej kuli ziemskiej. Być może, będzie Pan odmiennego zdania, gdy powiem, że kulturę indyjską stawiam na równi, jeśli nie wyżej, od greckiej i rzymskiej. Że była dawniejszą, temu nikt zaprzeczyć nie może.

Gdy germańscy junacy polowali półnago po borach, pijąc wstętne jakieś odwary z rogów bawolich i znając tylko niekształtne runy, narody Azji dawno miały najwspanialsze dzieła sztuki, wysoko rozwiniętą filozofję i malarstwo, rozległe i bogate miasta, urządzoną administrację.

Dlaczego miałoby się tak bardzo być dumnym z tego, że się jest Europejczykiem? Dlaczego miałoby się czuć solidarność, czyto z Niemcami, którzy przez cztery przeszło lata mordowali całą Europę, czy z Węgrami, którzy przy pomocy fałszywych tysiącofrankówek odbudować chcą swoją ojczyznę? Z tymi wszystkimi, którzy dla kwestji prestiżu wzniecili zbrodniczo najkrwawszą z wojen, aby teraz przez usta Coudenhovego czynić wyrzuty małym i średnim państwom, iż „dla kwestji prestiżu“, t. j. uzasadnionej obawy ustępowania na każdym kroku pierwszeństwa Niemcom, wahają się przed udziałem w akcji Paneuropy?

Coudenhove twierdził w przemówieniu końcowem, że Paneuropa już dziś stała się w polityce świata czynnikiem decydującym i że wnet istnieć będzie także i na mapie geograficznej. Zdaje mi się, że ten człowiek liczy zanadto na głupotę powszechną.

Powiada, że zwolennicy jego będą prześladowani i spotwarzani. Myli się, będą tylko wyśmiani — chyba, że pod pokrywką ideologii i tanich frazesów humanitarnych uprawiać będą pospolite szpiegostwo na rzecz tego państwa, które chciałoby stać się ośrodkiem przyszłej Paneuropy; wtedy bowiem będą lub bodaj powinni być powieszani. Jeśli Coudenhove rozdziera szaty z powodu grozy wojny, to ta Ameryka dawno już została odkryta. Ale nie wynika stąd, abyście wszyscy musieli ciągle siedzieć pod jednym parasolem; wówczas bowiem najbezpieczniejszy będzie chyba ten, kto siedzi w środku. Czy nie lepiej, by każdy z was miał własny parasol i nim się zasłaniał w razie potrzeby?

Coudenhove fałszuje historję i fabrykuje dla idei swojej fałszywych przodków, podając za nich Bernardina de St. Pierre\*), Komensky'ego, Mazziniego, Wiktora Hugo

---

\*) Hrabiemu Coudenhove, a za nim baronowi Yoshi, zdarzyła się tu pomyłka. Nie Bernardin de St. Pierre (1737—1814), autor sentymentalnych *Études de la Nature* i sławnej *Paul et Virginie*, ale Abbé de St. Pierre (1658—1743) jest autorem pomysłu stworzenia związku światowego między państwami, z przymusowym sądem polubow-



i Fryderyka Nietzschego. Żaden z nich atoli nie mówił, o ile pamiętam, o związku państw, w którym mniejsze i średnie miałyby z odrzuceniem wszelkich ambicji prestiżowych poddawać się kierownictwu mocarstw, i w którym tylko te mocarstwa miałyby coś do gadania, a rzeczą mniejszych byłoby załatwiać wszystkie sprawy na „radzie familijnej“ bez udziału bezinteresownych cudzoziemców.

Prawdą jest, że aeronautyka nadzwyczajnie zbliżyła narody i państwa, niemal uchyliła przestrzeń; prawdą, że produkcja na wielką skalę jest tańsza, wymagałaby jednak dużych rozmiarów i odbytu na wielką skalę, a więc przemiany trzech czwartych Europy na kraje li zbytu wyrobów francuskich czy niemieckich, jak o tem również mówił Coudenhove, więc stłumienia w tych mniejszych państwach rozpoczętej samoistnej produkcji przemysłowej; prawdą wreszcie, że przyszła wojna, jeszcze groźniejsza niż miniona, pogrążyłaby w ostatnią niedolę i zwycięzców i zwyciężonych.

Ale z tego wszystkiego nie wynika bynajmniej, by uświadomione w swem poczuciu narody europejskie miały obecnie złać się za dotknięciem różdżki mojżeszowej Coudenhove'go w jeden wielki nadnaród! Było to możliwe sto lat temu i jest dotąd w Stanach Zjednoczonych, gdy analfabeci europejscy spływają wielkimi masami do tego kotła narodów i tam, częściowo także pod wpływem niesłyszanego bogactwa, które im przypadło w udziale, stapiają się w wielkiej części w rodzaj nowego narodu. Ale ludzie, noszący w sobie tysiącletnią i odrębną kulturę, nie pójdą za tym śladem.

Coudenhove mówi o arbitrażu w miejsce wojen, ale macie go już w Lidze Narodów.

Narzekań na ucisk mniejszości narodowych i na szowinizm powszechny uważam również za nieszczerę. To właśnie mniejszości nienawidzą narodów panujących,

---

nym w razie sporu między niemi. Pomysł ten wyluszcza trzynomowe jego dzieło p. t.: *Projet de Henri le Grand pour rendre la paix perpétuelle, éclairci par M. l'abbé de Saint Pierre* (1713—1717). Baron Yoshi przysłał mi wszystkie druki kongresowe, między którymi znajdują się trzy mowy Coudenhovego. W jednej z nich mówi on wyraźnie o Bernardynie de St. Pierre. Widocznie, że inicjator ruchu paneuropejskiego nie zadał sobie ani trudu przejrzenia dzieł tych autorów, na których się powołuje, ani nawet poinformowania się o nich w pierwszym lepszym podręczniku historii literatury!

buntują się przeciw nim i kopią pod nimi dołki, sprzymierzając się z zewnętrznymi nieprzyjaciółmi, których rysy niezmiennie są podobne do fizjognomij twórców Paneuropy.

Coudenhove proponuje utworzenie rady paneuropejskiej, złożonej z delegatów ministerstw wszystkich państw Europy, tudzież międzyparlamentu europejskiego, złożonego z delegatów ciał ustawodawczych europejskich. Ponadto domaga się głosowania powszechnego na temat przyszłej federacji europejskiej. Poprzestałby na federacji wolnych państw, wykluczającej wszelką hegemonję jednego państwa nad drugimi. Dla federacji tej proponuje nazwę Stanów Zjednoczonych Europy.

Jak ten brak hegemonji wyglądałby w rzeczywistości, o tem objaśniają nas inni prelegenci. Francuz Marcel Dunan przedstawia Napoleona jako paneuropejczyka. Napoleon marzył zawsze o sprawiedliwym pokoju. Mówił tak samo, jak dziś paneuropejczycy: Potrzebujemy ustaw wspólnych dla całej Europy, trybunału kassacyjnego europejskiego, wspólnej stopy monetarnej, wspólnych miar i wag. Fouché opowiada, że Napoleon chciał stworzyć z wszystkich narodów europejskich jeden naród, a Paryż uczynić stolicą Europy. W testamencie, dyktowanym na dwa tygodnie przed śmiercią jenerałowi Montholonowi, zaleca Napoleon synowi swemu, by kontynuował myśl jego, ale w drodze usiłowań pokojowych.

P. Dunan nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, jak wielką przysługę wyświadczył swym odczytem przeciwnikom Paneuropy, otwierając im oczy na prawdziwe intencje jej twórców. Jak Napoleon, tylko bez jego genjuszu, i oni prawdopodobnie chcą inne narody poddać jednemu narodowi kierującemu, i jedno miasto — może Wiedeń — uczynić stolicą Paneuropy.

O „sprawiedliwym“ pokoju, do którego dążył rzekomo całe życie Napoleon, dużo byłoby do powiedzenia. Sprawiedliwy nie był ani podbój Hiszpanji, ani ujarzmienie i podział Niemiec, ani tworzenie mizernego Księstwa Warszawskiego w miejsce całej Polski, ani wyprawa na Rosję, ani dążenie do zniszczenia handlu angielskiego w drodze t. zw. systemu kontynentalnego. Wszystko co czynił Napoleon, nie wyłączając końcowej *campagne en France*, nacechowane było piętnem jego genjuszu. Ale od sprawiedliwości było zawsze niezmiennie dalekie.

Amerykanin Fryderyk H. Allen położył w referacie swym nacisk na potrzebę zastąpienia dzisiejszej protekcyjnej polityki handlowej polityką wolnego handlu, zalecając powszechne otwarcie granic, i jako pierwsze stadium porozumienie między sobą wielkich trustów stających w Europie, które w rezultacie sparaliżują szkodliwy wpływ cel. Porozumienie przemysłowców francuskich i belgijskich z niemieckimi tą właśnie poszło drogą i obeszło się bez Paneuropy.

Najszczerzej wypowiedział, co myśli, książę Leon Ghika, były członek parlamentu rumuńskiego. Oto proponuje on narazie połączenie: Polski, Węgier, Rumunii, Czechosłowacji, Jugosławii, Bułgarji i Austrii. Każde z tych państw zatrzymałoby dotychczasowych swych monarchów czy prezydentów. Wiedeń zostałby stolicą skonfederowanego państwa. Na jego czele stanąłby cesarz z rodu Habsburgów, a wobec jego młodego wieku (widocznie wnioskodawca ma na myśli małoletniego syna cesarza Karola) przydany mu byłby regent w osobie króla rumuńskiego a to „ze względu na jego wiek i urodzenie“ (!). Konfederacja miałaby wspólną armję, wspólną dyplomację, tę samą monetę, wspólność cłową i handlową. I Ghika bredzi o sprawiedliwości, nazywając skromnie każde odmienne rozwiązanie sprawy niedorzecznem, narzekając na parlamentarizm i zapewnia, że jego kombinacja broniłaby każdego z państw złączonych przed niebezpieczeństwem niemieckiem. Zapomina o tem, że Habsburg na czele państwa tudzież Niemcy austriaccy, Węgrzy i Bułgarzy trzymaliby zawsze z Niemcami z „Reichu“ przeciw Polakom, Czechom, Kroatom i Serbom — Rumuni zaś szliby również prawdopodobnie wraz z królem i regentem z rodu Hohenzollernów przeciw Słowianom!

Oto cały kongres. Paru idealistów, większość interesowanych w zniesieniu cel kupców i fabrykantów, kilku karjerowiczów, a w kącie rodzina monarsza, słusznie złożona z tronu, która za każdą cenę chce napowrót wypłynąć na powierzchnię. Sądzę, że zdrowy rozum Europy nie pozwoli na powrót tej rodzinie, która w dziejach nie zapisała się ani jednym wybitnem nazwiskiem, przez setki lat gniołła Niderlandy, Hiszpanję, Włochy, nawet Niemcy, wszędzie prześladowała wolność, a w ostatnich swych



reprezentantach, uprawiających rozpustę i pijaństwo, dała dowód zupełnej degeneracji.

Szczęśliwy jestem, opuszczając wreszcie to bezmyślne miasto i tę gromadę dyplomatów na emeryturze i pozerów. Wyjeżdżam z córką do Włoch. Tam odetchnę czystym powietrzem zapału i pracy wszystkich dla wszystkich i, gdy tylko odpocznę nieco, zaraz Panu napiszę.

*Yoshi*“.

## XII.

Psyche. — Powrót barona Yoshi do Japonji.

*Sorrento, październik 1926.*

Kochany Przyjacielu! Pisałem już Panu, że po odbyciu kuracji w St. Moritz, pokrzepiony i odświeżony, wyjeżdżam z córką na parę tygodni do Sorrento. Listy, które mię doszły w tym czasie, odwołują mnie na czas jakiś do ojczyzny, dokąd odpływamy z Edytą z Neapolu już za dni kilka. Gdy los nas rozdziela, znów niewiadomo na jak długo, pragnę przestać Panu z tego cudnego kąta szczery uścisk dłoni i najlepsze życzenia dla Pańskiej ojczyzny, którą nauczył mnie Pan cenić i kochać i do której w czasie krótkiego niestety mego pobytu w Warszawie serdecznie się zbliżyłem. Moja córka, która być może wyjdzie zamąż w Kioto, naszym mieście rodzinnem, przyłącza się do moich pozdrowień i serdecznie zaprasza Pana do zwiedzenia Japonji. Pan wie, jak bardzo i ja tego pragnąłem. Z pewnością, gdyby Pan lepiej władał językiem angielskim, mógłby Pan na którymś z naszych uniwersytetów objąć katedrę nauki ekonomji społecznej. Ale nie mam wielkiej nadziei, czy zechce Pan opuścić teraz swoją ojczyznę. Będę Panu pisał z drogi i po przyjeździe, perjodyczne te moje zwierzenia stały się bowiem dla mnie już pewnego rodzaju potrzebą.

Dziś opowiedzieć Panu pragnę o rozmowie, która głębokie na mnie wywarła wrażenie i ukazała mi w nowym świetle najkulturalniejszy na świecie naród włoski i wpływ sztuki, tam, gdzie filozofja nie dochodzi a religja, źle pojmowana, przestała działać.

Wracaliśmy późnym wieczorem z Pompei do Sorrento. Pragnąłem pokazać Edycie kulturę rzymską, uratowaną

przez wykopaliska dla nas współczesnych, sam zaś pragnąłem zobaczyć wspaniałe rezultaty nowych poszukiwań. Księżyc rzucał łagodne światło na domy i ulice, gdyśmy opuszczali Pompeji. W powrocie pociągały nasz wzrok kamienne budynki, rozrzucone po równinie i pola rozległe, z których tu i owdzie wykwiwały staroświeckie, amfiteatralnie zbudowane miasta. Przy cudownym blasku iskrzących się gwiazd z pól wracali ludzie, znużeni trudem całodziennym, wracały konie, osły, muły zmęczone, stawiając krok za krokiem, odpoczywając już w drodze. Tylko stada kóz w tym kraju Faunów biegały różnym truchtem ku domowi. Woń kwiatu pomarańczowego przenikała powietrze. A morze, wielkie potężne morze, szumiało rozkosznie, odbijając w nurtach swoich promienny blask dalekich światów ponad nami.

Nasz *vetturino*, który prosił o pozwolenie wstąpienia na chwilę do swego domku, położonego wzdłuż drogi, powoził znakomicie. Daleką drogę do Sorrento przebył w dwie i pół godziny tęgim klusem. Przez cały czas siedział milczący na koźle, o niczem natrętnie nas nie objaśniał i o dziwo! po przybyciu przed hotel Sirene w Sorrento nie przymówił się słowem o *nianccie* i na *macaroni*, co wydało mi się zgola niezwykle. Zjadłszy więc pośpiesznie obiad, pozostawiłem zmęczoną córkę w domu, a sam udałem się do *osterii*, w której woźnica nasz odpoczywał nad butelką *vino di paëse*. Przysiadłem się do niego i zamówiwszy prawdziwego falerna, powiedziałem mu, że jestem zachwycony jego dżentelmeńskim zachowaniem się, tak dziwnem w tych stronach. Flaszka wybornego wina rozwiązała mu język.

„Pan nie widział w domu moim, rozpoczął, nie mógł widzieć tej głowy kobiecej białej, o twarzy zamyśłonej, oczach przenikliwych a pełnych miłości. Stokroć ona piękniejsza, choć mniejsza, niż Psyche w *Museo nazionale* w Neapolu. Nie byłby Pan jej widział, *eccellenza*, gdybyś nawet był wszedł do izby, bo muszę trzymać rzeźbę tę w ukryciu, aby mi jej nie zabrano do muzeum. Tak samo patrzyła na mnie moja Francesca... Ale słuchaj pan. Przed siedmiu laty byłem najlepszym tancerzem i najlepszym woźnicą w okolicy, a moja późniejsza żona najurodziwszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziano. Żyliśmy ze sobą ledwie trzy lata. Zarabiałem na życie — jak i teraz — powo-



żeniem, ale miałem stałe miejsce jako furman hotelowy w pańskim hotelu. Nietylko przymawiałem się o *manccie*, jak wszyscy, ale zwykle w ciągu drogi wynajdywałem różne trudności, jechałem stępem, gdy się goście śpieszyło, wysadzałem go po drodze, narzekając na wypadek, aby i drugi *vetturino*, będący w zмовie ze mną, zarobił. Słowem wiodło mi się znakomicie. A od czasu do czasu zanosilem jakieś wotum dziękczynne do cudownej Matki Boskiej Różańcowej w Valle di Pompei. Ale moja Francesca miała czułe sumienie. Opowiedziałem jej raz po kolei wszystkie sposoby, jakich my biedni ludzie używamy, aby ulżyć trochę mieszka tym bogatym próżniakom, którzy przyjeżdżają tu do nas. A ona powiedziała mi wtedy, że jestem bandyta i złodziej, nie lepszy od tych, którzy obdzierają *forestierów* w Abruzzach. I od tego czasu poczęły się między nami kłótnie i awantury. Złe karły z *La Conca* przemieniły mnie: unikałem domu, zacząłem pić. Aż przyszła do mnie ta Psyche, która dziś jest moim najdroższym skarbem. Mój teść, który pracuje w Pompei dotąd, znalazł ją przy odkopaniu jakiegoś domu na *strada di Nola* i ukrył ją, a następnie darował mojej żonie. Szczęście sprzyjało mu, coprawda; ale to znawca, wiedział gdzie szukać! blisko *casa del Centenario*! Ten posążek cudownie mnie odmienił. Wszyscy troje patrzaliśmy nań z najwyższym zachwytem. I w miarę jak pokochałem posąg, wróciło dawne uczucie do żony. Wypowiadałem się gruntownie, czego nie czyniłem przez dwa lata, i odtąd zostałem „uczciwym woźnicą“, jak mnie szyderczo nazywają koledzy. Ale niedługo trwało nasze szczęście. Moja Francesca zachorowała ciężko i, czując koniec swój bliski, kazała mi przysiąc, że ilekroć będę miał pokusę popełnienia czegoś nieuczciwego, spojrzę na naszą Psyche, a wówczas ona patrzeć na mnie będzie jej wzrokiem. I dzisiaj, ilekroć patrzę na moją Psyche, widzę mego dobrego ducha, moją żonę, jak patrzy mi na dno duszy i czyta z oczu moich wszystkie moje myśli. A wtedy pod wpływem tego wzroku odrazu przychodzi mi tylko jedna myśl, a mianowicie, że jeśli pragnę ją jeszcze zobaczyć na drugim świecie, muszę sprawować się tak, jak chciała, abym żył... Ale czas mi w drogę, dziękuję za wyborne falerno, dawno tak dobrego nie piłem, *eccellenza*.

*Buona notte, grazie tante!*“ I wyszedł ciężkim krokiem do stajni.

Nie chcę psuć tego zwierzenia prostej a subtelnej duszy komentarzami. Stworzy je Pan sam sobie lepiej, niżbym to potrafił uczynić. A teraz, gdy wielki naród włoski przypomni nam obu to niewyczerpane źródło wszechdobra, tkwiące w sztuce, czas przerwać ten list.

Oby Bóg błogosławił Pańską ojczyznę i Pana.

*Yoshi*“.

POTRZEBA POCZUCIA PAŃSTWOWEGO U NAS.



Odczyt, wygłoszony w sali ratuszowej lwowskiej w kwietniu 1924 na dochód Narodowej Organizacji Kobiet we Lwowie.

Z górą sto lat niewoli wycisnęło na nas niezatarte dotąd piętno. Rozumiemy dotąd spiski i pobłażliwie, ba nawet z sympatją, patrzymy na spiskujących, choćby ich cel był szkodliwy lub niedorzeczny, a sposób działania kompromitował nas przed zagranicą. Akcję polityczną, która wśród narodów oddawna wolnych była zawsze prowadzona jawnie i lojalnie, pojmujemy najlepiej, gdy osłonięta tajemnicą sprzysiężenia, przemawia do romantycznych tradycji naszej młodości.

Miłość ojczyzny u nas rozumiała się zawsze sama przez się, poczucia państwowego było zawsze u nas mało. Mieliśmy go coraz mniej w epoce Sasów i Stanisława Augusta, a pod panowaniem zaborców próby wszczęcia poczucia państwowego, wszczynane np. przez Wielopolskiego metodami wschodnimi i wobec niezalatwionych bolesnych z Rosją rachunków, nie mogły osiągnąć rezultatu. W b. zaborze austriackim stronnictwo zachowawcze wobec uzyskanej autonomji kraju miało ułatwione zadanie, ale i tu szerokie warstwy świeżo pozyskanego dla idei polskiej ludu i inteligencji upatrywały w pewnym oportunizmie warstw politycznie bardziej wyrobionych bądź zwyczajną obłudę, bądź wyrzeczenie się polskości dla korzyści osobistych. Choćby zapatrywanie to było niejednokrotnie błędnem, przywiązanie do państwa obcego dla patrioty Polaka było istotnie niemożliwem. Mogło jednak powstać i w tych niekorzystnych warunkach zrozumienie doniosłości zadań gospodarczych i społecznych państwa, choćby obcego, i ono bez ujmy dla polskości objawiło się najsil-

niej w b. zaborze pruskim dzięki wyższemu wykształceniu tamtejszych klas posiadających i wzorowym porządkom, które w połączeniu z żywym i mądrym poczuciem narodowym podniosły ową dzielnicę na bardzo wysoki poziom gospodarczy i stopień solidarności międzypartyjnej nazewnątrz, w innych dzielnicach nie osiągnięty.

Smutne czasy zaborów minęły. Mamy państwo własne, rozległe i wyposażone we wszelkie warunki rozkwitu gospodarczego. Pozostały jednak różnice dzielnicowe, uprzedzenia klasowe, zacietrzewienia partyjne, niewygasłe pretensje pewnych warstw do przewodzenia innym. Różnice takie istnieją i wśród innych narodów, ale u nas objawiają się w formach jaskrawszych i w chwili najnieodpowiedniejszej, bo w chwilach tężenia i trwającego jeszcze procesu konsolidacji Państwa. Pewnym kitem międzypartyjnym, międzydzielnicowym i międzywarstwowym może stać się tylko poczucie państwowe u ogółu, przywiązanie do wspólnego dla wszystkich państwa.

Ale czy naprawdę państwo z całym szeregiem swoich przymusów nieodzowne jest dla człowieka z zasadami etycznymi, czerpanymi bądź z religii pozytywnej, bądź z przepisów etyczno-humanitarnych; i czy właśnie tacy ludzie nie mogliby się najłatwiej bez niego obejść?

Twierdzili to anarchiści, a bliskimi tego poglądu byli tak zwani przez siebie samych klasycy ekonomii liberalnej. Twierdził Proudhon: „Wstydzę się rodzaju ludzkiego, bo ludzkość chce, by nią rządzono“. Bakunin uważał wolność za najwyższy cel wszelkiego rozwoju ludzkiego, państwo zaś określał jako olbrzymi cmentarz, na którym grzebie się wszelkie przejawy życia indywidualnego. Nawet dobro, które działa państwo, staje się według niego złem, bo nie pochodzi z dobrej woli, ale jest wynikiem komendy cudzej. Ekonomiści liberalni dopuszczali chcieli państwo do głosu tylko w dziedzinach najkonieczniejszych, jak np. w obronie własności prywatnej, pozostawiając szerokie pole obrotu wszechwładnemu działaniu rzekomo wolnej konkurencji, a nie troszcząc się zupełnie o walkę z nadużyciami i wyzyskiem ani też o rozdział dochodów, który wszak winien być możliwie sprawiedliwy i obdzielający wszystkie warstwy.

Łatwo pojąć, że przedewszystkiem wolności i równości domagali się ludzie w czasach niewolnictwa i pańszczyzny.

Były owe ideały wówczas negacją współczesnego a nie-  
znośnego stanu rzeczy, który, jak sądzono, wystarczy usu-  
nąć, aby raj stworzyć na ziemi. Konstytucja pierwszej  
Republiki Francuskiej określa wolność nie jako samowolę  
wyzysku dla chciwej łupu burżuazji, ale jedynie jako  
prawo czynienia wszystkiego, co nie szkodzi bliźniemu,  
a równość tylko jako równość wobec prawa. Kto obok  
wolności nie przeczy obowiązкови, uznać musi zasadę  
posłuszeństwa, bez którego społeczeństwa wogóle być  
nie może.

To też nie jest bynajmniej przypadkiem, że anarchiści  
i liberali zgodnie podkopują wszelkie więzy moralne, a za-  
lecają indywidualne wyżycie się; ich jedyną zasadą jest —  
jakże złudna i krótka, jakże zawodna i błaha! — korzyść  
osobista. Nie rozumieją mądrości słów Peryklesa: „Jeśli  
jednostce wiedzie się dobrze, a ogółowi źle, jednostka  
wraz z ogółem runą w przepaść; jeśli atoli całość (pań-  
stwo) ma się dobrze, to i jednostka, której źle się powodzi,  
ocaleje“ (u Tucydidesa II, 60). Nie pojmują grozy słów  
Carlyle’a: „Narody, nie posiadające organizacji i instynktu  
państwowego, a rozpadające się na wrogie stronnictwa  
bez żadnego łącznika między sobą — a więc przesadzające  
pojęcie wolności do warcholstwa i samowoli, muszą zginąć“.

Gdyby jakimś cudem sami ludzie dobrzy byli na  
świecie, pierwszą ich czynnością byłoby zapewne stwo-  
rzenie państwa i poddanie się jego rozkazom, choćby na-  
to, aby uzyskać tysiące sposobności służenia rodakom,  
których w życiu bezpaństwowem ani w części by nie mieli.  
Ponieważ są faktycznie obok dobrych i źli, obok silnych  
i słabi, obok patriotów i obojętni, a dobrzy i silni są  
w każdym narodzie w mniejszości, przeto dzięki pewnej  
garstce patriotów, którzy są i dobrzy i silni zarazem, po-  
wstaje państwo. Państwo to wywiera przymus w dzie-  
dzinie szkolnictwa i służby wojskowej oraz poszanowania  
ale i ograniczenia własności w interesie publicznym i tym  
przymusem, coraz rozleglejszym, coraz szersze obejmu-  
jącym zadania, wychowuje, podnosi, wzmacnia solidarność  
ludzką, każdemu przeznacza miejsce jego w współżyciu  
i staje się w ten sposób najsilniejszą formą objawienia  
się woli Bożej, skierowanej niewątpliwie ku wzniesieniu  
ludzkości na wyższy szczebel solidarności.

Anarchizm, zalecający jako cel najwyższy wolność,



zapomniał o ułomnym i słabym materiale ludzkim, z którego faktycznie ludzkość po większej części się składa, zapomniał o tem, że najwyższy stopień wolności osiągnęły kłótlive i niesforne gromady Papuasów i Buszmanów, stojąc atoli niżej od państwa pszczoł i mrówek, związanego porządkiem i organizacją.

Ekonomika liberalna uzasadnienie państwa widziała li tylko w udzielaniu obrony bogatym przed zamachami na ich własność, ograniczając tem samem państwo do funkcji policjanta. Jest ono jednak czem innem zgoła, a przynajmniej czem innem być powinno: najwyższem wcieleniem solidarności ludzkiej, a przytem podniętą i zachętą twórczości oraz stworzeniem warunków najwyższego rozwoju jednostek i to nie tylko dla ich dobra, lecz dla dobra ogółu. W tworzeniu państwa nie idzie w pierwszym rzędzie o zaspokojenie żądzy władzy silnych, ani nawet wyłącznie o pragnienie ochrony słabych — przedewszystkiem idzie w niem o zgodne współdziałanie, a nie współzawodnictwo, dla dobra wszystkich bez wyjątku. Ten cel tkwi na dnie duszy tych, którzy tworzą, podtrzymują, wzmacniają ofiarnym trudem swym państwo i tym szczytnym sposobem, objawieniem miłości bliźniego, służą samemu Stwórcy.

Ale czy miłość własnego państwa nie narusza wielkiej idei braterstwa ludów, zatrzymując się przed barjerą, wzniesioną przez naród własny? Czy nie wprowadza fałszywego akcentu w mowę ewangelji, głoszącej miłość dla wszystkich narodów? Czy nie staje się czasem rzecznikiem pychy wobec narodów innych, którym pod maską patriotyzmu wyrządza krzywdę i ból sprawia dotkliwy? Pomijając te wątpliwości znaczyłoby zachować się jak struś ścigany i chowający głowę w piasek. Należy się z niemi odważnie rozprawić. Faktem jest istotnie, że poczucie miłości własnego narodu znane jest w dziejach obok ksenofobji, nieprzyjaźni dla obcych, że wiele narodów, od Żydów z czasów Starego testamentu począwszy, poprzez Greków i Rzymian aż po Rosjan i Niemców współczesnych, wyznaje zasady podwójnej moralności, innej dla siebie i swoich, a innej dla obcych. Ateńczycy traktowali sprzymierzeńców poprostu jako poddanych. Rzym wobec narodów podbitych, Niemcy wobec Polaków mieli się za naród panów (*Herrenvolk*). Nietzsche głosił ideę narodów-panów, moralności pańskiej, przeciwstawiając ją chrze-

ścijaństwu, które określił jako etykę niewolników. Ale zawsze wśród tych narodów, od proroków po Carlyle'a, pojawiały się osobistości wybitne, broniące zasady, że moralność jest jedna, i rozumiejące pod bliżnim każdego człowieka, w niejednym kierunku każde stworzenie Boże. Zrozumiano, że żaden naród nie może stać silnie i trwale na krzywdzie, wyrządzonej innemu narodowi. Ale w granicach tej samej moralności uznano także, że narodowe węzły tak są silnie zadzierzgnięte między ludźmi, tak ściśle tworzą wśród nich spojenia, że z faktem tym liczyć się musi każdy tworzący państwo i każdy marzyciel nawet, nie uznający hamulców narodowych, a myślący jedynie o zwycięstwie międzynarodowych pierwiastków humanitarnych nad narodowymi.

Myśli się i mówi o stworzeniu Stanów Zjednoczonych Europy i niedawno arystokrata austriacki hr. Coudenhove-Callergis wydał o tej sprawie całą książkę. Niewątpliwie utworzenie Rady Ligi Narodów było pierwszym krokiem ku urzeczywistnieniu tej myśli. Czyż humanitarny ideał, jaki jej utworzeniu przyświecał, nie jest dalszym ciągiem, nową formą objawienia się myśli średniowiecza o jednym cesarstwie rzymskiem z szeregiem książąt i królów hołdowniczych, cesarstwie, stanowiącem „ramię świeckie“, udzielane idei solidarności ludzkiej, uzewnętrznionej w papieżu? Po mózgach ludzkich roi się oddanie Wielkiej Brytanji lub Francji władztwa nad ujarzmioną Europą, jak roiło się przed wojną Niemcom władztwo nad państwem od Hamburga do Bagdadu lub bodaj nad Europą środkową (*Mitteleuropa*). St. Simon proponował w r. 1814 założenie wspólnego parlamentu angielsko-francuskiego, do którego potem miały przystąpić i inne państwa z celem ostatecznym stworzenia patriotyzmu europejskiego, a w ulubionej pieśni napoleońskiego żołnierza ostatnia zwrotka brzmiała:

*„Jurons union éternelle  
Avec tous les peuples divers:  
On ne voit plus qu'une patrie  
Quand on a l'âme d'un Français“.*

Marzenie takie jednak nie ma żadnych szans urzeczywistnienia. Tysiąc lat odrębnej kultury rozdziela narody europejskie, a przepaści te nie są do przebycia. Mogły powstać Stany Zjednoczone Ameryki Północnej choćby

„z konglomeratu najdzielniejszych i najlepszych ludzi na całej kuli ziemskiej“, jak z dumą powiedział Wilson w mowie z 11 maja 1914, wygłoszonej na cześć poległych pod Vera Cruz, ale stworzenie jednego narodu z Polaków i Niemców, lub z Anglików i Irlandczyków, lub z Szwedów i Finnów, mimo wiekowego wysiłku okazało się niemożliwym. Na własnej ziemi, owiane wonią własnych kwiecistych łąnów i powiewem z pól ojczystych płynącym, narody są nieśmiertelne. A jeśli są takimi, jeśli mają prawo do samoistnego bytu i samoistnego życia w odrębnych organizmach państwowych, to i idee humanitarne, idee solidarności międzynarodowej i międzyludzkiej urzeczywistnić się mogą tylko bez uszczerbku dla praw narodowych. Żywioły międzynarodowe, myślące kategorjami materializmu, mogą dostarczyć Lidze Narodów znacznych choćby funduszy, ale nie zdołają tchnąć w nią sił żywotnych, które, aby dostać się do duszy, płynąć mogą jedynie z wyższych, metafizycznych natchnień ducha ludzkiego, a nie z argumentów człowieka „ekonomicznego“.

Państwo narodowe jest, wedle słów Fichtego, urzeczywistnieniem doczesnej wieczności dla każdego jej obywatela. On przez nie i w niem tu na ziemi przedłuża swój żywot, przekazując przymioty odziedziczone i zdobyte w walce życiowej na rzecz własnego, ukochanego przed innymi narodu. Jest ono, zgodnie z wywodami twórców szkoły historyczno-etycznej w ekonomice społecznej, wielkim instytutem moralnym, służącym wychowaniu ludzkości, którą wszak wychować można tylko za pośrednictwem i przy pomocy poszczególnych narodów. Jest wreszcie, w myśl wyrażenia Leona XIII w encyklice *Immortale Dei*, służą Bożym ku dobremu, a ku temu celowi kroczyć może człowiek tylko z zasobem narodowego idealizmu, z miłością do narodowego państwa w sercu, które staje się mu symbolem i pomostem do ideałów ogólnoludzkich.

Napisał Krasiński w rozprawie „O stanowisku Polski z Bożych i ludzkich względów“ te słowa: „Państwo może być tylko ciałem ducha narodowego, a że wszędzie ciało poprzedza objaw duszy i wiedzy na ziemi, więc państwa musiały istnieć przed uznaniem i poczuciem się narodowości. Państwa-ciała szły sobie swoim torem, narodowości-dusze błądzące męczyły się i trapiły swoim. Obecnie wступujemy we wieki, których pierwszą zasadą



prawa publicznego stanie się wszelkiej narodowości istotnej upaństwowienie, a wszelkiego państwa, nie na narodowości opartego, rozsypanie“. Rozsypały się istotnie państwa, nie na narodowości oparte, jak w szczególności Rosja i Austria, uległy amputacji państwa zaborcze, jak Niemcy, Węgry i Turcja, zwyciężyła idea Napoleona III i Wilsona, a nastąpiło wyposażenie naszej narodowości we własne państwo.

Mickiewicz w rozprawie o duchu narodowym pisał: „Narody wtenczas tylko wzrastają i o tyle mają prawo do życia, o ile wysługują się całemu rodzajowi ludzkiemu, popieraniem i broniem wielkiej jakiejś myśli lub wielkiego uczucia“. Z tych zasad naszych wieszczów wynika, że ten przede wszystkim naród ma prawo do życia odrębnego, państwowego, który reprezentuje bądź jakąś ideę, bądź sentyment i tą drogą służy całemu rodzajowi ludzkiemu.

Można zaś przyjąć, że zadaniem Polski jest apostołstwo idei narodowej. Dawanie bowiem pierwszeństwa swojemu przed obcym godzi się z etyką. W istocie skupień i związków nieśmiertelnych, nazwanych narodami, tkwi uznanie prawa bliższości, znanego nam również z ustawodawstwa polskiego. Tylko przez naród ogół ludzi realnie może zbliżyć się do woli Bożej, tylko czynnik narodowy rzuca trwałe podwaliny pod państwo. To też Mickiewicz widzi drogę do braterstwa narodów przez miłość ojczyzny, jak to napisał w Księgach Pielgrzymstwa.

Kto kocha naród swój, winien kochać także państwo. Jeśli uważa, że rząd nie idzie po drodze, jaką on po sumiennej rozwadze uważa za trafną, winien nie boczyć się na państwo, nie sabotować jego zarządzeń, nie czekać, aż on lub jego partja dojdą do steru, ale zabrać głos bezwzględnie dla wyjaśnienia i uzasadnienia własnego, odmiennego stanowiska, w rzeczach zaś niewątpliwie dobrych i ważnych dla państwa poprzeć rząd, choćby wyłonił z obozu przeciwnego. Takie zrozumienie i abdykacja z ambicji osobistej dla dobra ogółu istniała u nas w chwili wojny z bolszewikami i obecnie w sprawie sanacji skarbu.

Ale objawiała się i objawia dotąd raczej wspólnymi enuncjacjami, pięknym gestem, aniżeli czynem. Nieufność do przewagi własnej armji wówczas, nieufność do wyjścia obronną ręką z kłopotów finansowych dziś, szerzona przez długie miesiące, ryla pod rządami w chwili ciągle wzra-

stającego niebezpieczeństwa głębokie przepaści. I w przeszłości byliśmy obojętni na potrzeby państwa. Skarga oskarżała kiedyś magnatów o to, że u ich drzwi złocistych Rzeczpospolita zebrała bezskutecznie ratunku. Kiedy Chmielnicki zbliżał się pod Zamość, skapstwo senatorów zdobyło się zaledwie na niespełna 1000 ludzi zaciągu mimo szalonego bogactwa owych czasów, widocznego z rejestru klejnotów. Dopiero gdy w sali sejmowej stanął nagle z meldunkiem o bliskim już nieprzyjacielu kurjer Brzozowski, w ostatniej niemal chwili zdobyto się na ofiary pieniężne.

Przez szereg lat ostatnich przemysł eksportujący, a poczęści i wielka własność ziemska, zapełniały dzienniki skargami na wysokie podatki, wskazywały na inflację jako jedyny sposób umożliwienia rozwoju produkcji, a w różnych organizacjach atakowały każdy projekt podatkowy, usiłując wykazać jego niewykonalność, a ministra skarbu, Wł. Grabskiego, obrzucały obelgami i naigrzawaniem się: banki zaś na wiadomość o zamierzonej waloryzacji kredytów czyniły największe wysiłki, aby do niej nie dopuścić. I skutkiem przeważających wpływów tych wszystkich warstw, któreby dziś wyparły się chętnie swej roli niedawnej, gdyby nie uchwały i sprawozdania, zamieszczone w dziennikach, cierpiało państwo oraz ogół obywateli pobierających stałe płace, a więc robotnicy umysłowi i fizyczni. Wedle obliczeń wiceministra Markowskiego, w b. Galicji przed wojną wysokość podatków odpowiadała 1.700.000 korcom żyta, w roku 1919 natomiast podatek płacony odpowiadał tylko 50.000, w roku 1920 — 40.000, w roku 1921 — 89.000 korcom żyta. Wynika stąd, że zatrzymując tylko te podatki, jakie były za Austrii, winno się było w naszej dzielnicy zapłacić w ciągu trzech lat 5,100.000, a zapłaciło się tylko 179.000, brakowało więc jeszcze równowartości 4,921.000 korcy żyta. Byłe Królestwo, mimo notorycznie tam znanych niskich podatków, płaciło przed wojną 6,640.000 korcy żyta, względnie ich równowartość, w roku 1919 natomiast tylko 24.500, w roku 1920 — 19.000, w roku 1921 — 590.000, razem za trzy lata 633.500 korcy zamiast 19,920.000; brakło więc jeszcze 19,287.500 korcy żyta względnie ich równowartości. Jeśli te deficyty zestawimy z najwyższym rezultatem t. zw. daniny Michalskiego, okaże się, że w kieszeniach podatujących pozostała je-

*Nie bierz pod uwagę wojny i idźciego co nie umiemia!*

szcze wielomiljardowa nadwyżka. A jednak zarzucano przeciążenie podatkami nad możność!

Na to jest odpowiedź następująca, a dałem ją jeszcze w październiku 1921 roku w trzech odczytach publicznych, urządzonych we Lwowie przez Ligę Samoobrony Społecznej, Ligę Katolicką i Polskie Towarzystwo Ekonomiczne i ogłosiłem w *Gazecie Bankowej*, powtórzyłem zaś w książce „Ku nowej Polsce“ w rozdziale pod tytułem: „Przesilenia finansowe w przeszłości a naprawa naszego skarbu“. Wedle preliminarza budżetowego z jesieni roku 1920, wynosiły państwowe podatki bezpośrednie w Niemczech 28 miliardów 716 milionów marek niem. rocznie. Obciążenie Francji wynosiło, wedle budżetu z 1 sierpnia 1920 r., w państwowych podatkach bezpośrednich i pośrednich 16 miliardów 459 milionów franków, co czyni na głowę ludności 427·53 franka.

W Polsce w tym samym czasie, t. j. w roku 1920, podatki bezpośrednie wraz z pośrednimi wpływami z monopolów, stemplami, cłami i dochodami z innych źródeł dały w rezultacie w b. Królestwie i b. Galicji 5 miliardów 533 milionów marek, czyli przeciętnie na głowę mieszkańca tych dwóch dzielnic 267·09 marek. Więc tam 427·50 fr., a tu 268 mk.! A gdyby się jeszcze przeliczyło obciążenie francuskie, niemieckie, polskie, na dolary lub franki złote, dopiero wystąpiłyby w całej jaskrawości te śmiesznie małe sumy, jakie my z tytułu podatków na rzecz państwa płaciliśmy.

W Anglii od r. 1842 do 1846 dokonał Peel wielkiej reformy skarbowej, znosząc cła od zboża i surowców i wprowadził ponownie podatek dochodowy i majątkowy. Ustawa oszczędzała małych i średnich właścicieli, a miała na celu doprowadzić nie tylko do równowagi budżetowej, ale i wprowadzić zasadę sprawiedliwości w opodatkowaniu. W roku 1853 rozszerzono podatek dochodowy na nieruchomości wiejskie, w ten sposób panująca wówczas arystokracja angielska okazała gotowość ponoszenia znacznych ofiar na rzecz państwa, dzięki czemu Anglja zajęła dominujące stanowisko w całym świecie. Stopa podatkowa wynosiła przy podatku dochodowym z początku 2·90%, potem 5·80% i 6·20% do 6<sup>2</sup>/<sub>3</sub>%, obecnie wynosi przy dochodzie wyżej 1000 funtów z pracy 15%, z majątku 22·50%;



różnice między temi dwoma rodzajami opodatkowania znikają powyżej 3.000 funtów dochodu, wynosząc dla obu kategorii od 25<sup>0</sup>/<sub>0</sub> do 51·8<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Angielski podatek od zysków wojennych z 23 grudnia 1915 r. (*excess and profit duty*), którego my wcale nie mamy, dochodzi do 50<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, od roku 1917 wzrósł do 80<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Dzięki tym dwom podatkom pokryła Wielka Brytania olbrzymie wydatki wojenne, wynoszące razem 9·2 miliardów funtów, w 28<sup>0</sup>/<sub>0</sub> podatkami, a tylko w 72<sup>0</sup>/<sub>0</sub> pożyczkami.

Naturalnie, że przeciw tak kolosalnemu obciążeniu powstała opozycja; zarzucono tym podatkom, że są pewnego rodzaju konfiskatą majątku, co jest prawdą, ale co można powiedzieć także o każdym podatku i każdej stopie podatkowej. Zarzucano, że wysokie podatki przeszkadzają oszczędności, na co inni odpowiedzieli, że jeśli potrzeba funduszy dla pokrycia wydatków państwa, ma się tylko wybór między pokryciem ich z nadwyżki rentjerów a uszczupleniem dochodu warstw ubogich i średnich. Temi argumentami zwyciężyli zwolennicy wysokich podatków, mający wysoko rozwinięte poczucie państwowe, w opinii publicznej angielskiej. Równocześnie zaprowadzono bardzo wysoki podatek spadkowy i uzyskano tą drogą zupełne uwolnienie od wszelkiego opodatkowania zboża, mięsa, soli i cukru, tak, że tylko wódka, piwo i tytoń są dziś obciążone podatkami pośrednimi. Mimo to prasa angielska żądała po wojnie opodatkowania wszystkich zbytecznych przedmiotów spożycia i zaprowadzenia podatków bezpośrednich tak wysokich, aby każdy obywatel był ograniczony do pewnej racji dochodu przy uwzględnieniu tylko rodzin uposażonych dziećmi. Tego domagała się opinia publiczna w kraju, który w ciągu pięciu lat wojny zdołał podwyższyć budżet dochodu prawie pięciokrotnie: z 200 na... 889 milionów funtów i który podatkami pokrył 28<sup>0</sup>/<sub>0</sub> wydatków wojennych!

Francja zaprowadziła w ustawie z 15 lipca 1914 r. podatek dochodowy, przeciw któremu broniła się przez tyle dziesiętków lat, kilkakrotnie podnosiła go w latach 1916, 1917 i 1918 za ministrów Ribota i Klotza, wprowadziła podatek od zysków wojennych od 1 lipca 1916 ze stopą od 50<sup>0</sup>/<sub>0</sub> do 80<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, zaprowadziła wreszcie podatek spadkowy ustawą z 31 grudnia 1917, dochodzący do 36<sup>0</sup>/<sub>0</sub>. Jeżeli rezultaty finansowe tych podatków nie są tak

świetne jak w Anglii, to trzeba to położyć na karb zmniejszenia się siły podatkowej i zniszczenia ogromnych przestrzeni przez nieprzyjaciela. Jednak mimo tego zniszczenia we Francji nie wzdragano się przed uchwaleniem tych podatków, rozumiejąc doniosłość ich wprowadzenia dla kredytu państwa i kursu waluty.

W Niemczech wreszcie obowiązuje podatek od zysków wojennych z 21 czerwca 1916, dochodzący wedle podwyżki z 9 kwietnia 1917 do 570% dla osób fizycznych, do 540% dla spółek akcyjnych i innych. Ponadto zaś ustawa z 26 lipca 1918 wprowadziła jednorazowy podatek wojenny, dochodzący do 600%, a podwyższony dekretem z 15 listopada 1918 do 800%.

Czem są wobec tych gigantycznych wysiłków wszystkie nasze ustawy podatkowe, skoro np. nie mamy zupełnie podatku od zysków wojennych, a najwstrętniejsi nasi bogacze, którzy obłowili się na dostawach wojennych i konjunkturze, wywołanej wojną, ani grosza z tych niepomiernych zysków nie są obowiązani oddawać Państwu?

Do ostatniej chwili nie chciano tego zrozumieć, że nie należy pokrywać deficytu pożyczkami zagranicznymi, że mamy dosyć własnych pieniędzy choćby dlatego, że od lat nie płaciliśmy podatków, że ogromne sumy zarobiło wielu pośród nas na zaciąganiu pożyczek nie zwaloryzowanych, tudzież, że zagranica nie pożyczyci nam ani grosza, póki w wyższej mierze, niż dotąd, nie sięgniemy do kieszeni własnych obywateli, póki więc nie okażemy sami, że chcemy się ratować i że kochamy Polskę nie tylko w mowach bankietowych, ale i w czynach. Nie rozumiano, że tylko wysokie podatki mogą nas ocalić — i to obliczone wedle parytetu złota. Nie rozumiano głębokiej prawdy słów Nicholsona, który w czasie wojny w „*War Finance*“ *London 1917* — powiedział: „Jeżeli istnieje powszechna służba wojskowa, dzięki której najdzielniejsi narażają życie dla ojczyzny, jeżeli ustawa o świadczeniach wojennych nakłada duże ciężary na starszych, dlaczegoż ci, którzy mogą dać tylko pieniądze, mieliby być wolni od wszelkich świadczeń na rzecz ojczyzny?“

Nie chciano dopuścić do podwyższenia podatków gruntowych, choćby do normy przedwojennej, ani do zaprowadzenia wysokiego podatku spadkowego oraz majątkowego, celem zrównoważenia strat, poniesionych przez

Państwo w minionym okresie czteroletnim skutkiem opłacania śmiesznie niskich podatków, ani upoważnienia rządu do podwyższenia tych podatków wedle parytetu złota — ani wydawania zakazu wywozu towarów koniecznej potrzeby, o ile ceny tychże przekroczą pewne maksimum, które rząd władny byłby co czas jakiś w razie poprawy kursu marki polskiej obniżyć; nie ośmielono się piętnować importu towarów zbytowych, niekoniecznych wyjazdów zagranicę, lokowania majątku poza granicami kraju lub w obcej walucie, jako czynów, wysoce niepatriotycznych, podkopujących walutą polską i szkodzących naszemu bilansowi handlowemu. Nie śmiano żądać, by dewizy naszych eksporterów dostawały się w całej wysokości Skarbowi Państwa i wszelkie układy odmiennie uznane były za niedopuszczalne i długo wahano się zdecydować, by nareszcie ustały kredyty niezwaloryzowane, stanowiące wobec ciągłego spadku pieniądza prezent dla najbogatszych.

To też, gdy jeszcze trzy lata temu wypowiedziałem te wszystkie żądania, spotkałem się z silną opozycją interesowanych. Niemniej przeto, niestety po wielkich ofiarach, poniesionych przez kraj oraz pracowników o stałej płacy, zapatrywania te odniosły zwycięstwo.

Przekonano się nareszcie, że pierwszą pożyczkę zagraniczną długoterminową otrzymaliśmy dopiero w roku 1924, gdy po waloryzacji podatków i uchwaleniu podatku majątkowego za poprzedniego rządu — Sejm, przerażony skutkami własnej ignorancji i lekkomyślnego popierania inflacji, uchwalił wyjątkowe pełnomocnictwa dla rządu i zagranica przekonała się, że nareszcie przestajemy tylko ciągle brać a zaczynamy i coś dawać Państwu, a Państwo przestaje żyć — jak poprzednio — głównie z podatków pośrednich, co przez szereg lat wbrew elementarnym zasadom nauki skarbowej było praktykowane i zalecane jako wyraz najwyższej mądrości, ba nawet sprawiedliwości podatkowej. Okazało się nadto, że zakupienie akcji Banku Polskiego nie przewyższało bynajmniej naszej możliwości i że osiągnęliśmy pełny rezultat mimo nieprzyjęcia oferty pewnych ziemian poznańskich, gotowych do subskrypcji jedynie pod warunkiem opuszczenia im kosztów transportu zboża, przeznaczonego na wywóz zagranicę.

Spodziewać się wypada, że z równą stanowczością



ze strony rządu spotka się zachowanie pewnych fabrykantów w naszych ośrodkach przemysłowych, którzy, wzbogaciwszy się na pożyczkach, zwracanych w gorszej monecie, wygórowanych cłach protekcyjnych oraz na obcych walutach, pozostawionych im na zasadzie osobnych układów z rządem przy odbieraniu cen za wywożone zagranicę towary, grożą od listopada 1921 ciągle, w razie niżki cen lub zaprowadzenia ustawy o ubezpieczeniu robotników na wypadek bezrobocia, zamknięciem fabryk. Niepodobna odmówić poważnego uzasadnienia projektowi, by przemysłowcy, którymby na podstawie wglądu w ich księgi handlowe z ostatnich pięciu lat dowiedziano, że naogół na produkcji nietylko nie stracili, ale grubo zarobili, otrzymali bezwzględny nakaz dalszego prowadzenia produkcji, pod grozą, że w razie odmowy będą ich fabryki dalej prowadzone na ich rachunek przy pomocy przymusowych zarządców. Jeżeli istnieje przymusowa dzierżawa gruntów odłogiem leżących, niema powodu odmiennego traktowania fabrykantów, niż rolników. Najlepszym uzasadnieniem własności prywatnej jest jej użyteczność. Skoro użyteczną dla ogółu być przestaje, może i winno nastąpić ograniczenie, a wedle okoliczności i uchylenie tej własności prywatnej. Na tem przeświadczeniu opiera się teoria wywłaszczenia we wszystkich ustawodawstwach cywilnych świata.

Jeżeli cztery lata zmarnowaliśmy, nie chcąc zaprowadzić waloryzacji podatków i kredytów, nie chcąc podwyższać podatków za wzorem zagranicy do wysokości wymagań budżetowych, to postępowaliśmy tak przez zupełny brak poczucia państwowego u nas.

Nie dosyć na tem, bogaci dotąd trzymają ogromne depozyty w wielu wypadkach w bankach zagranicznych, czemu się angielscy rzeczoznawcy słusznie dziwili i co stanowiło trafny argument kapitalistów zagranicznych, odmawiających udzielenia nam pożyczki, że nie mogą mieć więcej zaufania do naszej gospodarki, aniżeli my sami. Wyjeżdżamy dotąd bezpotrzebnie zagranicę i sprowadzamy z zagranicy bezpotrzebnie towary, czem pogarszamy nasz bilans handlowy. Same perfumy zagraniczne kosztowały nas, według anonsów poznańskiego kupca, w r. 1924 dwa biljony ośmset miliardów mk. rocznie.

Dotąd płyniemy pod znakiem fałszywej fasji podat-

kowej. Ilu z pomiędzy nas sumiennie, z ręką na sercu twierdzić może, że podając stan swego majątku dla wymiaru podatku majątkowego, dochodowego, czy też przemysłowego — niczego nie zataili, czyli, nazywając rzecz po imieniu, niczego nie zdefraudowali Skarbowi Państwa?

Czy bylibyśmy doszli do tej katastrofy finansowej, my obywatele jednego z najbogatszych państw w Europie, którzyśmy objęli Polskę niemal bez grosza długu, gdyby więcej wśród nas było poczucia państwowego, więcej dumy narodowej, która niechętnie wyciąga rękę po pomoc obcą, lecz przede wszystkim sama chce sobie radzić i nie szczędzi po temu wysiłków, gdyby silniejszym był polski stan średni i liczniejszą rodzima inteligencja, gdyby było więcej poczucia wspólności i miłości wzajemnej ponad partje i ponad własną kieszeń i wygodę?

Ale są i objawy dodatnie. Skarb narodowy, zasilany poświęceniem i ofiarą naszych szlachetnych jałmużniczek, pełnych zapału, mądra i celowa akcja naszych kobiet w kierunku propagandy sprowadzania tylko towarów krajowych — oto dowody budzącego się i u nas poczucia państwowego.

Dodatnim objawem było zawsze i jest dotąd zachowanie się naszej zubożałej skutkiem dewaluacji pieniądza inteligencji, która, odmawiając sobie wszelkich przyjemności i wypoczynku, pracuje w urzędach z poświęceniem dla Państwa, a dzieci swoje, najdroższy i jedyny skarb, posyłała na plac boju na wywalczenie i obronę ojczyzny, teraz zaś od ust sobie niemal odejmując, subskrybowała akcje Banku Polskiego za około 36 milionów zł.<sup>1)</sup> Poczucie państwowe, budzące się w nas, acz jeszcze słabo, dopiero w obecnej chwili pod wpływem niespodziewanego przez nas samych powodzenia subskrypcji akcji Banku Polskiego, nakłada na nas obowiązek przywrócenia należnej roli w rządzie i sejmie fachowemu wykształceniu

---

1) Gdy kurs akcji tych w roku 1925 i z początkiem roku 1926 spadł niemal na połowę wartości, a biedna inteligencja nasza, zmuszona do tego niskimi płacami, przystępowała do masowej sprzedaży zakupionych przez nią poprzednio akcji, rząd nie uczynił nic dla podtrzymania ich kursu, odmawiał nawet udzielania pożyczek lombardowych i w ten sposób przyczynił się do dalszego zubożenia tej najofiarniejszej warstwy naszego społeczeństwa.

i fachowej wiedzy, tępienia nadużyć, pociągania do odpowiedzialności każdego bez względu na parantele i stosunki, ktoby śmiał wyzyskać swoje stanowisko czy wpływy w sposób nieetyczny lub połączony ze szkodą Państwa.

Poczucie państwowe każe nam jednocześnie nie zatajać słów krytyki, gdy one są konieczne, ale wypowiadać je z miarą i miłością, a nie uchylać się od współpracy i współdziałania bez względu na to, przez kogo do niego wezwani będziemy, — każe nam nie zapominać ani na chwilę o tem, że to nasz rząd, nasze Państwo, nasz skarb najcenniejszy — nasza wielkość i sława. Męką życia całego wyblągaliśmy je u Stwórcy — niema ofiar, którychbyśmy nie ponieśli ochotnie, aby je utrzymać na zawsze!

---



**STANISŁAW SZCZEPANOWSKI**

Mowa, wygłoszona na uroczystej akademii ku czci ś. p. Stanisława Szczepanowskiego we Lwowie 17 stycznia 1926.

W martwocie żywota niewoli polskiej Stanisław Szczepanowski był wielkim dzwonem, który zwoływał żywych do budowy przyszłości; tym, którzy poszli w obcą służbę, wskazywał z niepospolitą odwagą miejsce pośród nieboszczyków; a gromy przyjmował w pierś swą ofiarną, zasłaniając przed nimi ułomne i małoduszne społeczeństwo.

Wielką pieśnią wiary są jego pisma i mowy, wiary w niezawodne osiągnięcie niepodległości przez Polskę, która właśnie dlatego, że będzie naprawą wyrządzonej krzywdy, przyjść musi. W epoce przewagi siły nad prawem, w owym pięćdziesięcioleciu po Sadowie i Sedanie, w którym nam i całej Europie widok nieba sprawiedliwości Bożej zasłaniała wielka chmura powodzeń pruskich, był idealistą, który wierzył, że jedynie droga uczciwa do szlachetnych prowadzi celów i że cel choćby największy nigdy nie uświęca nikczemnych a choćby wątpliwych środków.

Jego marzeniem było zostać Cavourem Polski, a z Galicji stworzyć polski Piemont. Nie było mu to danem. Polska przyszła w ośmnaście lat po jego przedwczesnej śmierci, a nie było w braku jego nikogo, ktoby umiał stworzyć dla niej podstawy gospodarcze z tą genialną intuicją, z tą głęboką a wszechstronną wiedzą i z tą gotowością do odpowiedzialności, jakie cechowały Szczepanowskiego. W radosnem upojeniu pierwszych lat ponownego istnienia Polski nie znano u nas miary w wydatkach, pragnąc dorównać zagranicy przedewszystkiem nie w solidnych podstawach, w oszczędności i pracy, ale

w wystąpieniach nazewnątrz, w hojności nieprzebranej na wszystko, a nie było nikogo, ktoby miał dosyć powagi, by naród na tej pochyłej powstrzymać drodze, ktoby odważył się przeciwstawić z całą energją powszechnemu pociągowi do anarchji i rozrzutności.

Szczepanowski nie był „także Polakiem“, ale wyłącznie Polakiem; jemu nie zaciemniał wzroku stosunek do żadnego zaborczego państwa, bo mu wszystkie były równie obojętne, a nawet niemiłe; on rozumiał jak nikt inny, że gdy chodzi o sanację skarbu, to ani oszustwem inflacji, ani składaniem niedotrzymywanych obietnic, ani wyciąganiem od obcych pożyczek bez myśli o zabezpieczeniu źródeł ich spłacenia, ani wogóle naruszaniem praworządności dokonać sanacji i wzbudzić zaufania do siebie i państwa nie można.

Gdyby był został Cavourem Polski, byłby nietylko złał powszechny kult niekompetencji i nie pozwolił na robienie eksperymentów na żywym ciele Polski, ale byłby też od początku wskazywał na potrzebę reformy moralnej jako warunek nieodzowny istnienia niepodległego państwa. Bezkarności zbrodni i obojętności wobec niej społeczeństwa, tego największego zła Polski współczesnej, nie byłby zniósł ani przez chwilę. Rzuciłby na szalę całą swą powagę moralną, szczere złoto swego natchnienia, wymowne spojrzenie swych głębokich kochanych oczu i gromy słów, płynących z najgłębszego przekonania, by nie dopuścić do tej hańby, która nas dzisiaj przygniata.

W grudniu 1918, gdyby był dożył tej chwili, byłby miał 72 lat, lecz czyż Gladstone w tym wieku nie rządził jeszcze Wielką Brytanią? Czyż Clemenceau w starszych latach nie służył chlubnie zwycięskiej Francji?

W każdym razie w Szczepanowskim skupiły się w stopniu najwyższym i rzadkim przymioty wielkiego męża stanu. I dlatego dobrze jest, że w tej chwili ogólnej depresji i przygnębienia, gdy minęło ćwierćwiecze od jego śmierci, zbieramy się dla uczczenia jego pamięci.

Byliśmy i jesteśmy narodem smutnym; nawet pieśń Konopnickiej: „Nie damy ziemi“ śpiewamy dotąd na nutę pogrzebową. Szczepanowski nawet w rugach z r. 1885, w wygananiu 40.000 włościan, kobiet i dzieci z granic państwa pruskiego widzi przedewszystkiem dowód bojaźni Bismarcka przed utwierdzeniem się etniczmem narodu pol-



skiego, widzi uznanie, że obudziła się świadomość narodowa w ludzie polskim, a więc w tych faktach widzi źródło otuchy.

Skłonni jesteśmy, jak Francuzi, do przesady zarówno w radości jak i w rozpacz. Szczepanowski zachowuje zawsze podziwienia godną równowagę ducha. Tak niezachwianie wierzy w zwycięstwo sprawy polskiej, że jest sprawiedliwy nawet wobec wrogów. Z wyrazami pełnemi czci odnosi się do wielkiego pisarza niemieckiego Herdera i do filozofii niemieckiego patrioty Fichtego, a z uznaniem i wdzięcznością wymienia licznych patriotów polskich niemieckiego pochodzenia, Bismarcka zaś pojmując jako niewolne narzędzie przewidującej Opatrzności, narzędzie, które uciskiem narodu polskiego i kościoła katolickiego wywołało skutek przeciwny zamierzonemu: odpolszczenie Śląska i Pomorza oraz powstanie polskiej warstwy mieszczańskiej w Poznańskim.

Niemcy zawsze byli złymi psychologami. Wyrzucanie w grudniu każdego roku przed wojną światową setek tysięcy polskich robotników sezonowych, po większej części analfabetów, i wpuszczanie ich do Niemiec zpowrotem dopiero w lutym roku następnego, przysporzyło nam istotnie ludzi, zaczynających czuć po polsku wśród zastępu dotąd obojętnego dla ideałów narodowych, co w r. 1910 powiedziałem otwarcie szwagrowi Wilhelma II, ks. Ernestowi Günterowi szleszwicko-holsztyńskiemu.

Jako patriota, wierzący niezłomnie w przyszłą niezawisłość Polski, Szczepanowski był przeciwnikiem gasicielei ducha, trójlojalistów, targowiczów i materjalizmu, dopatrującego się w dziejach ludzkości tylko poziomych pobudek gospodarczego egoizmu. Brzydził się głosem szatana z sławnego wiersza Krasińskiego: „Dzień dzisiejszy“, w którym szatan jako pan ziemi tłumaczy, że rozbiór Polski był koniecznością, która wyjdzie na dobro ogółowi, i zaleca ugięcie czoła i pogodzenie się z tym aktem rozumu. Wstręt szczególnie budził w nim autor „Rzeczy o r. 1863“ przede wszystkim dlatego, że uważał kłamstwo za dozwolony środek działania w sprawach publicznych, idąc w ślady Voltaire'a, który wedle dosadnej charakterystyki Szczepanowskiego, „z szatańskim śmiechem oplwał i błotem obryzgał świętości całego świata, dzieje własnego narodu wystawił na urągawisko, a plugawą i świętokradzką wyo-

braźnią zbezcześcił bohaterską pamięć Dziewicy Orleańskiej, zaszczepiając w krew i żyły własnego społeczeństwa jad cynizmu i zgorśzenia“. Prawa natura Szczepanowskiego brzydziła się i Talleyrand'em, tym, jak pisał, wiarołomnym księciem kościoła, sprzedajnym dygnitarzem państwa, który zdradzał i oszukiwał wszystkich swoich dobroczyńców i monarchów pokolei, a otoczenie swe nakłaniał do podobnego sprzeniewierzenia się hasłom wierności i uczciwości.

Idź innych zwodzić, mówi Szczepanowski za Krasieńskim do szatana. Nam karków w jarzmo nie zagniesz. W woli bowiem narodu jest źródło cudów, rękojmia zmarłych powstania. Teorię krakowskiej szkoły historycznej, że Polska upadła z braku silnego rządu, zwalcza wskazaniem, że Hiszpanja, mająca rząd absolutny, byłaby upadła w walce z Napoleonem, gdyby nie pomoc angielska i że Prusy absolutne również padły pod Jena, a powstały dopiero dzięki moralnemu odrodzeniu całego narodu. Według Szczepanowskiego Polska upadła nie skutkiem braku silnego rządu, ale skutkiem braku charakterów, nad wyrobieniem których przedewszystkiem pracować należy.

Jedyna droga do Polski, wedle Szczepanowskiego, to droga wiary skutecznej, miłości pracowitej i nadziei cierpliwej. Ten tylko bowiem, kto ma przeświadczenie o wyższości własnej, a opiera je na niezachwianej podstawie mądrej, intensywniej i uczciwej pracy, tem samem ma wiarę i pewność w zwycięstwo i w odporność skuteczną wobec wrogów. Aby dojść do Polski, trzeba ludzi dzielnych, t. j. ludzi o charakterze szlachetnym, a przytem posiadających wiedzę i karność. Najuniwersalniejsza wiedza w służbie najgorętszej wiary, najskuteczniejsza umiejętność działania w służbie najszlachetniejszego charakteru, oto typ, który zawładnie ludzkością (Aforyzmy o wychowaniu, Dzieła I, str. 223).

Taki człowiek jak Szczepanowski nie mógł być niereligijnym. Mówił on, że „w całym przebiegu historii religja okazuje się wskrzesicielką narodów“ (Walka narodu polskiego o byt, zdanie ostatnie). Twierdził, że „Polska i nadal będzie katolicką albo jej nie będzie“ (Idea polska wobec prądów kosmopolitycznych, I, str. 233). Założenie, powiada, że społeczeństwo może się rozwijać bez religji, byłoby potwornem i postawiłoby jego autora poza obrębem własnego narodu, ale też poza obrębem ogólnego

doświadczenia całej ludzkości (tamże). Religję określa jako sumę wszystkich najgłębszych i najskrytszych sprężyn, wytwarzających czyny ludzkie (tamże str. 253), a w innym miejscu poprostu jako triumf dobrej sprawy (Aforyzmy o wychowaniu I, str. 211).

Mógł Szczepanowski z większem uzasadnieniem, niż niegdyś Lassale, powiedzieć o sobie, że posiadał całe wykształcenie współczesne. Obdarzony żelazną siłą woli, odpornem zdrowiem, potępiający bezwzględnie rozpustę, alkoholizm i karty, tę złowrogą trójkę, która zmarnowała tyle najpiękniejszych zdolności, uczył się całe życie bez wytchnienia. Nie było obcej dla niego dziedziny. Z zawodu chemik, orjentował się zarówno w zawitych wykrętach austriackiego ustawodawstwa, jak w zagadnieniach geologicznych, w których objawiał niezwykłą intuicję. Rozumiał interesy wielkiego przemysłu i wielkich banków, niemniej jak systematy filozoficzne oraz postulaty historii, socjologii i polityki gospodarczej. Odczuwał głęboko i cytował chętnie wielkich poetów, zarówno naszych jak obcych, wgłębiał się z rozkoszą w historję religiji i w kwestje pedagogiczne.

Gdy iuni, zaślepieni bądźto wielkością Prus, bądź też ujęci łaską austriackiego monarchy i splendorem jego dworu, i sami przywykali do obroży i w podobnym kierunku prowadzili naród, Szczepanowski nie miał w sobie nic z oddanego obcym celom i walczącego za obcą wielkość gladiatora. Pomiedzy zwolennikami sprawy Bożej, a służalcami szatana, jak się wyrażał, nie dopuszczał nie tylko żadnej wspólności, ale nawet dyskusji, a do ostatnich zaliczał wszystkich, którzy pogodzili się wygodnie z panowaniem zaborców w Polsce. (Aforyzmy o wychowaniu I, str. 208). On czuł doskonale, dokąd bez ujemy godności własnej iść może i powinien jako wolny obywatel cudzego państwa i przez jedenaście lat pracy parlamentarnej (1886—1897) nie dał się skusić ani komplementami ministrów, ani uprzejmościami wielkiej finansjery wiedeńskiej do zboczenia o włos z tej drogi, jaką uznał za zgodną ze swem sumieniem i z interesem publicznym polskim.

Dla siebie niczego nie żądał i to było jego siłą. A dla kielkującego wówczas przemysłu naftowego żądać mógł tylko tyle, ile odpowiadało wymaganiom najoczywistszej



słuszności, bo dalszym jego planom stworzenia w Galicji podstawy gospodarczej dla przyszłej silnej i zasobnej Polski, przeciwstawiała się zresztą biurokracja w ministerstwach wiedeńskich, protegująca przemysł zachodnio-austriacki, znajdując chętnych wykonawców w władzach krajowych, nie wierzących w możliwość stworzenia w b. Galicji przemysłu polskiego i myślących po dawnemu kategorjami ekskluzywnie rolniczemi.

Gdy sfery ziemiańskie zachodniej części kraju, wówczas o wiele bardziej wpływowe, aniżeli dzisiaj, idąc na lep doktrynerskim mrzonkom jednostek, uwierzyły w zbawczą formułkę bimetalizmu, Szczepanowski nie bał się posądzenia, że popiera wielki kapitał ruchomy, niesympatyczny mu w istocie rzeczy i zawsze nieprzyjaźnie usposobiony dla niepoprawnego i niepraktycznego idealisty, ale bronił waluty złotej i zwycięsko przeparał tę swoją tezę, jako generalny referent ustawy walutowej w parlamencie austriackim, zwalczając przytem najostrzej sprytne oszustwo pieniądza papierowego, które od czasów Johna Law po dzień dzisiejszy nie przestało niepokoić gospodarstw europejskich, ponętne na początek, jak wszelki grzech i wiele trucizn, zażywanych w małych dawkach, ale niebawem ściągające całe gospodarstwo społeczne, a wraz z niem i państwo w ruinę i przepaść.

Szczepanowski chciał, jak Thiers, abyśmy stali się społeczeństwem bogatym, ale nie byle jaką drogą; żądał w tym celu uczciwej i intensywnej pracy. I nie nato tego pragnął, aby ten lub ów mógł otoczyć się zbytkiem w życiu codziennem, ale nato, aby powszechnem bogactwem przygotować i utwierdzić przyszłą niezależność całego narodu.

Na temat tradycyjnej naszej niechęci do płacenia podatków wypowiedział on niejedną krytyczną uwagę, przypominając gorzkie słowa Staszica: „Szlachcic krzywo przysięga, aby nie dał podatku“. O samorządzie galicyjskim powiedział, że niema w nim treści, bo jak wiara bez miłości, tak samorząd bez ofiarności obywatelskiej to li miedź brząkająca i cymbał brzmący. Jednomyślne uchwały Sejmu galicyjskiego w niektórych sprawach dyktują mu słowa uznania dobrej jego woli, ale niechęć do jakichkolwiek wydatków inwestycyjnych, lękliwość tam, gdzie chodzi o konwersję długów krajowych, o poparcie

przemysłu, o regulację rzek czy hodowlę, wkładają w usta temu dobremu i łagodnemu człowiekowi słowa uzasadnionej krytyki. Ani ofiarności na cele publiczne, ani poczucia obowiązku w płaceniu podatków na rzecz państwa nie było i dotąd ich niema w dostatecznej mierze, a brak chęci do ofiar u nas płynie nie tyle nawet z antagonizmu do przymusu, boć włościanin nasz doskonale rozumie i uznaje konieczność przymusu w pobieraniu podatków i powoływaniu do służby wojskowej i sam na brak przymusu w czasie wojny bolszewickiej narzekał; nie tyle również płynie z chciwości, skoro równocześnie społeczeństwo okazuje ofiarności na różne cele narodowe i społeczne. Źródło jej widzę w zupełnej ignorancji w sprawach gospodarczych, cechującej nas oddawna, a stanowiącej wielką lukę naszego wychowania, na co żali się i Szczepanowski. Skutkiem tej ignorancji ludzie wyobrażają sobie, że mogą być dobrymi Polakami, sprowadzając bez potrzeby różne towary z zagranicy, wyjeżdżając tam dla błahej przyjemności lub lokując swój majątek w bankach zagranicznych. Tymczasem każdy, kto to czyni, szkodzi oczywiście ojczyźnie, jest więc złym obywatelem, a jeśli postępuje tak w dobrej wierze, nie wiedząc sam o tem, że jest szkodnikiem, to chyba jest ignorantem. A w takim razie winę lub bodaj współwinę tego stanu rzeczy ponosimy my, nauczyciele i kierownicy młodzieży szkół najwyższych, za mało widocznie zwracający uwagi na podstawowe przykazania katechizmu obywatelskiego.

Dzisiejszym przeciwnikom jakiegokolwiek ingerencji państwa wypada zwrócić uwagę, że Szczepanowski w mowie parlamentarnej z 2 kwietnia 1889 uznał, iż państwo prowadzi fabrykację tytoniu i zarządza kolejami, wytrzymując konkurencję z przedsiębiorstwami prywatnemi, a nawet mogąc im czasem za wzór służyć (Dzieła III, 36).

Ale Szczepanowski był nietylko na swój czas bystrym i świetnym ekonomistą, wybitnym mówcą parlamentarnym i sejmowym, on nadto wyprzedził swoją epokę, ten okres triumfującego wówczas niepodzielnie liberalizmu ekonomicznego, stwierdzając, że niema odrodzenia ekonomicznego bez odrodzenia moralnego. Aby to zrozumieć, aby wskazać tę żmudną drogę odłamowi narodu, budzącemu się do nowego życia pod wpływem znośniejszych

w naszej dzielnicy stosunków politycznych — aby wskazać, że socjalizm myli się, sądząc, iż zmiana ustroju państwowego i ustaw bez zmiany dusz doprowadzić mogłaby do trwałej naprawy społeczeństw, trzeba było długoletniego pobytu w Anglii, trzeba było znajomości całego tak pełnego głębokich myśli ruchu etycznego, którego rzecznikami byli pisarze i działacze tej miary, co Carlyle, Kingsley, Ludlow, Ruskin; trzeba było znać szlachetną wieloletnią walkę torysów angielskich w kierunku poprawy bytu klas robotniczych. Trzeba było znać stosunki ich ojczyzny, która przeżyła i wielką rewolucję cromwellovską i rozwój wielkiego przemysłu i pokojową naprawę stosunków społecznych na wiele lat wcześniej, niż stały ład Europy, aby już w r. 1888 w głośniejszej „Nędzy Galicji“, gdy u nas pojęcie człowieka postępowego pokrywało się niemal z pojęciem bezwyznaniowca, a prawa ekonomiczne przedstawiano triumfująco jako zgoła niezależne od etyki — aby, powtarzam, w r. 1888 pisać o odrodzeniu moralnem i chrystjanizacji wszelkich postulatów naprawy społecznej jako warunku odrodzenia ekonomicznego.

Ten nauczyciel narodu walczył całe życie z biernem, dobrodusznem niedołęstwem. Nazywał je narodowym grzechem polskim i grzechem przeciw Duchowi świętemu, za który niemasz przebaczenia (Aforyzmy o wychowaniu I, str. 213), wskazywał ciągle na przyczyny naszych niepowodzeń ekonomicznych, trwające dotąd: brak wiedzy i karność oraz niedbalstwo dozorujących, które umożliwiało i umożliwia rozrzutność i nieuczciwość wykonawców. Czy te wady narodowe są do wytepienia? Niewątpliwie, ale na to potrzeba reformy wychowania, której był gorącym zwolennikiem. Domagał się fizycznego hartu, widząc w nim rękojmnię, że trud i wyteżenie walki o Polskę przyjęte będą przez szeroki ogół z ochotą, nie jako przykra ofiara i ciężar, ale jako pierwiastek i podnieta życia i domagał się wyrobienia ludzi dzielniejszych i wykształceńszych, niż w innych narodach; na sztandarze Polski wykreślał słowo: „rezygnacja“ a wielkimi głoskami wypisał hasło: „odrodzenie“ (O potrzebie swojskiego kierunku w literaturze polskiej). Odrodzenie zacząć się powinno „od serca, nie od rozumu, od charakteru, nie od oświaty i sztuki“. „Trzeba tłumić egoizm i chciwość oraz



instynkt odwetu, bo one prowadzą w przepaść“. Wyższość ducha nad siły materialne, powiada małoduszny, stwierdziła w szeregu przykładów historia, w której zawsze zwyciężały mniejszości, ale wyposażone w większą dążność energii i solidarności. Stawia za wzór współczesnemu Polakowi małe potrzeby Staszica, Kościuszki, Lelewela, a mógłby dodać i własne, jako dowód podporządkowania siebie celom ogólnym, przeobrażenia wewnętrznego, którego dla nas pragnie, z pogardą mówiąc o odmiennej praktyce parweniuszów i półpanków, o zgola przeciwnej teorii ekonomiki liberalnej i jej wyznawców. Najwyższy nastrój umysłu i serca łączył się zawsze z prostotą i bohaterstwem w czynach, a przepych zazwyczaj z ubóstwem umysłu i ciasnym sobkostwem. Zachęcał wreszcie do życia ofiarnego dla Polski, które wzmoże miłość ojczyzny, uważając sam trud nieustanny jak największej liczby, a nie osobiste materialne korzyści, za najpewniejszą rękojmię zwycięstwa dobrej sprawy.

Szczepanowski, jak Konrad z III. części Dziadów, myślał bezustannie o Polsce; każdy fakt przyrodniczy, każde zjawisko historyczne, każdą teorię filozoficzną oglądał przedewszystkiem z tego stanowiska, czy one przydać się mogą na coś Polsce. Wiedzy dla wiedzy, sztuki dla sztuki, póki Polska w niewoli, nie uznawał. Stąd pochodzi jego potępienie Zoli i D'Annunzia, którym przeciwstawia wzniosłość ideałów Mickiewicza. Wszystko służyć mu ma na gromadzenie sił dla triumfu Polski, jako broń dla przyszłego zwycięstwa sprawiedliwości. Upominał się o czyn, w miejsce pustych i rozlewnych słów, o czyn w formie walki ze wszystkim, co przeszkadzało rozwojowi narodu, walki z wszelką niemoralnością i powszechną niestety bezmyślnością.

Był z tych, którzy — jak Stanisław Konarski — mieli odwagę powiedzenia swemu narodowi prawdy. A choć prawdy tej nie przyjęto, choć on sam padł ofiarą niechęci tych, których prawdą słów swoich zadrasnął, dziś pod wpływem nowych doświadczeń, nowych bolesnych potwierdzeń jego opinii, w 25-ciolecie jego zgonu, prawda ta wymowniejszym do nas przemawia głosem.

Ofiara życia i walk ś. p. Stanisława Szczepanowskiego nie mogła pójść na marne. Bóg ją przyjął i na

nasze policzył dobro wraz z ofiarą życia najzacniejszych w narodzie. Ciężkie są winy i grzechy owych, jak dotąd bezkarnych, krzywdzicieli dobrego imienia Polski, rabusiów grosza publicznego. Ale i szczerozłote ofiary czystych serc i wzniosłych natchnień tyłu najszlachetniejszych i największych, a wśród nich i Stanisława Szczepanowskiego, zaważą na szali. Miłość i poświęcenie tych męczenników i świadków były większe, aniżeli złość przewrotnych.

W sercach naszych — mam nadzieję i wiarę — świta już jutrzienka zgodnego potępienia dla czerwia, który nas toczy, i powrotu do szacunku dla samych siebie — świta przeświadczenie, że nie może pozostać tak, jak jest, bo nasze całe jestestwo burzy się przeciw temu, bo całym wysiłkiem woli chcemy i musimy położyć koniec panoszącemu się bezprawiu.

Niema niemożliwości. Czy jeszcze 10 lat temu nie wierzyliśmy wraz z Mickiewiczem (w wierszu Petersburg), że człowiek śmiertelny nie zdoła zwalić caratu? Czyż nie wierzyliśmy jeszcze w czasie wojny światowej w połowiczny pokój i dalsze istnienie niemieckiego cesarstwa nawet w razie zwycięstwa ententy? Modlitwa gorąca przebija niebiosą, a żywoty naszych bohaterów narodowych, w tej liczbie i Szczepanowskiego, były taką modlitwą.

Szczepanowski był człowiekiem czystym do głębi duszy, był rycerzem bez skazy, Bayardem i Farysem, nie tracącym ducha mimo ogromnych trudności, z jakimi miał do walczenia. W całą Małopolskę, częścią żyjącą w przeszarżałych przesądach, a częścią już zarażoną hiperlojalizmem wobec Wiednia, a przez Małopolskę w całą Polskę tchnął świeżego ducha, ukazując typ nowoczesnego Polaka, ucząc, jak należy żyć i działać dla przyszłego, własnego Państwa. Poległ jak wódz, który siebie nie oszczędza i w pierwszych walczy szeregach. Poległ, ale żadne ziarno nie jest tak żywe, żadne tak obfitym nie wystrzeli kłosem, jak śmierć. Z niej nowe, bujniejsze wyrasta życie.

I dziś postać znakomitego pisarza i męża stanu, gorącego patrioty, jednego z wielkich budowniczych nowej Polski, wyłania się ku nam z za rozwianych już

mgieł zawiści i niechęci. Widzimy, jak wskazuje nam wąską i trudną do przebycia, ale jedyną ścieżkę odrodzenia moralnego, ścieżkę, którą krwią swą serdeczną nam nakreślił.

I obiecujemy pójść tą drogą, a nigdy o Nim nie zapomnieć!

---



**SOLIDARYZM A SPÓŁDZIELCZOŚĆ.**

Odczyt przeznaczony na „Dzień spółdzielczości“ we Lwowie.

Solidarność jest treścią i istotą współżycia między ludźmi. Bez solidarności nie można wyobrazić sobie społeczeństwa. Przesąd prostaczków głosił wygodną zasadę, że byle każdy dbał tylko o własne wzbogacenie się, o własną korzyść, a „całość sama się złoży“. Jest wprost przeciwnie. Tylko wówczas, gdy wszyscy dbają o całość, indywiduum zapomina o sobie w ciągłej trosce o ogół, wzmacnia się powodzenie i dobrobyt każdej jednostki.

Solidarność, wypływająca z bezinteresownej miłości bliźniego, jest naturalnie wyjątkiem i póki natura ludzka cudownej a zasadniczej nie ulegnie zmianie, nie przestanie być cechą niezmiernie rzadką człowieka. Jednostki, żyjące w t. zw. świecie cywilizowanym, są przeważnie usposobione samolubnie. Stąd zapewne pochodzi błędne przypuszczenie, że egoizm przeważa też w życiu społecznym. I tak byłoby może w istocie, gdyby społeczeństwo było jedynie sumą jednostek, gdyby w człowieku nie mieściła się obok ciała i dusza, gdyby nie posiadał on szeregu cech intelektualnych i moralnych, skierowujących jego postępowanie częstokroć na inne tory, sprzeczne z interesem egoistycznym a zgodne z interesem gromadnym. Ale społeczeństwo nie jest bynajmniej sumą jednostek, jest czemś więcej i czemś zgoła innym, niż pewną ilością indywiduów, gryzących się między sobą i współubiegających się o złoto.

Czy mam to udowadniać argumentami, zaczerpniętymi z dziedziny filozofii od Arystotelesa począwszy? Czyli raczej nie będzie wymowniejszym argumentem przypomnienie szeregu prac na wielką skalę, jak sztucznego nawadniania Egiptu lub budowy wodociągów i term Ka-

rakalli w starożytnym Rzymie, opłynięcia przyładka Dobrej Nadziei i odkrycia Ameryki w średnich wiekach, przekopania kanałów Sueskiego i Panamskiego, najszerzego zastosowania wynalazków technicznych w różnych dziedzinach w naszych czasach, wynalazków, pociągających za sobą największe ofiary ze strony jednostek, olbrzymie korzyści ze strony ogółu, a dopiero w dalszem następstwie także korzyści dla wszystkich członków tego ogółu?

Gdy Polska zagrożona była zawleczeniem chorób zaraźliwych z Rosji Sowieckiej, zaprowadziliśmy wzdłuż granicy kordon sanitarny. A do kosztów tego kordonu przyczyniły się nawet państwa, poza tem wrogo lub obojętnie do nas się odnoszące. Postąpiły tak nie dlatego, by była pobudką ich działania miłość bliźniego, ale z przeświadczenia o naturalnej i nieuniknionej z nami solidarności, poprostu przez obawę zawleczenia zarazy. do ich krajów, gdyby przedostała się do Polski.

Każdy, kto ubezpiecza się na wypadek pożaru, na życie lub wogóle od najrozmaitszych wypadków, grożących jego osobie lub mieniu, a względnie od materialnych skutków tych wypadków, czyni to w celu zapewnienia sobie w przyszłości pewnego kapitału lub renty, w razie gdy ten wypadek istotnie go dotknie. Umowa o ubezpieczenie jest kontraktem losowym, przynoszącym w rezultacie korzyść tylko jednej stronie, bądź ubezpieczonemu, któremu dostarcza częściowego bodaj ekwiwalentu poniesionej materialnie szkody, bądź towarzystwu ubezpieczeń, które pobiera od ubezpieczonego premje, nie mu wzamian nie dając. A jednak ludzie się ubezpieczają, nie dlatego wprowadzić, aby dostarczać funduszu innym w razie, gdy ich dotknie nieszczęśliwy wypadek, ale dlatego, bo słusznie głęboko są przeświadczeni o solidarności, łączącej ich losy między sobą i niezależnej bynajmniej od ich woli i wzajemnych sympatyj.

Jeżeli sprowadzamy za większą sumę towarów z zagranicy, niż ich wysyłamy przez słupy graniczne, rezultatem takiego działania musi być niekorzystny bilans handlowy bez względu na to, czy czynność tę przedsięwzimą w Polsce Polacy czy też członkowie t. zw. mniejszości narodowych. Wyjazdy zagranicę zmuszają nas do zakupna walut obcych i działają w kierunku obniżenia własnej bez względu na to, czy przedsięwzięcie je Polak lub nie-Polak,



w Polsce mieszkający. Skutek w obu wypadkach jest naturalnie taki sam: obniżka kursu złotego. Ponieważ zaś wszyscy obywatele polscy, prócz pewnej garstki eksporterów i ich współinteresentów, mają jednakowy interes w utrzymaniu kursu złotego na możliwie wysokim poziomie, wynika stąd dla przeważającej większości tych obywateli naturalna solidarność interesów mimo silnego choćby antagonizmu w innych dziedzinach, np. politycznej czy religijnej.

Zgodne współdziałanie przedsiębiorców w kartelach, trustach, poolach czy syndykatach, rozdział między członków ustanowionego kontyngentu zakupionych surowców, oznaczenie rozmiarów wspólnej produkcji, zastosowanej do ustalonego zapotrzebowania, zabezpiecza odbyt towarów i uchyla niebezpieczeństwo przesileń w wyższym stopniu, niżby to zdołał uczynić najprzemysłniejszy wysiłek producenta idącego luzem, *out-sidera*. I tu więc solidarne współdziałanie mniejszej grupy osiąga w jej obrębie rezultat pomyślny.

Związki zawodowe robotników wszelkich kategorii spełniają zadania podobne. Wyższy stopień solidarności pracodawców z robotnikami cechują instytucje wspólne, takie, jak urzędy pojednawcze i izby rozjemcze oraz wspólne porozumienie w kierunku ustalania minimum płac i spólnoty cennikowe, dzięki czemu na dłuższy okres czasu wykluczone bywają strejki, przynoszące tyle szkody życiu gospodarczemu. Najwyższy stopień solidarności międzyklasowej osiąga pogląd, w czyn wcielany codziennie przez Henryka Forda, określającego płace robotnicze tylko jako rodzaj zaliczki na udział w zysku, a robotnika jako pewnego rodzaju współwłaściciela przedsiębiorcy.

Czy stosunek między kupcem pośrednikiem z jednej a konsumentem z drugiej strony, a podobnie między dostarczycielem kapitału a dłużnikiem tudzież między wytwórcą a bezpośrednim nabywcą, nie da się ukształtować podobnie na zasadzie solidarności interesów, tkwiącej głęboko w życiu gospodarczym i stanowiącej pobudkę i zachętę obrotu?

Wszak już we filozofii oraz w prawie starożytnem i średniowiecznem solidarność ta objawiała się w pojęciu słusznej ceny towarów, w umiarkowanym procencie, w surowych karach za wyzysk i lichwę. Od Arystotelesa i prawa

rzymskiego począwszy poprzez prawo kanoniczne, niemieckie, francuskie, angielskie, w niezależnych miastach handlowych włoskich i niemieckich, zawsze i wszędzie istniało dążenie do ustanawiania słusznej ceny towarów, t. j. ceny umiarkowanej, ustalonej przez magistraty w drodze doliczenia do kosztów nabycia czy produkcji kosztów transportu i własnego utrzymania pośrednika tudzież zakaz przekraczania tej granicy. Tak samo istniał procent, nie wyższy naogół nad stopę zysku, osiąganego przez dłużnika, więc w rolnictwie niższy, w żegludze handlowej wyższy, ale nigdy nie przewyższający przewidzianych w ustawie granic, poza którymi stawał się lichwą i wchodziły w życie dotkliwe kary świeckie i kościelne w razie jej popełnienia.

Dopiero pod wpływem liberalizmu z końca XVIII wieku dopuszczono szturm do tych zasad a Jeremiasz Bentham wypowiedział pogląd, że lichwiarze są dobrodziejami ludzkości, komu zaś warunki przez nich stawiane wydadzą się zbyt wygórowanymi, ten oczywiście nie będzie korzystał z ich usług.

Podobnie obłudne kłamstwo głosili ekonomiści liberalnego obozu, twierdząc, że umowa o pracę, zawarta z robotnikiem, nie powinna podlegać nadzorowi państwa. I robotnik, tak jak dłużnik lub kupujący towar, zawrze umowę tylko wtedy, gdy jest dla niego dogodna, a przedsiębiorca już dlatego da mu godziwą płacę, bo inaczej współpracy jego nie uzyska.

Ale w istocie argumenty te są zwodnicze i błędne: robotnik w razie porozumienia pracodawców w kierunku nieuiszczania płac, sięgających ponad pewien poziom, musi się zgodzić na dyktat pracodawcy, musi się poddać jego przewadze i wyzyskowi, bo czekać z braku zapasów nie może; tak samo ktoś zmuszony do zaciągania pożyczki podda się z całą świadomością wygórowanym i lichwiarskim choćby warunkom; tak samo ktoś inny, nie mogąc ścierpieć głodu lub chodzić w podartem ubraniu, przeplaci środki żywności lub odzież.

Wolnej konkurencji w istocie niema. Sprzedający nie wynoszą na targ całej wytworzonej przez siebie lub sprodawzonej skądinąd ilości towarów. Gdy grozi spadek cen, chowają przezornie towary i kapitały; z ich wzrostem dopiero wysyłają je, i to częściami tylko, na rynek.

I dlaczegożby zresztą konkurencja sama miała rozstrzygać o cenie? Konkurencja, a więc rzecz zależna od przypadku: ilości kupujących czy sprzedających, potrzebujących towaru i mających go na zbycie? Czy skutkiem wyłącznego władania tego stanu rzeczy, władania nie kontrolowanego przez państwo, nie ograniczonego świadomą wolą jednostek, ceny nie wzrastają skutkiem zwiększonego stopnia zapotrzebowania, a nie maleją skutkiem pełniejszego zaspokajania potrzeb, a więc w stosunku odwrotnym do pożyteczności społecznej towaru czy też usługi?

Tu jednak dotąd zasada solidarności nie uzyskała wstępu, należnego jej zasadniczo, do stosunków obrotu.

Co tedy uczynić, aby zasadzie tej i w obrocie dopomóc do zwycięstwa? Czy przede wszystkim dbać, jak u nas niektórzy głoszą, o kupiectwo polskie, o banki polskie, o produkcję polską?

Ale dla kogo oni wszyscy? Czy produkcja może być sama w sobie celem, czy też jest tylko środkiem? A jeśli jest środkiem do zaspokojenia potrzeb ludzkich i niczem więcej, to należy dążyć, jak Henryk Ford, do ciągłego obniżania cen i powiększania tą drogą zastępu konsumentów. A skoro ogół przedsiębiorców tego nie czyni, czy nie jest uzasadnioną samopomoc tych kupujących towary bądź u kupców, bądź u pośredników i tych potrzebujących chwilowych pożyczek dla celów inwestycji gospodarczych, pożyczek, które muszą opłacać się w przyszłości?

Myśleli o tem i pierwsi głosili te zasady genialni dwaj twórcy spółdzielczości: Anglik Robert Owen i Francuz Karol Fourier. Ale póki je wieściły teoretyczne rozprawy, mniej lub więcej upstrzone fantastycznemi, jak u Fouriera, dodatkami, lub póki eksperymenty praktyczne Owena, niedość przemyślane lub odrazu na zbyt szerokie zakreszone rozmiary, nie odnosiły sukcesu, nietrudną była z nimi walka oponentów. Dopiero, gdy sami robotnicy w szczupłym zrazu gronie i z małym kapitałem, ale z niezłomnem postanowieniem bezinteresownej, pełnej poświęcenia i solidarnej pracy dla dobra zastępu rówieśników zawodowych, nie zrażeni trudnościami i niepowodzeniami, których było na początek sporo, ułożyli w Rochdale pierwszą kooperatywę, myśl solidarystyczna rozpoczęła triumfalny swój pochód po świecie. Z tych drobnych początków powstał naprzód w Wielkiej Brytanii, a niebawem w resz-



cie kulturalnej Europy tudzież w Ameryce Północnej, wspa-  
niały gmach współdzielczości.

Konsumy wielkobrytyjskie, złączone w olbrzymich dwóch związkach na Anglię i Szkocję, posiadają dziś własne gospodarstwa rolne na przestrzeni tysięcy morgów, własne plantacje kawy i herbaty za morzem, własne fabryki obuwia, bielizny, ubrań, mebli, mydła, świec, krochmalu, biszkoptów, kakao, czekolady, tytoniu, własne młyny, drukarnie, banki, okręty. Spółki budowlane spółdzielcze wydały przeszło 50 milionów funtów szterlingów na nowe budynki, zapobiegając brakowi lub drożyznie mieszkań. W Danii rozwinęły się chłopskie spółki produkcyjne, a w szczególności spółki mleczarskie, rzeźnie spółkowe i spółki zbytu jaj. Te trzy typy spółek produkcyjnych trudnią się przeważnie eksportem i dzięki nim wpływało przed wojną do Danii corocznie za samo masło 210, za nierogaciznę 60, za jaja 15 milionów, razem 285 milionów franków złotych. Podobnego rozwoju doczekała się z równie małych początków spółdzielczość w Szwajcarii, we Włoszech, w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych, we Francji.

Dlaczego u nas nie wiedzie się spółdzielczości? Czy dlatego, że zwalczają ją kupcy? Wszak czynili to samo na wielką skalę za czasów Owena, wykupując od robotników za bezcen przekazy na towary, złożone w magazynach fabrycznych i oglašając w ten sposób rozległe składy wielkiego filantropa. Wszak w Szwajcarii kupcy bazylejscy podkopywali wszelkimi sposobami stowarzyszenia spółdzielcze, zakładane w Oberwil. Wszak w Niemczech założenie fabryki mydła w Aken nad Łabą nie mogło przyjść do skutku z powodu zakazu magistratu, uzasadnionego obawą zagrożenia interesów kupiectwa. Pamiętne są jeszcze morza szyderstw i intryg, piętrzące się przeciw spółkom kredytowym miejskim i wiejskim: systemu Schulzego z Delitzsch i Raiffeisena.

A jednak konsumy angielskie zaspakająają dziś wszystkie potrzeby milionów robotników, kupiec niewiele na robotnikach zarabia, stał się dla nich zbyt cennym. Stowarzyszenie w Oberwil rozrosło się na dwa kantony: Bazyleją miasto i Bazyleję wieś, chłop sprzedaje mu wszystkie swe produkty, dla wszystkich istnieje kasa oszczędności, zakład kąpielowy, elektrownia, cegielnia, ubezpieczenie, fabryka mydła, piekarnia, a pośrednik kupiec prze-

grał sromotnie kampanję. W Niemczech ogólna liczba udzielonych dwom milionom członków kas raiffeisenowskich pożyczek wynosiła przed wojną dwa miljardy marek złotych. Ani jedna z tych kas nie zbankrutowała, podczas gdy wielkie banki i kupcy stawali się gromadnie niewypłacalnymi, wszystkie przetrzymywały ubytek sił robotniczych, zajętych służbą frontową i ciężkie ograniczenia gospodarki wojennej. Włochy rozbrzmiewają dziś hasłem: precz z pośrednikiem. Wspaniałe rezultaty stowarzyszeń wytwórczych włoskich, a w szczególności związków robotników budowlanych i ziemnych, którym służy Bank Pracy i Izby Pracy w Medjolanie, oraz spółek dzierżawnych po wsiach umożliwiły triumfy polityczne faszystów.

Dlaczego to wszystko tam, a nie u nas? Czy istotnie spółdzielczość nie da się pogodzić z wybujałym jakoby indywidualizmem polskim, jak głoszą interesowani po przeciwnej stronie i ich poplecznicy? Na to pytanie odpowiem pytaniem wzajemnem. Czy nasze spółdzielnie trzymały się zawsze i wszędzie zasad, zdobytych doświadczeniem Zachodu, czy w szczególności rozdzielają zawsze osiągnięte ze sprzedaży nadwyżki w stosunku do zakupu, jak być powinno i jak to czynią kooperatywy angielskie, włoskie czy niemieckie, czy też raczej wyposażają w szczególne zyski kapitalistów, przyznając im duże procenty od udziałów? Po wtóre, czy we wszystkich naszych spółdzielniach istnieje równość zupełna członków na zebraniach ogólnych a nie przyznawanie pod tą lub ową formą większej władzy tym, którzy posiadają więcej udziałów? Po trzecie, czy sprzedaż odbywa się zawsze tylko za gotówkę i po cenie sprawiedliwej? A po czwarte, czy łączyły się w wielkie związki bez względu na przynależność polityczną czy też rozbijały się na małe i słabe, zwalczające się wzajemnie i dalekie od ducha solidarności, których wszak mają być wcieleniem?

Spółdzielnie na Zachodzie zbliżają wieś do miasta, wskazują jednej i drugiemu, że niema między nimi sprzeczności, lecz że owszem istnieje głęboka zgodność interesów. Są ludzie wpływowi, którym na tem zależy, aby siać nieufność i rozdzielać tych, którzy naprawdę między sobą się nie znają, choć mieszkają tak blisko siebie. Ale jest dowodem braku głębszego wniknięcia w sprawę niezrozumienie, że owej sprzeczności interesów naprawdę

niema i że utrzymanie zadowolenia gromady pośredników i banków kapitalistycznych mniej jest warte od zgody, zadowolenia i dobrobytu najszerzych kół wsi i miasta.

Niepowodzenia naszego narodu, wyposażonego w ziemię przepiękną, urodzajną i bogatą, ludność zdrową i zdolną, niepowodzenia przeważnie w dziedzinie gospodarczej pochodzą nie skądinąd, jeno z braku zdolności do zgodnego współżycia najszerzych warstw. Powszechna nieznajomość rzeczy w tym zakresie i płynąca z niej podejrzliwość, żądania cudownych zmian i napraw od każdego nowego rządu, przypisywanie wszelkich win przeciwnikowi politycznemu, a wszelkich zasług zwolennikowi własnych zapatrywań upodabniają nas do ludzi pierwotnych. Spółdzielczość może nas wychować, co więcej, to jedyny sposób wzniesienia nas na wyższy stopień kultury, a tem samem i materialnego powodzenia. Gdy będziemy zdolniejsi do współżycia, t. j. do ustępstw wzajemnych w imię dobra ogółu, dla narodu naszego i Państwa rozpocznie się epoka pomyślności. Kooperacja, jak słusznie zaleca wielki francuski ekonomista Karol Gide, powinna być otwartą dla członków wszystkich stronnictw, a nie przeznaczoną tylko dla niektórych, ani też osłabioną przez rozdział na tyle koperatyw, ile jest stronnictw. Przed murami spółdzielni ustać powinna wszelka waśń partyjna; wówczas zaś poza jej murami prowadzoną będzie w formie umiarkowanej i z szacunkiem dla przeciwnika.

Wiemy wszyscy, że ustrój kapitalistyczny nie jest bynajmniej ideałem, zapewniając przywileje jednemu, a nie umiając uchronić od głodu innych. Ale do innego ustroju ogół jeszcze nie dorósł i najszlachetniej pomyślane ustawy nie będą skuteczne dopóty, póki spółdzielczość nie wychowa nas na innych ludzi, bezinteresownych i bezwzględnie uczciwych i póki nie zrozumiemy głębokiej solidarności, istniejącej między ludźmi niezależnie od ich wzajemnej ku sobie sympatji i niezależnie od ich woli.

Póki księga kontowa jest biblią, giełda kościołem, a złoto bogiem przeważnego zastępu ludzi, wedle słów słynnego Anglika Edmunda Burkego, póty spółdzielczość nie może mieć powodzenia. U tych natomiast narodów, wśród których odbywa się regeneracja moralna, współdzielczość, a z nią dobrobyt ogółu, rozwija się i kwitnie. Oto wskazówka, jaką nam daje historia.



NASZE POŁOŻENIE GOSPODARCZE  
A NAUKA ŚW. TOMASZA Z AKWINU.

*Św. Tomasz z Akwinu stanowi dziś w świecie katolickim niewyczerpane źródło pouczenia m. i. także w dziedzinie prawa i ekonomiki społecznej. Filozofię tomistyczną wykładają dziś na wszystkich uniwersytetach katolickich a papieże współcześni opierają na niej kilka najznakomitszych swych encyklik. U nas dzieła św. Tomasza znane były przeważnie z drugiej ręki i niedokładnie. Dopiero w ostatnich czasach dzięki otwierającym nowe widnokręgi pracom kardynała Mercier filozofia tomistyczna zyskała i u nas zwolenników. Wskutek tego doszedłem do przekonania, że dobrze będzie poddać zjawiska dzisiejsze pod kontrolę też i sądów św. Tomasza, jako mających dla katolików znaczenie rozstrzygające i tezami temi je oświecić. Tej intencji zawdzięcza swe powstanie zarys niniejszy.*

Przesilenie jest w Polsce od ośmiu lat stanem niemal stałym. Po klęskach, wywołanych gwałtowną dewaluacją waluty nastąpił, jeśli tak wolno się wyrazić, stały stan chwiejności waluty, zmuszający wszystkich do spekulacji i pogoni za dolarem jako stałym miernikiem wartości, którym marka nie była nigdy, a złoty nie wiele dłużej aniżeli pół roku i znowu teraz od niedawna, niewiadomo na jak długo. Niepewność stosunków gospodarczych zachęca do oszukiwania zarówno Skarbu Państwa jak i współkontrahentów, a rozpowszechniona bardzo nieuczciwość jest charakterystyczną cechą naszych stosunków gospodarczych. Powszechność tego objawu skłania polityków do przykładania do niego innej, pobłażliwszej miary. Twierdzą, że skoro niepodobna wszystkich, zasługujących na to, zamykać do więzień, trzeba być wyrozumiałym na powojenne objawy współczesnego życia gospodarczego, trzeba zrozumieć, że etyka oderwanych od życia, szybujących w obłokach Katonów nie da się zastosować w życiu codziennem. I jak z uśmiechem dojrzalej wyższości odmawiają prawom etyki wstępu do życia pu-

blicznego, tak i w życiu gospodarczem tłumaczą, że niepodobna ich bezwzględnie stosować wobec takich mniemanych praw ekonomicznych, jak wolna konkurencja, prawa obrotu i t. d. To tylko przyznają, że jest źle, że pękają i zarysowują się spojenia i ściany naszego budynku państwowego. Twierdzą jednak, że zaklejenia tu i owdzie wystarczą i że budynek, który stanął bez fundamentów, będzie stał twardo i przetrwa burze i podmulenia fal morskich, jeśli tylko wykona się w nim od czasu do czasu drobne naprawy i podparcia. A tymczasem jest ciągle źle i mimo chwilowego okresu poprawy, wywołanego pomyślnym zbiegiem okoliczności zewnętrznych, nie może być trwale lepiej, póki nie nastąpi sanacja od podstaw.

Dobra diagnoza jest warunkiem trafnej terapii. A tej diagnozy bezwzględnej i sięgającej samego dna złego dotąd w Polsce nie było. To też nie mogło być dobrej i konsekwentnej polityki gospodarczej. Ciągłe a chwiejne wahania między polityką wolnohandlową a protekcyjną wobec państw innych, wojna cłowa z Niemcami, która wywołała rewanż niemiecki w formie załamania się złotego, a wewnątrz Państwa takie same ciągłe wahania między polityką inicjatywy prywatnej, wychodzącą w rezultacie na popieranie łapownictwa, a polityką etatystyczną, stosowaną tak nieudolnie, że musiała zrazić wszystkich do wszelkiej ingerencji czy kontroli państwowej: oto charakterystyka naszego zachowania się w dziedzinie gospodarczej w ciągu lat ośmiu, waham się powiedzieć naszej polityki, bo te eksperymenty na żywym ciele ojczyzny na miano poważnej, celowej i świadomej siebie polityki nie zasługują.

I dlaczego to wszystko? Czy nie mamy w Polsce ludzi równie zdolnych, jak gdzie indziej, równie dobrą wolą ożywionych? A jeśli tak, czy może jakaś czarna niemiecko-angielsko-żydowska intryga dybie na naszą zgubę, jak twierdzą niektórzy publicyści, upraszczający sobie chętnie problemy wszelkie w drodze wyszukiwania winowajców poza sobą i nami? Zdaje mi się, że będę bliższym prawdy, jeśli powiem: wszystkie dotychczasowe usiłowania sanacyjne nie mogły odnieść pełnego skutku, bo nie było dotąd dobrej diagnozy, bo tę diagnozę prostą i jasną, jaka się nasuwa każdemu nieuprzedzonemu, tak arogancko traktują trzeźwi „politycy“, że i ci, którzy uznają ją w duży za jedynie trafną, wahają się z tem wystąpić na ze-



wnątrz z obawy przed zjadliwemi obelgami lub sroższem jeszcze — nie dla jednostek z pewnością, wyższych ponad nie, ale dla sprawy samej — przemilczaniem.

Oto poprostu wzgardziliśmy fundamentem, na którym każde społeczeństwo stoi, w braku którego każde pada, fundamentem etyki, jednej i tej samej w życiu prywatnem i publicznem, w życiu rodzinnem, gospodarczem i międzynarodowem.

Jesteśmy katolikami, szcycimy się tem nawet, mienimy się dumnie „przedmurzem chrześcijaństwa“, ale uczucia religijne spychamy w najlepszym razie do murów kościoła. Gdy kto chciałby wykonać w życiu szczytne hasło wielkiego papieża: *instaurare omnia in Christo*, otrzymuje przydomek marzyciela lub klerykała. A jednak innej rady niema. *Crux stat, dum orbis volvitur*. Świat się toczy wytartym torem ciasnego samolubstwa, a krzyż stoi wysoko nad światem i wskazuje nam drogę żywota.

Widzimy, że społeczeństwa uczciwe i słowne budzą zaufanie i kredyt, nieuczciwe i niesłowne spotykają się z niedowierzaniem. Widzimy, że wśród społeczeństw zgodnych i solidarnych jest dobrobyt, wśród kłótliwych i pieniających jest nędza. Widzimy, że umiarkowanie daje zdrowie i przedłuża życie, a alkoholizm i rozpusta je niszczy. Jak tu mówić o marzycielstwie i nierealności haseł katolickich! Wprost twierdzę, że póki nie dokonamy przemiany własnej na ludzi umiarkowanych, zgodnych, solidarnych i słownych, brzydzących się wszelką nieuczciwością i kłamstwem, będzie i nam i Państwu naszemu źle i coraz gorzej. I żadne podwyżki podatków, żadna pożyczka zagraniczna nie pomoże, nie poprawi sama przez się tego stanu, póki będziemy tacy, jacy dziś jesteśmy.

Nienawidzimy Niemców, niedość cenimy nawet wielkich mistrzów nauki i sztuki, dlatego tylko, że są Niemcami, ale niemiecka polityka Bismarka i jego nieudolnych następców dotąd ma mimo swej bezskuteczności wśród wpływowych naszych polityków przekonanych naśladowców. Kiedy dla Anglika król stoi tak wysoko, że patryjota angielski nie może nawet przypuścić, by król mógł popełnić jakiś czyn niesprawiedliwy (*The king can do not wrong*), Bismark w mowie z 28 listopada 1881 odwrócił cynicznie to wzniosłe zaufanie, twierdząc, że nie warto byłoby królowi rządzić, gdyby nie mógł popełnić niespra-

wiedliwości. Innemi słowy uznał niesprawiedliwość jako nieodzowny sposób sprawowania rządów. I my to naśladowujemy.

Ograniczę się do omówienia niesprawiedliwości w dziedzinie gospodarczej, wynikających z niestosowania zasad św. Tomasza w naszym życiu gospodarczem i społecznem.

Produkcja służyć powinna ludziom, cały jej sens i wartość polega na tej użyteczności i do niej się ogranicza, produkcja bowiem jest tylko środkiem, a celem dobro ludzi. Kto daje pierwszeństwo produkcji przed ludźmi, popełnia jaskrawy błąd. Jeżeli siła i mocarstwowe stanowisko państwa zależą w większej części od liczby jego ludności a płodność mieszkańców Polski wykazują niezbite cyfry statystyczne, zdawałoby się, że powinniśmy czynić wszystko, aby powstrzymać emigrację a nie ją popierać. Jeśli zaś mamy krocie tysięcy bezrobotnych po miastach i jeszcze więcej bezrolnych po wsiach, zdawałoby się, że powinniśmy czynić wszystko, aby jak najwięcej z nich uzyskało kawałek ziemi na własność tudzież aby nauczyć ich i ich dzieci gospodarki lepszej i intensywniejszej na wzór Danii czy Niemiec. Zdawałoby się przytem, że najskuteczniejszym sposobem przeciw groźbie komunizmu byłoby zainteresowanie najszerszych warstw w istniejącym ustroju własności prywatnej, skoro doświadczenie rosyjskie pouczyło, że właśnie niesprawiedliwa reforma rolna Stołypina i brak ziemi jako jej następstwo umożliwiły dopiero poparcie sowietów przez włościan i tem samem zwycięstwo bolszewizmu, które bez niego nigdy nie byłoby nastąpiło.

Na temat własności prywatnej wogóle, a tem samem także na temat własności ziemi, św. Tomasz wyraźnie i dosłownie powiada: „Człowiek ma dwojakie prawo do rzeczy zewnętrznych, z jednej strony ma prawo nabywania ich i zarządzania niemi; jeśli się ono do tego ogranicza, wolno człowiekowi mieć własność... Po wtóre istnieje prawo używania rzeczy. W tym kierunku człowiekowi nie wolno uważać ich za swoją własność osobistą, ale winien je uznać jako wspólne wszystkim, więc dzieli się niemi z innymi w razie potrzeby.” [*Et quantum ad hoc (usum rerum) non debet homo habere res exteriores ut proprias, sed ut communes, ut scilicet de facili aliquis eas communicet in necessitate aliorum.*] Następnie zaś św. Tomasz

uczy: „Jeśli kto wcześniej od innych przyjdzie na przedstawienie teatralne, ale drugim zostawia drogę otwartą, nie działa wbrew przepisom. Zabronionem stałoby się jego postępowanie, gdyby innym tamował przystęp. Podobnie i bogaty nie działa wbrew przepisom, jeśli niejako przed innymi przywłaszczył sobie posiadanie rzeczy, które przedtem były wszystkim wspólne, ale je udziela i innym. Atoli grzeszy, jeśli innych w sposób bezwzględny wyklucza od używania rzeczy. Jakoż św. Bazyli powiada: Dlaczego u ciebie byłby nadmiar, a u drugiego niedostatek, jeśli nie nato, abyś zdobył sobie zasługę przez należyty rozdział dobrych uczynków, a on zdobył nagrodę sobie za cierpliwość“. Odnośne ustępy mieszczą się w edycji parmeńskiej dzieł św. Tomasza z Akwinu w tomie III: „Summa theolog.“ II/II qu. LXVI art. II. Własność nie jest bezwzględna.

Wedle św. Tomasza rzeczy służą na zaspokojenie potrzeb ludzkich. Żaden więc rozdział dóbr ani ustrój własności, wypływający z prawa ludzkiego, nie może przeszkodzić zadaniu usuwania niedostatku ludzkiego. I dlatego rzeczy, które jedni mają do zbytku, należą wedle niego zgodnie z prawem naturalnem do ubogich (l. c. art. VII. „*Et quae sunt iuris humani, non possunt derogare iuri naturali vel iuri divino. Secundum autem naturalem ordinem ex divina providentia institutum res inferiores sunt ordinatae ad hoc, quod ex his subveniatur hominum necessitati. Et ideo per rerum divisionem et appropriationem ex iure humano procedentem non impeditur quin hominis necessitati sit subveniendum ex huiusmodi rebus. Et ideo res, quas aliqui superabundanter habent, ex naturali iure debentur pauperum sustentationi*“). Własność prywatna uzasadniona jest wprawdzie z powodu większej troskliwości jednostki o dobro własne, niż wspólne, z powodu większej siły pracy w tym wypadku i lepszego unikania sporów, atoli własność ta jest indywidualna tylko co do dzierżenia i zarządu, co do używania bowiem istnieje obowiązek dopuszczenia do niego wszystkich potrzebujących, acz bez uszczerbku potrzeb własnych i rodzinnych, odpowiednich stanowi. Tak pojmowana własność prywatna jest wprawdzie indywidualną, ale przeznaczoną do służby na korzyść wszystkich, a tem samem ograniczoną.



Wynika stąd dla mnie, że reforma rolna jest zgodna w swej idei przewodniej z nauką św. Tomasza z Akwinu i, że dając nam możność zaspokojenia potrzeb wielkiej liczby naszych rodaków i zatrzymania ich w ojczyźnie, powinna być popieraną przez wszystkich — i to nietylko, jak dotąd, słowami przy równoczesnem rzucaniu jej ustawicznie kłód pod nogi w praktyce, ale z przekonania i szczerze. Należałoby przytem oszczędzać gospodarstwa jednofolwarczne i wogóle mniejsze, a parcelację zaczynać od latyfundiów, których poza Polską już nigdzie prawie niema w krajach cywilizowanych, a których administracja kosztuje tyle, że sami ich właściciele wyjdą lepiej na parcelacji, uwalniając się od całych zastępów pełnomocników, dyrektorów i rządców, żyjących nieraz na większej stopie od nich samych. Latyfundja bowiem z chwilą zniesienia pracy pańszczyźnianej straciły wogóle rację bytu. Właściciele, otrzymując pełne odszkodowanie za zabrane im grunty, otrzymają wszystko, co im przypaść powinno, nie otrzymają jedynie przyszłego wzrostu wartości, wywołanego konjunkturą t.j. zbiegiem okoliczności, od ich woli i zasługi niezależnych, a do tego wedle nauki św. Tomasza o *iustum pretium* nie mają żadnego prawa. Dodam, że jeśli właściciel majątek sam parceluje, a znając głód ziemi włościanina, śrubuje ceny ponad sprawiedliwą miarę lub jeśli to czyni prywatny bank agrarno-osadniczy, słusznie nowa ustawa o reformie rolnej karę za to naznacza. Św. Tomasz bowiem uczy, że nie wolno podwyższać ceny ze względu na szczególną potrzebę kupującego. Albowiem korzyść, która przypadła nabywcy, nie jest rezultatem samej sprzedaży, ale indywidualnego położenia kupującego. A nikt sprzedawać nie może drugiemu tego, co nie jest jego własnością. (*Si vero aliquis multum juvetur ex re alterius quam accepit, ille vero qui vendit, non damnificetur carendo re illa, non debet eam supervendere, quia utilitas quae alteri accrescit, non est ex vendente, sed ex conditione ementis. Nullus autem debet vendere alteri, quod non est suum: licet possit ei vendere damnum, quod patitur. Summa theol, II/II qu. 77*).

Co sądzić o popieraniu emigracji przez państwo? Niema dziś na całej kuli ziemskiej ani jednej piędzi ziemi, nie zajętej poprzednio przez jedno z państw europejskich lub innych. Nie potrzebuję więc zastanawiać się

nad kwestją zasadniczą, czy godzi się katolickiemu państwu myśleć o niesprawiedliwym podboju ziem, zamieszkałych pierwotnie przez ludzi innej rasy i tem samem z woli Bożej do nich należących.

Faktem jest tedy, że możemy znaleźć tereny emigracyjne w innych częściach świata tylko na przestrzeniach, należących do innych państw, mniejsza o to czy sprzymierzonych z nami czy też nie, bo w każdym razie emigranci nasi poddać się muszą na obczyźnie obcym prawom i służyć obcym narodom za nawóz. Francja chciałaby skierować polskiego emigranta przedewszystkiem na swe południe, zalane przez przybyszów włoskich, tudzież do Tunisu, kolonizowanego pracą i zapobiegliwością włoskiego osadnika. Jasnem jest, że tu i tam spotyka się Polak z uzasadnioną niechęcią Włocha, który ma dawniejsze prawa i duże zasługi kulturalne. Ewentualnie Francja byłaby gotowa ułatwić nam nabycie ziemi w pasie, graniczącym z podbitymi niedawno Riffenami, którzy stoczą jeszcze niejedną bitwę w obronie swej niepodległości i przytem z pewnością oszczędzać nie będą osadników-natrętów, przybywających do ich ziemi. Brazylja i Argentyna mają jeszcze dużo ziemi do rozdania, ale o tem, aby mogły tu i tam powstać kolonie, utrzymujące polskość wobec szowinizmu, panującego w obu tych rzeczachpospolitych, nie może być nawet mowy.

Obok wynarodowienia, które nastąpić tam musi tem łatwiej, że wyjeżdżają tam najubożsi i najciemniejsi, często zupełni analfabeci, trzeba liczyć się z tem, że wielu z tych ludzi ginie z braku przystosowania się do zupełnie odmiennych warunków życia, zanim reszta najdzielniejszych i najsilniejszych, przebiwszy się przez ogrom trudności, nareszcie przetrwa — ale straciwszy wszelką nić, łączącą ich z ojczyzną. I istotnie byłoby to wymaganie zalety wyjątkowo rzadkiej, aby pamiętali o ojczyźnie ci, którym ona nie dała chleba, których naraziła na mękę i trud lat kilkunastu, bezporównania cięższe, aniżeli te, któreby ich czekały w kraju.

Czy mamy program w dziedzinie alkoholizmu? Podczas kiedy państwa o równie ostrym a częściowo ostrzejszym od naszego klimacie, jak Szwecja, Norwegja, Finlandja — potrafiły systemem gotenburskim bardzo znacznie zredukować ilość skonsumowanego alkoholu, a Stany Zjed-

noczone Ameryki Północnej przystąpiły z właściwym sobie entuzjazmem do zupełnego wyłączenia wstępnego, szkodliwego i wiodącego do wszelkich zbrodni nałogu, my, stworzywszy połowiczną ustawę, obecnie cofamy się ciągle. Nie obniżamy bynajmniej liczby szynków, nie usuwamy dawnych rozpajaczy ludu z ich lokali i nie wprowadzamy w ich miejsce spółek, po jednej na całe miasto i pobierającej najwyżej 50% dochodu z przeznaczeniem nadwyżki na cele społeczne, skutkiem czego spółka nie jest bynajmniej interesowaną w większej konsumpcji spirytusu, jak to ma miejsce w krajach skandynawskich. A już wszelkiej nadziei poprawy stosunków pozbawiło nas zaprowadzenie przez Państwo monopolu spirytusowego za wzorem rosyjskim, więc zainteresowanie Skarbu Państwa w rozpajaniu własnych obywateli. Kiedy w krajach skandynawskich zbrodnie i występki należą do największych rzadkości, a nikt nie dotknie się ani rosnącego przy drodze owocu ani stojącego przed domem bicyklu czy automobilu, kiedy w Niemczech, Francji i Stanach Zjednoczonych zmniejszenie się pijaństwa zmniejszyło bardzo znacznie ilość zbrodni i występków, u nas dochody, uzyskane z monopolu spirytusowego; nie pokrywają ani w części kosztów wymiaru sprawiedliwości, policji, żandarmerji i więzień, choć tylko część zbrodniarzy się wyśledza i pociąga do odpowiedzialności, a i z tych jeszcze duża część przemyka się przez sieci ślepej Temidy bądź zupełnie, bądź zyskując uznanie za obłąkanych, odroczenie kary lub amnestję.

Dodaję, że wydzierżawienie monopolu spirytusowego w Turcji przez spółkę polską musi mieć dla naszego narodu skutek równie ujemny, jak sprzedaż opium swego czasu przez Anglię Chinom. Niepodobna bowiem, by Turcy, przekonawszy się o mądrości zakazu trunków alkoholycznych w Koranie, nie zniechęcili się nie tylko do owej eksploatującej ich spółki, ale i do całego naszego narodu.

A co zrobiło dotąd Państwo w kierunku przeszkodzenia handlowi żywym towarem z Polski, skoro wiadomo powszechnie, że nikczemni ci handlarze w Azji, Afryce i Ameryce rekrutują się niemal wyłącznie z Polski i przeważnie od nas wywabiają do różnych krajów zamorskich nieszczęśliwe ofiary na zgubę i hańbę tychże i dobrego imienia Polski zagranicą?



Musiałem zacząć od kwestji ludności i chleba, jako też od kwestji obowiązku dbałości o jej zdrowie i moralność, bo gospodarstwo społeczne opiera się w pierwszym rzędzie na tych trzech czynnikach: liczbie, zdrowiu i sile moralnej ludności. Nie może być mowy o dobrobycie materialnym, skoro „nadliczbowi“, wedle osławionego wyrażenia Malthusa, ludzie, „dla których nie nakryto stołu życia“, jak brzmi osławiony frazes tego dziwnego pastora anglikańskiego, emigrować muszą od nas zagranicę, skoro przebiegli łotrzykowie sprzedają bezkarnie polskie kobiety z ludu do domów rozpusty aż po Bombaj i Kalkutę, Buenos-Ayres i Rio de Janeiro, Johannesburg i Aleksandrię, skoro ich mężów i braci alkohol pozbawia przytomności i popycha do zbrodni i zepsucia!

A teraz, co powiedzieć o dwóch miarach, stosowanych przez ogół obywateli, gdy chodzi o jednostki, a gdy chodzi o Skarb Państwa? Nie jesteśmy słowni ani punktualni, ale do chwili inflacji uważaliśmy, że rozumie się samo przez się, iż dług należy oddać w pełnej jego wewnętrznej wartości. Tylko wobec Państwa, przed wojną światową zaborczego, zdawało się nam, że uchodzi składać fałszywą fasję podatkową i płacić jak najmniej, a na usprawiedliwienie tego pospolitego oszustwa posługiwaliśmy się chętnie frazesem o naszym patriotyzmie. Dziś mamy Państwo własne i czynimy tak samo, co więcej inflacja umożliwiła nam nibyto legalne krzywdzenie jednostek. Oszukaliśmy wdowy i sieroty, oszukaliśmy banki i wierzycieli prywatnych, płacąc minimalną kwotę długu, płacąc ją w dodatku jak najpóźniej, aby zapłacić jak najmniej. Że postępowaliśmy najskwapliwiej tak samo wobec Skarbu Państwa, dla którego rząd Władysława Grabskiego dopiero od 1 stycznia 1924 począwszy wymusił waloryzację opłat publicznych, to jest wszystkim wiadome. Nie zdajemy sobie nawet sprawy, że ruina stanu średniego, a zwłaszcza pracowników umysłowych, tudzież trudności finansowe, w jakich Skarb Państwa dotąd się znajduje, są w wielkiej części dziełem tych ludzi, którzy zapłacili ledwie znikomą część wewnętrznej wartości tego, co byli winni.

Św. Tomasz powiada: „Ponieważ życie ludzkie wymaga zaspokojenia nie tylko potrzeb fizycznych, ale więcej jeszcze duchowych, nieodzownem jest, by pewni ludzie mogli zajmować się temi duchowymi sprawami ku poprawie in-

nych. Ci atoli muszą być wolni od wszelkich trosk materialnych“ (*Quia vita hominum non solum indiget corporalibus, sed magis spiritualibus, necessarium est etiam, ut quidam vacent spiritualibus rebus ad meliorationem aliorum, quos oportet a cura temporalium absolutos esse. Summa contra gentiles lib III. cap. 132*). Te zasady św. Tomasza zaprzeczono, a tak samo zasadę powszechną o uczciwości i obowiązku uiszczania podatków i opłat wedle możliwości.

Aferzyści bez skrupułu i sumienia, korzystając z niedomagań ustawy, a trzymając się, jak Shylock, litery prawa, utuczili się funduszami naszej inteligencji i, pograżając ją na dno, sami wypłynęli na powierzchnię. I dlatego twierdzę, że skoro jest tyle ofiar, muszą być i wzbogaceni. Społeczeństwo to nie pole bitwy, z którego i zwyciężony i zwycięzca ustępują z utratą krwi; tu, gdy w jednej z rurek ubywa płynu żywota, przybywać go musi w drugiej. Wzbogacili się dłużnicy, którzy skrzywdzili wierzycieli, wzbogacili się podatnicy, którzy skrzywdzili Skarb Państwa. Jeżeli wierzyciele i Państwo straciło, musieli tedy zyskać dłużnicy. Czy jest żądanie słusniejsze, aniżeli to, by grabieżcy oddali to, co niesłusznie zabrali innym? A jeśli już dziś trudno w niejednym wypadku odnaleźć wierzycieli prywatnych, którzy zostali skrzywdzeni, skoro między nimi są i banki, które ze swej strony skrzywdziły właścicieli listów zastawnych, a więc własnych wierzycieli, odbijając na nich poniesione straty z nawiązką — czy nie należałoby żądać, by wyrządzone szkody bez względu na to, kto jest poszkodowanym, wyrównane zostały na rzecz Skarbu Państwa?

Religia katolicka każe nam żyć według wzniosłych swych zasad. Nie może być wierzącym katolikiem, kto nie przystępuje do Stołu Pańskiego choćby raz na rok, a przystąpić nie może bez świętokradztwa, kto zataił w konfesjonale, że ukrócił Skarb Państwa lub wierzycieli prywatnych, jak również i ten, kto wbrew poleceniu spowiednika z poprzedniej spowiedzi nie wynagrodził dotąd zrządzonej krzywdy. Nie wolno tu poprzestać na tem, że się jest „pod względem prawnym w porządku“, bo prawo pozytywne to kaleka, wlokący się w dużym odstępnie za wspaniałym rydwanem wiecznie żywego sumienia. Niedosyć oczywiście dla katolika nie wpadać w konflikt z ustawą karną. Jeśli zaś chodzi o podatek mająt-

kowy, spadkowy czy dochodowy, jakże często wpadaliśmy w ohydą i upokarzającą tę kolizję, podając niższą wartość majątku od rzeczywistej, zatajając posiadane kosztowności, gotówkę, pretensje — nato tylko, aby od tych przedmiotów majątkowych mniejszy od należnego zapłacić podatek. Tak samo dzieje się niejednokrotnie przy zawieraniu kontraktów kupna sprzedaży w intencji oszczędzania należytości przenośnej. Zrozumiałe jest więc oburzenie ogółu na szkodników, powszechne potępienie ich postępowania tudzież wielka popularność hasła odrodzenia moralnego, którego domaga się powszechne poczucie sprawiedliwości.

A teraz kwestja stosunku pracodawcy do robotnika. Czy stanowisko naszego przemysłu w tej sprawie odpowiada zapatrywaniom wielkiego doktora anielskiego, jak nazywano św. Tomasza? Przemysł stoi na stanowisku, że państwo nie powinno mieszać się do stosunku między pracodawcą a robotnikiem i że jest to wyłącznie rzecz pracującego, czy chce zgodzić się na ofiarowane mu warunki pracy. Wedle św. Tomasza natomiast praca istnieje na powszechny pożytek ogółu i dlatego winna istnieć między świadczeniem tego, który wynajmuje komuś swe usługi, a tego, który je najmuje, równomierność. Wynagrodzenie nie będzie równomierne, jeżeli robotnik otrzymuje za mało. Każdy powinien otrzymywać za swą pracę co najmniej udział zapewniający mu utrzymanie, a to stosownie do stanowiska społecznego i pożytku, jaki praca jego ogółowi przynosi. Tak rozumiem odnośnie do czasów obecnych słowa łacińskiego tekstu: *dignitas* i *status personae*. Ze względu na dzisiejsze stanowisko robotników w społeczeństwie i wyższe od nich wymagania, wobec tego, że obsługiwanie maszyn wymaga intensywniej i wyczerpującej uwagi, a więc współudziału intelektu, czego dawniej nie było, tudzież ze względu na wyższy stopień oświaty robotników, uprawniający ich do wyższych wymagań, uznać należy, że zarówno ich stanowisko społeczne jak i pożytek ich pracy znacznie wzrosły i że przeto stanowisko św. Tomasza z Akwinu nie poprzestaje bynajmniej i nie pokrywa się z minimum egzystencji Dawida Ricardo, traktującego robotnika i jego pracę tylko jako czynnik produkcji, ale nie jako człowieka równego innym i posiadającego te same uprawnienia. Wynika to



z pojęcia własności prywatnej u św. Tomasza, wedle którego człowiek może starać się o nabywanie dostatku tylko o tyle, o ile go według swego stanu potrzebuje do życia, a przekroczenie tej granicy to jest nabywanie i zatrzymanie dóbr doczesnych poza nią należy do istoty chciwości, którą można określić jako nieograniczony pęd ku posiadaniu, co stanowi grzech. (*Bona autem exteriora habent rationem utilium ad finem. Unde necesse est, quod bonum hominis circa ea consistat in quadam mensura, dum scilicet homo secundum aliquam mensuram quaerit habere exteriores divitias, prout sunt necessariae ad vitam ejus secundum suam conditionem. Et ideo in excessu hujus mensurae consistit peccatum, dum scilicet aliquis supra debitum modum vult eas vel acquirere vel retinere, quod pertinet ad rationem avaritiae, quae definitur esse immoderatus amor habendi. Unde patet, quod avaritia est peccatum. Summa theol. II/II qu. 118 art. 1.*)

Kapitalizm nowoczesny jest właśnie nieograniczonym pędem ku zdobywaniu i zatrzymaniu dóbr doczesnych, a przeto nie ulega wątpliwości, że św. Tomasz byłby jego stanowczym przeciwnikiem. Byłby również przeciwnikiem liberalizmu, a tak samo jak cała nauka katolickiego średniowiecza zwolennikiem ingerencji państwa w rzeczy gospodarczych na korzyść słabszych, jak to wynika z faktu, że we wszystkich umowach zalecał cenę słuszną (*justum pretium*), a więc cenę, odpowiadającą wartości świadczenia.

Jeżeli wedle słów św. Pawła robotnik godzin jest zapłaty swojej, a słowa św. Pawła cytuje św. Tomasz, to nie ulega wątpliwości, że do zapłaty należy wliczyć nie tylko to, co robotnik otrzymuje bezpośrednio, ale i to, co mu przypaść powinno w razie choroby, nieszczęśliwego wypadku, starości, niedołęstwa i braku pracy. Dlatego z ducha dzieł św. Tomasza i jego poglądu na własność prywatną wynika, że gdyby żył dzisiaj, oświadczyłby się za ubezpieczeniami socjalnymi w całej ich rozciągłości.

Gdyby zaś wielki przemysł odpowiadał na to groźbą zamknięcia warsztatów pracy i wskazaniem, że ciężary społeczne i płace przekraczają ich możność, odpowiadałby propozycją zmniejszenia zysku przedsiębiorczego, wskazując na to, że używanie rzeczy jest wspólne wszystkim ludziom, że nieograniczony pęd ku własności jest grzechem i że właściciel powinien zachować sobie tyle tylko, ile

wedle jego stanu mu do życia potrzeba. Katolicyzm św. Tomasza, który obowiązywał kupca do objaśniania kupującego o wadach rzeczy, wystawionej na sprzedaż, nie mógł mieć i nie miał nic wspólnego z kapitalizmem.

Można stanąć na stanowisku, że te zapatrywania są przedawnione; wszak cały liberalizm głosi to zapatrywanie. Ale nie można być zwolennikiem tomizmu i kapitalizmu jednocześnie.

Powrót do etyki jako podstawy gospodarstwa społecznego jest więc nieodzownym, a przekonani, nie z imienia tylko, katolicy winni być szermierzami tego poglądu i wyciągać z niego nieustraszenie wszelkie konsekwencje. Nad oportunistami, nie umięjącymi myśleć na dalszą metę, przejdzie historia do porządku dziennego a szkodnictwo ich przejrzy następne pokolenie.



## SPIS RZECZY:

	Str.
Myśli Japończyka o Polsce . . . . .	7
I. Spotkanie na wystawie w Paryżu 1925. — Wieża szklanna. — Udział narodów azjatyckich i afrykańskich w wojnie eu- ropejskiej. — Kolonie i ich przyszłość. — Kuratela Europy nad Azją i Afryką. — Sojusz anglo-japoński. — Epoki roz- kwitu i upadku . . . . .	7
II. Jak mieszka mój przyjaciel? — Wspomnienie z przeszło- ści. — Studencka miłość. — Szeroka natura Rosjanina. — Pościg za tchórzem. — Jego smutny koniec. — Argumenty obronne Japończyka . . . . .	13
III. Japończyk o mniejszościach narodowych. — Wołyń i Po- lesie. — Żydzi, ich potęga w świecie. — Numerus clausus. . . . .	19
IV. Do Bayonny na walkę byków. — Porządek walki. — Naj- wyższe odznaczenie zwycięscy. — Walka. — Wrażenie. . . . .	23
V. Rozmowa o walce byków. — Japończyk o dodatniej jej stronie. — Równość i nierówność. — Powierzchnowa wiara Europy . . . . .	27
VI. Lourdes. — Pau. — Baron Joshi katolikiem . . . . .	31
VII. Finansista angielski o Polsce. — Polska a liberalizm. — Obowiązki arystokracji. — Potrzeba Carlyle'a. — Arysto- kracja, demokracja, plutokracja . . . . .	35
VIII. Pogląd na kapitalizm katolicyzmu, antropozofii, hr. Key- serlinga. — Istota faszyzmu. — Pogląd Ghandiego. — Kon- fiskata majątku oszustów. — Sposób obudzenia zaufania do Polski . . . . .	47
IX. Państwo niewolników Belloc'a. . . . .	57
X. Lekarze. — Wrogowie na kuracji. — Nacjonalizm i gra- nice państwa. — Bożek Mamon. — Czy naród jest naj- wyższem dobrem. — Aryjczycy. — Pomieszczenie ras. . . . .	69
XI. Pierwszy kongres paneuropejski . . . . .	77
XII. Psyche. — Powrót barona Joshi do Japonji . . . . .	85
Potrzeba poczucia państwowego u nas . . . . .	89
Stanisław Szczepanowski . . . . .	107
Solidaryzm a spółdzielczość . . . . .	121
Nasze położenie gospodarcze a nauka św. Tomasza z Akwinu . . . . .	131

